ZYCHOWICZ O STREFIE GAZY
Prawdziwe korzenie nienawiści między dwoma narodami

PIERWSZY WRÓG POLAN
Jak Mieszko I pokonał zagrożenie z zachodu

POLSKA SOWIETKA WASILEWSKA
Oddała całą siebie Stalinowi, stając się symbolem sowietyzacji Polski

NR 12(130)/2023 GRUDZIEŃ 2023

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Szatański plan Lenina i Stalina

ZABIĆ BOGA!

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
12 >
9 772299 951509

Historia w najlepszym wydaniu

Najlepsza fabularyzowana biografia Napoleona Bonaparte

Imponujące rozmachem dzieło opisujące historię wojen napoleońskich

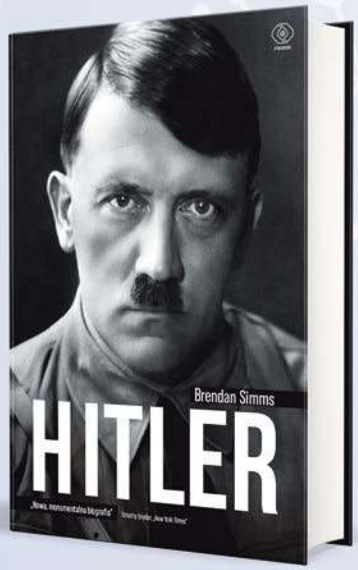

Najbardziej monumentalna biografia twórcy III Rzeszy

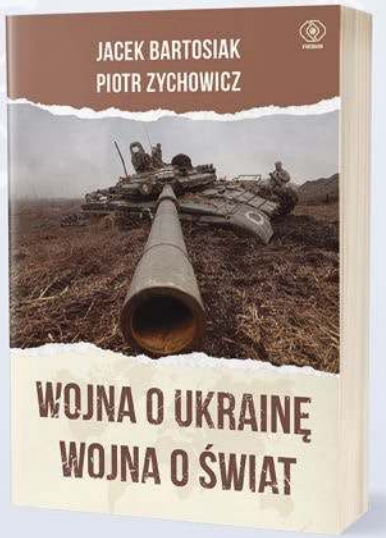

Kontynuacja bestsellerowej książki ***Nadchodzi III wojna światowa***

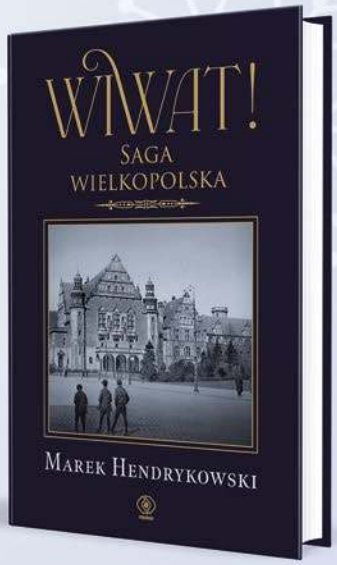

Opowieść o dziejach Wielkopolski lat 1870-1920. Barwne ludzkie losy, galeria przeróżnych postaci przedstawionych ze znawstwem historycznych realiów

Partner publikacji

WIELKOPOLSKA | SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. FB/DWREBIS www.rebis.com.pl

eprasa.pl ab51039975

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska,**
Magda Zubrycka-Wernerowska
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż)

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon.–pt. w godz. 10–16
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie: www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerami: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 15 stycznia 1936 r.

Dionizy, metropolita Kościoła prawosławnego w Polsce, u prezydenta Ignacego Mościckiego

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Włoczyk

Leninowski bożek

Człowiek sowiecki miał być wolny od wszelkich wad, które trapiły społeczeństwa kapitalistyczne. Miał więc wyzbyć się chęci posiadania na własność czegokolwiek, samodzielnego myślenia, a także wiary w Boga. Ta ostatnia była w oczach bolszewików ogromną przeszkodą na drodze do skomunizowania całego społeczeństwa. Jak stworzyć człowieka sowieckiego, skoro w świątyniach chłopi i robotnicy cały czas słyszeli, że to Bóg i jego przykazania są najważniejsze, a nie partia i słowo Lenina?

Cerkiew została więc poddana brutalnym represjom. Najpierw zaczęto pozbawiać ją majątku, odbierać duchownym prawa, aż wreszcie większość z nich została zamordowana albo trafiła do łagrów. Komuniści pozostawili Cerkiew prawosławną w szczątkowej formie, by łatwiej zarządzać pozostałymi jeszcze przy życiu (i na wolności) wiernymi. Od strony kultury nad obrzydzaniem społeczeństwu Boga niestrudzenie pracował Związek Wojujących Bezbożników. Organizacja ta grupowała ateistycznych ekstremistów, którzy tak wiele energii wkładali w zwalczanie Boga (w którego istnienie przecież nie wierzyli), jak gdyby był ich największym, namacalnym wrogiem.

Lenin i Stalin zniszczyli starą Cerkiew i zamiast niej zbudowali instytucję, której fasada wyglądała wprawdzie podobnie jak wcześniej, ale w środku była już zupełnie innym, zainfekowanym przez bolszewizm organizmem.

Szczególnie drastycznie wyglądała walka z Kościołem katolickim, który bolszewicy do wybuchu drugiej wojny światowej unicestwili w całości. Wobec skrajnie trudnych warunków posługi w Związku Sowieckim tym większy szacunek i pamięć należy się tym polskim kapłanom katolickim, którzy po wojnie odmówili wyjazdu do Polski i pozostali przy swoich „owieczkach" na zagarniętych przez Moskwę Kresach i tam, gdzie zsyłani byli katolicy, czyli m.in. w Kazachstanie. ©℗

eprasa.pl ab51039975

/ TEMAT NUMERU

.6 ARTO LUUKKANEN
Bolszewicy na wojnie z Bogiem

.10 JAKUB OSTROMĘCKI
Zabić katolików!

.14 MIKOŁAJ OWANOW
Bezbożnicy niosą święte ikony

.18 TOMASZ STAŃCZYK
Polscy księża niezłomni

/ CZASY I LUDZIE

.22 LESZEK LUBICKI
Pierwszy wróg Polan

.26 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Zaczęło się od obrazoburców

.30 MAREK GAŁĘZOWSKI
Krew przelana za Polskę

.33 SŁAWOMIR KOPER
Kowieński romans Mickiewicza

.38 MACIEJ PIECZYŃSKI
Zapomniana rosyjska „demokracja"

.42 ANNA SZCZEPAŃSKA
Castro gra ostro

.46 PIOTR SEMKA
„Niemiecki Rzym" Austrii

.50 PIOTR TYLUS
Zapomniana epopeja krucjat

.54 PIOTR LIPIŃSKI
Polska Sowietka

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Arystokratka ducha

.62 RECENZJE

/ FELIETONY

.66 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Gaza na Grzybowskim

.67 PIOTR SEMKA
Mało argentyński papież Argentyńczyk

/ KRESY

.68 TOMASZ STAŃCZYK
Wiele współczucia, trochę szyderstwa

.71 TOMASZ STAŃCZYK
Rusofob ekstremista

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Pyrrusowe zwycięstwo Rumunów

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Rodyjscy procarze

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Milowy krok węglowy

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Na (Bliskim) Wschodzie bez zmian

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Sonderaktion Krakau

eprasa.pl ab51039975

REPUBLIKA

DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
18:25

Jeden z najważniejszych wieczornych programów publicystycznych Telewizji Republika. **Łukasz Jankowski**, **Adrian Stankowski**, **Piotr Lisiewicz** i **Tomasz Sakiewicz** wraz z zaproszonymi do studia politykami, ekspertami i historykami omawiają najważniejsze wydarzenia i najbardziej istotne dla Polski i Polaków tematy.

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl ab51039975

Wywiad / Z dr. Arto Luukkanenem, fińskim historykiem, znawcą dziejów religii w Związku Sowieckim

rozmawia Piotr Włoczyk

Bolszewicy na wojnie z Bogiem

Plakat: „Religia jest hamulcem planu pięcioletniego. Precz ze świętami religijnymi!" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Rabowanie cerkwi przez bolszewików FOT. DOMENA PUBLICZNA

PIOTR WŁOCZYK: W jakim stanie była Cerkiew prawosławna w przededniu drugiej wojny światowej?

DR ARTO LUUKKANEN: To był kompletny rozkład. Hierarchowie byli więzieni, zdecydowana większość duchownych też była wyeliminowana – albo zginęła, albo wegetowała w łagrach. Przed wybuchem rewolucji bolszewickiej w Rosji istniało ok. 40 tys. świątyń i klasztorów. Po 20 latach zostało kilkaset cerkwi i garstka posługujących kapłanów. Kręgosłup Cerkwi prawosławnej został przez bolszewików kompletnie przetrącony. Ta potężna niegdyś instytucja, która była ostoją władzy carskiej, po dwóch dekadach znalazła się na marginesie społeczeństwa.

Na ile wolni w posługiwaniu byli duchowni, którzy pozostali na wolności?

To bardzo trudne pytanie. Wielu z nich musiało pisać raporty na temat życia ich wspólnot. Kapłani byli pod stałym nadzorem bezpieki. Bardzo niewiele osób ma siłę, by w tak potwornych okolicznościach nie dać się złamać. Ci ludzie widzieli, jak inni duchowni trafiali do

eprasa.pl ab51039975

łagrów, i musieli brać pod uwagę dalsze represje.

Skoro pod koniec lat 30. działało w ZSRS tak niewiele świątyń i tylko garstka duchownych pozostawała na wolności, to dlaczego bolszewicy nie poszli o krok dalej i nie zniszczyli Cerkwi prawosławnej w całości? Dlaczego pozostawili te resztki?

To był zawsze dylemat dla sowieckiej tajnej policji. Totalne zniszczenie Cerkwi oznaczałoby, że działalność religijna zeszłaby w całości do podziemia. Bo przecież mimo potwornych represji część ludności wciąż przywiązana była do wiary i była gotowa wiele zaryzykować, by ją praktykować. W takim scenariuszu NKWD nie byłoby w stanie w łatwy sposób nadzorować tego środowiska, a istniało przecież duże prawdopodobieństwo, że podziemnym praktykom religijnym towarzyszyłyby też działania antysowieckie. Uznano po prostu, że pozostawienie Cerkwi w szczątkowej postaci będzie dla bezpieki wygodniejszym rozwiązaniem.

Kto był większym ekstremistą w kwestii walki z Bogiem – Lenin czy Stalin?

Lenin był antyreligijny w paranoiczny wręcz sposób. On naprawdę nienawidził religii. W latach 20. domagał się przeprowadzania bardzo zdecydowanych operacji przeciw duchownym. To była jego natura. Ale widzimy też w tej kwestii u Lenina drugie oblicze – taktyka i pragmatyka, który jednak dla osiągnięcia założonych celów potrafił na pewien czas opanować swoją żądzę błyskawicznego zniszczenia wszelkiego kultu i wstrzymać drastyczne operacje antyreligijne.

Wydaje się, że Stalin nie miał w sobie aż tyle antyreligijnego żaru co Lenin. Stalina interesowała przede wszystkim władza absolutna. Był w stanie zniszczyć każdego, kto stał mu na drodze, i nie rozróżniał tu jakoś specjalnie swoich wrogów. Nie patrzył na to aż tak ideologicznie jak jego poprzednik.

Wybiegając nieco w przyszłość – kolejny przywódca ZSRS był bardzo bliski Leninowi w kwestii religii. Nikita Chruszczow starał się dokończyć „dzieło" niszczenia wiary. Chruszczow obiecał narodowi sowieckiemu, że w latach 80. pokaże mu w telewizji ostatnich chrześcijan. Był niestrudzonym wrogiem

Patriarcha Tichon FOT. WIKIPEDIA

religii, ale jednak nie udało mu się dopiąć swego. Mimo wszystko wiara tliła się w sowieckim społeczeństwie i nie udało jej się do końca zgasić.

5 grudnia 1931 r. bolszewicy wysadzili moskiewski sobór Chrystusa Zbawiciela. Doszło do tego niemal w przededniu ogłoszenia w ZSRS tzw. pięciolatki ateistycznej, która miała totalnie wyeliminować wszelkie przejawy życia religijnego. Widać w tym jakąś głębszą symbolikę?

Myślę, że to wydarzenie było bardzo symboliczne. Po wysadzeniu świątyni bolszewicy zamierzali wznieść w tym miejscu Pałac Rad, 400-metrowego kolosa ze 100-metrowym posągiem Lenina na szczycie. Okazało się jednak, że tamtejszy grunt nie jest w stanie utrzymać tak gigantycznego ciężaru. Czy to nie jest symboliczne? Bolszewicy wysadzają świątynię znienawidzonego przez siebie Boga i w to miejsce chcą postawić „świątynię" komunizmu, ale okazuje się to niemożliwe...

Wygląda na to, że w wojnie z religią bolszewicy nie popełnili błędów rewolucjonistów francuskich, na których generalnie się wzorowali. Oficjalnie gwarantowali przecież wolność wyznania.

Komuniści chcieli być bardziej efektywni. Ta dychotomia była bardzo charakterystyczna dla sowieckiego państwa. Jeżeli jakiś obcokrajowiec wizytujący Związek Sowiecki za Stalina pytał, dlaczego Cerkiew została praktycznie

ARTO LUUKANNEN
„THE PARTY OF UNBELIEF. THE RELIGOUS POLICY OF THE BOLSHEVIK PARTY 1917-1929"
SHS, STUDIA HISTORICA 48, 1994 R.

zrównana z ziemią, bolszewicy zawsze mogli powiedzieć, że przecież ich konstytucja daje ogromne spektrum wolności, również religijnych. Na papierze Związek Sowieci szanował wszystkie prawa i wolności, także wolność do wyznawania wiary. W rzeczywistości jednak partia bolszewicka robiła wszystko, by w jej państwie słuch o Bogu zaginął.

Na samym początku wierni mogli się chyba czuć nieco uspokojeni? Bolszewicy uderzali w „burżujów", ale wyglądało na to, że nie chcą atakować prawosławia w sposób frontalny.

Na początku bolszewicy walczyli o przetrwanie. Nie zależało im na tworzeniu kolejnych wrogów poza wojskami białych. Oczywiście ścierali się z patriarchą Tichonem, który nawet ekskomunikował bolszewików w 1918 r., ale wtedy jeszcze nie byli gotowi uderzyć z całych sił w Cerkiew. Trocki chciał wprawdzie Tichona aresztować, osądzić i doprowadzić do jego egzekucji, jednak Lenin uznał, że nie można na tak wczesnym etapie dawać Cerkwi prawosławnej męczennika. W tym okresie ścierały się wśród bolszewików dwie postawy. Ekstremiści od razu chcieli wytępić religię i wyeliminować duchownych, ale pragmatycy rozumieli, że aby skutecznie zwalczyć wiarę i Cerkiew, należy najpierw okrzepnąć i nabrać sił przed ostatecznym starciem z duchownymi. Uznawali oni po prostu, że nie można walczyć ze wszystkimi naraz.

Tichon był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu?

Trzeba było mieć dużo odwagi, żeby wykląć w 1918 r. czerwoną władzę. Jednak później, w latach 20., bolszewicy przymusili go, by ułożył się jakoś z nimi, i wymusili na nim zadeklarowanie, że nie jest wrogiem Związku Sowieckiego. Tichon stał naprzeciw potężnej, okrzepłej już wtedy, machiny państwa komunistycznego.

Bolszewicka wojna z Bogiem nie była jednostajną kampanią?

To wyglądało jak sinusoida. W jednych okresach terror się nasilał, a w innych odpuszczał. Po 1921 r., gdy bolszewicy nasilili działania antyreligijne, konfiskowali kosztowności cerkiewne i organizowali masowy terror wobec duchownych.

eprasa.pl ab51039975

Wysadzenie w powietrze cerkwi Chrystusa Zbawiciela w Moskwie FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Do zmiany polityki doszło, gdy w 1923 r. ludzie Stalina przejęli większość w politbiurze – Lenin był już chory. Prowadzona Nowa Polityka Ekonomiczna miała na celu nieantagonizowanie chłopstwa, więc odpuszczono też zdecydowaną walkę z religią. Ale gdy w 1929 r. Stalin był już jedynowładcą i postanowił ostatecznie rozprawić się ze starą, rosyjską wsią i przeprowadzić kolektywizację, również jego polityka wobec Cerkwi się zmieniła.

Jak wspomniałem, w latach 20. bolszewicy systematycznie konfiskowali majątek cerkiewny, naczynia liturgiczne, a na końcu nawet dzwony. W latach 30., gdy nie było już co konfiskować, bolszewicy zaczęli zamykali świątynie. Oczywiście nie wszystkie zamknięto na cztery spusty. Niektóre były przerabiane na kina, a nawet na baseny! A w innych bolszewicy tworzyli muzea, gdzie wystawy i eksponaty miały przekonać zwiedzających, że Bóg nie istnieje.

W takie działania ochoczo włączali się członkowie Związku Wojujących Bezbożników (ZWB), który został założony w Sowietach w 1925 r. Sześć lat później organizacja ta liczyła już niemal 6 mln członków. Co miał w głowie przeciętny „bezbożnik"?

Musimy rozumieć, że przynależność do tej organizacji była dobrze widziana wśród bolszewików. Młodzi partyjniacy chcieli należeć do tej organizacji, ponieważ było to po prostu modne.

Postulaty tej organizacji były bardzo krzykliwe – walka z Bogiem, ateizacja kraju i ośmieszanie chrześcijaństwa – ale rzeczywistość była jednak prozaiczna. Tak jak wiele innych sowieckich pomysłów na nowe społeczeństwo ZWB było wymysłem biurokratycznym i w znacznej mierze organizacja ta opierała się na fikcji, a przede wszystkim było tam potwornie… nudno. „Bezbożnicy" organizowali czerwone karnawały, wyśmiewali święta Bożego Narodzenia, wyszydzali Boga i świętych. To wszystko było w znacznej mierze sztuczne, partyjne, ci ludzi nie wkładali w to serca. A gdy w trakcie wielkiego terroru okazało się, że przynależność do tego ruchu nie chroniła przed aresztowaniem, to ta świadomość ostatecznie zabiła w członkach tej organizacji resztki „bezbożnego" żaru.

W jakim stopniu Jemieljan Jarosławski, lider Bezbożników, wpływał na kierunek kampanii antyreligijnych?

Jarosławski był głównie klaunem, propagandystą, kimś w rodzaju putinowskiego agitatora Władimira Sołowjowa. To nie był prawdziwy decydent. Jarosławski i jego ruch „bezbożników" był jak chusteczka do nosa. Gdy jej użyjemy, to wyrzucamy ją, bo nie jest już nam potrzebna. Stalin też przestał potrzebować bezbożników po tym, gdy w wielkim terrorze złamał własne społeczeństwo.

Czy Bezbożnicy atakowali kapłanów?

Zdarzało się, że najbardziej radykalni członkowie ZWB w sposób fizyczny zwalczali duchowieństwo, ale po pierwsze, tych największych „zapaleńców" nie było aż tak dużo, a po drugie, nie mieli oni upoważnienia do aresztowania księży. Te akcje polegały głównie na uprzykrzaniu życia duchownych, poniżaniu ich. To nie oni mieli wyniszczyć duchowieństwo. To zadanie zostawiono najlepszym sowieckim ekspertom w dziedzinie eliminacji ludzi – tajnej policji. W jej strukturze istniał specjalny wydział, w którym pracowali enkawudziści wyspecjalizowani w zwalczaniu duchowieństwa.

Ale oczywiście Sowieci działali tu wielotorowo. Poza „zwykłym" brutalnym mordowaniem i wysyłaniem duchownych do obozów partia i bezpieka starały się też stworzyć podziały w ramach Cerkwi. To była sprawdzona sowiecka zasada. Jeżeli masz problem z pokonaniem przeciwnika, to wprowadź w jego szeregi zamęt i podziały.

W przededniu drugiej wojny światowej Cerkiew była w stanie agonalnym, ale po napaści III Rzeszy Stalin odkrył nagle, że prawosławie jest niezbędne!

To była rewolucyjna zmiana. Religia przestaje być wrogiem ludu. Nagle okazuje się, że prawosławie to ważna część rosyjskiej/sowieckiej tożsamości. Gdy po raz pierwszy po napaści Niemiec Stalin zwrócił się do sowieckiego społeczeństwa, użył zaskakującego zwrotu: „Bracia i siostry…". Przecież tymi słowami kapłani zwracali się w cerkwiach do wiernych! Nagle też z sowieckiej prasy zniknęły antyreligijne artykuły.

Gdy w 1943 r. Stalin spotkał się z trzema najważniejszymi hierarchami prawosławnymi, był uroczym gospodarzem, dopytywał się o sytuację Cerkwi, martwił się o jej finanse...

Jak komuniści patrzyli na inne wyznania i religie?

Kościół katolicki uznawany był za największego wroga, jeżeli chodzi o ruchy religijne. Nie tylko był on nadzorowany przez zagraniczną siłę – Watykan – lecz także miał bliskie powiązania z Polską, uznawaną na Kremlu za jedno z głównych zagrożeń dla komunizmu, szczególnie w oczach Stalina.

Kościół katolicki, podwójny wróg, został więc uderzony najmocniej przez bolszewików i uległ właściwie w całości unicestwieniu.

Kto zajmował kolejne miejsca w tej antyreligijnej hierarchii Kremla?

Żydzi, protestanci i dopiero na czwartym miejscu była Cerkiew prawosławna. Komuniści musieli brać pod uwagę uczucia religijne rosyjskiego chłopstwa i odkładali starcie z prawosławiem. W przypadku katolików, żydów i protestantów nie mieli takich ograniczeń…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Arto Luukkanen jest historykiem, wykładowcą Uniwersytetu Helsińskiego, autorem książki „Partia Niewiary. Polityka religijna partii bolszewickiej w latach 1917–1929" („The Party of Unbelief: The religious policy of the Bolshevik party, 1917–1929").

eprasa.pl ab51039975

FOT. ALEKSANDER BARTECKI

Trwa jubileuszowa wystawa „200 lat kopalni Katowice. Nasza kopalnia”

Nowa wystawa czasowa „200 lat kopalni Katowice. Nasza kopalnia” prezentuje historię kopalni „Katowice”, wcześniej kopalni „Ferdynand”, oraz kilka fenomenów kulturowych powstałych w wyniku 176 lat eksploatacji górniczej w tym miejscu. Zakład ten spośród kilkudziesięciu podobnych działających na tym terenie otrzymał szansę trwałego ocalenia pamięci branży górniczej, a jego zabudowania stały się wizytówką Śląska, jedną z najbardziej reprezentacyjnych przestrzeni regionu – Strefy Kultury

Historia kopalni „Katowice” („Ferdynand”) zaczęła się w 1823 r. Początkowo prosta eksploatacja płytko zalegających pokładów przerodziła się z upływem czasu w wartościowy zakład wydobywczy. Kolejni właściciele, administratorzy oraz kierownicy dokładali starań, aby wyposażyć go m.in. w dostępne nowości techniczne, a liczne pokolenia górników z zaangażowaniem sięgały po zalegające w tym miejscu bogate złoża. Działalności zakładu towarzyszyło także wiele inicjatyw społecznych, obejmujących z biegiem lat kolejne dziedziny. Ludzie związani z kopalnią mogą godzinami opowiadać o wydarzeniach kulturalnych, obchodach barbórkowych, wczasach pracowniczych czy imprezach sportowych.

– Wystawę podzielono na dwie części tematyczne. Pierwsza, zatytułowana „Po pracy”, jest prezentowana w budynku dawnego Spichlerza i pokazuje zagadnienia społeczne towarzyszące działalności górniczej, jak górniczy archetyp Górnego Śląska, obrzędowość górniczą, działalność plastyków amatorów z grupy „Gwarek 58”, tradycję górniczego muzykowania oraz wpływ kopalni na miasto i jego mieszkańców, w tym tworzenie się wokół zakładu społeczności lokalnych czy klubów sportowych. Odrębną częścią wystawy jest blok tematyczny „Praca” udostępniony w budynku dawnej Stolarni. Zaprezentowano tu dzieje kopalni jako zakładu. Motywem przewodnim tej części ekspozycji jest proces przeróbki węgla. Inspiracją instalacji jest naziemna część kopalni, w której prowadzony był podział urobku na poszczególne sortymenty węgla. Chcieliśmy przypomnieć, że zbudowana na przełomie wieków XIX i XX w ówczesnej kopalni „Ferdynand” instalacja przeróbki węgla należała wówczas do najnowocześniejszych i najbardziej wydajnych w Europie – mówi dr Piotr Rygus, kurator wystawy.

Dzieje kopalni ukazują fakt, że zbudowana na przełomie wieków XIX i XX w ówczesnej kopalni „Ferdynand” instalacja przeróbki węgla uznawana była przez współczesnych techników górnictwa za najnowocześniejsze założenie w Europie o wysokiej wydajności.

Kopalnię zamknięto, ale pamięć o niej przetrwała. Miejsce to zyskało szansę, której nie miało wiele innych zakładów spośród kilkudziesięciu działających w województwie śląskim. Duża część historycznych zabudowań została zachowana, a dzięki adaptacji na potrzeby Muzeum Śląskiego w Katowicach stała się wizytówką Śląska, jedną z najbardziej reprezentacyjnych przestrzeni regionu. Ze względu na szacunek do miejsca, w którym się znajdujemy, jego bogatej historii, tradycji oraz dziesiątków tysięcy ludzi związanych z nim zawodowo i emocjonalnie 200-lecie kopalni zostało uczczone jubileuszową wystawą.

Wystawa potrwa do 30 czerwca 2024 r.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl ab51039975

1917–1937 / Niszczenie Kościoła katolickiego w ZSRS

Zabić katolików!

Jakub Ostromęcki

W „zdrowej, robotniczo-chłopskiej tkance" sowieckiego społeczeństwa Kościół Katolicki był ciałem jeszcze bardziej obcym i niebezpiecznym niż Cerkiew. Przede wszystkim dlatego, że podlegał Stolicy Apostolskiej, na którą Moskwa nie miała żadnego wpływu, a przy tym powiązany był bardzo mocno ze znienawidzoną „burżuazyjną" Polską

Komitet kościelny przy parafii śś. Piotra i Pawła rozpadł się w kwietniu 1938 r., przy czym słowo „rozpad" w czasach wielkiej czystki rozumieć należało w sposób bardzo dosłowny. Aby parafia mogła istnieć dalej, trzeba było wybrać nowy komitet. Do takowego nikt jednak z mieszkających jeszcze w Moskwie katolików specjalnie się nie garnął. Mówiąc wprost, wszyscy bali się łagru, Łubianki, wyroku śmierci. Nielegalne zbiórki pieniędzy, nielegalna katecheza młodzieży, nielegalne leczenie chorych, nielegalne rozmowy na tematy religijne

eprasa.pl ab51039975

Katedra w Kamieńcu Podolskim

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BOGDAN REPTENIŁO

Arcybiskup Edward Ropp i nagrobek abp. Jana Cieplaka w katedrze wileńskiej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA I BIBLIOTEKA NARODOWA

w domu. Katalog przewinień katolickich parafian był zaiste szeroki. „Nie będzie komitetu w przewidzianym terminie – zamkniemy kościół" – rzekł towarzysz Marjin, urzędnik z Mossowietu, czyli lokalnej „legislatywy". Polska ambasada, myśląc naiwnie, że lokalna władza zamierza dochować określonych przez samą siebie terminów, skompletowała nowy komitet z własnych pracowników. Wręczono Mossowietowi odpowiednie pismo z listą nazwisk, ale urzędnicy i tak kościół zamknęli na głucho.

Potem było już regulaminowo: strącenie krzyża, zniszczenie ozdób, grabież, profanacje. Kościół śś. Piotra i Pawła miał stać się klubem dla niewidomych. Tak w lipcu 1938 r. zlikwidowano ostatnią polską katolicką świątynię w przedwojennych Sowietach.

Bolszewicy o katolikach

Z perspektywy bolszewickiej ideologii różnice między poszczególnymi wyznaniami chrześcijańskimi były mało istotne. Bolszewicy walczyli z religią jako taką. „Każdy ksiądz jest antyrewolucjonistą, każdy akt religijny jest antysowiecki, ktokolwiek idzie do kościoła, jest winny obrazy rewolucji i jej zasad". „ZSRS jest pierwszym krajem w historii, który ogłosił nieubłaganą walkę z religią". „Do dnia 1 maja 1937 r. na całym terytorium ZSRS nie powinno być ani jednego domu modlitwy i samo pojęcie boga winno być przekreślone, jako przeżytek średniowiecza, jako instrument ucisku mas robotniczych" – głosiła przedwojenna sowiecka prasa, nie rozróżniając między cerkwią, zborem czy kościołem. Bolszewicy najwięcej energii poświęcili oczywiście na walkę z prawosławiem i to prawosławie poniosło w tej walce największe straty wśród wszystkich wyznań – było w końcu najliczniejsze i najsilniej powiązane z obaloną carską władzą i tradycyjnym rosyjskim obyczajem.

W „zdrowej, robotniczo-chłopskiej tkance" sowieckiego społeczeństwa Kościół katolicki był jednak ciałem jeszcze bardziej obcym i niebezpiecznym niż Cerkiew. Przede wszystkim dlatego, że podlegał Stolicy Apostolskiej, na którą Moskwa nie miała żadnego wpływu, a przy tym powiązany był bardzo mocno ze znienawidzoną, „burżuazyjną" Polską. W bolszewickiej umysłowości oznaczało to jedno: szpiegowanie na rzecz wrogich ośrodków. Kościół katolicki był hierarchiczny i w XX w. mało podatny na rozłamy, schizmy, co utrudniało manipulowanie nim. Sami katolicy, niezależnie od narodowości, nie pasowali do kolektywistycznej, poddańczej kultury Wszechrusi. 80 proc. katolików w ZSRS było Polakami. Czyli ludźmi gorliwie przywiązanymi do indywidualnej własności ziemi, podtrzymującymi związki z niepodległą Polską, co, podobnie jak w przypadku związków z Watykanem, z urzędu kwalifikowało ich jako potencjalnych zdrajców.

Pierwsze zwarcie bolszewików z katolicyzmem nastąpiło bezpośrednio po przewrocie z 1917 r. W tym czasie katolicki ksiądz mógł być w sposób dziki i bestialski zamordowany przez lokalny parobczański aktyw, ale represje te nie miały jeszcze charakteru instytucjonalnego, państwowego. Podobnie niepewny był los księży w czasie najazdu bolszewików na etnicznie polskie tereny w lecie 1920 r. Ich życie zależało wtedy od opinii, jaką mieli o nich chłopi – w zdecydowanej większości była to opinia pozytywna, toteż duchownym oszczędzano życie. Nie obyło się natomiast bez grabieży. W lecie 1920 r. na zajętych przez bolszewików terenach Mazowsza czy Podlasia można było odprawiać msze – choć w towarzystwie szyderstw żołdaków i komunistycznego aktywu złożonego

eprasa.pl ab51039975

z lokalnych lumpów lub zubożałych żydowskich wyrostków. Typowa dla tego okresu scena rozegrała się w Górze w okolicach Płońska, gdzie bolszewicy urządzili sobie popijawę pod figurami Matki Boskiej, złorzecząc jej, depcząc i łamiąc krzyże. Pamiętać tu jednak trzeba, że religijni Żydzi nieraz występowali wówczas przeciw szykanowaniu katolickich księży, co w monografii wojny 1920 r. opisuje Janusz Szczepański.

Nienawiść bolszewików do księży wzrosła w czasie odwrotu znad Wieprza i spod Warszawy. Na Mazowszu i Podlasiu mordowano księży, jednak znów był to skutek szału wycofującej się czerwonej tłuszczy, a nie zaplanowane odgórnie działanie.

Pozorny spokój

Po pokoju ryskim w 1921 r. na ziemiach od Zbrucza do Pacyfiku znajdowało się ok. 1,2 tys. katolickich parafii i kaplic. Posługę pełniło w nich ponad 400 księży. W zdecydowanej większości byli to Polacy. Reszta rekrutowała się spośród Niemców, Litwinów, Łotyszy, Ormian i Gruzinów. Pod ich opieką znajdowało się ok. 1,6 mln wiernych.

Przez pierwsze lata istnienia Sowietów sytuacja katolicyzmu zdawała się lepsza niż prawosławia. Katolicy mieli na razie szansę „zniknąć w tłumie", nie byli Kościołem państwowym, carskim, a nawet przez carat bywali represjonowani. W Odessie przy tamtejszym kościele do 1923 r. działały nawet jawnie czteroklasowa szkoła podstawowa i przytułek. Była to jednak sytuacja wyjątkowa.

Ksiądz czy batiuszka – obaj byli liszeńcami, czyli pozbawionymi praw publicznych głodującymi pariasami, którzy nie mieli nawet prawa do kartek żywnościowych i opieki medycznej. Przez pierwsze lata rządów bolszewickich prawo to stosowano w stosunku do katolików mniej gorliwie niż w stosunku do prawosławnych – przymykano np. oko na pomoc świadczoną duchownym przez wiernych.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej porywano biskupów, aby wywierać presję na Polskę i wymienić ich na więzionych u nas komunistów. W myśl takiego scenariusza w 1919 r. aresztowany i skazany na śmierć został abp Edward von Ropp. Wypuszczono go jednak w zamian za naszą zgodę na uwolnienie słynnego czerwonego ideologa Karola Radka, który do Sowietów przyjechał kilka miesięcy później.

Na początku lat 20. Sowieci, a w zasadzie ich MSZ, potrzebowali dobrych stosunków z Watykanem, aby wyjść z izolacji międzynarodowej. W 1922 r. podpisano nawet ze Stolicą Apostolską umowę, dzięki której emisariusze papiescy mogli legalnie pomagać w czasie głodu na Powołżu lub odkupywać przedmioty liturgiczne skonfiskowane przez bolszewików. Innym sposobem na neutralizację katolików miało być wymienienie biskupów polskich na niemieckich lub włoskich – na to nie zgodziła się jednak Stolica Apostolska.

Szef bolszewickiego MSZ Giorgij Cziczerin w swoich sporach z dogmatykami takimi jak prokurator Piotr Krasikow czy przywódca Związku Wojujących Bezbożników Jemielian Jarosławski podkreślał, że zbytnie gnębienie katolików może być wykorzystane przez Polskę do podburzania ludności katolickiej na Ukrainie. W sowieckiej polityce przeważył jednak antyreligijny dogmat.

Ku krwawemu rozwiązaniu

Do walki z katolicyzmem posłużyła ta sama ustawa co w przypadku cerkwi – „Dekret RKL o rozdziale cerkwi od państwa i szkoły od cerkwi" z 23 stycznia 1918 r. oraz późniejsze akty wykonawcze, zwłaszcza ten z 3 sierpnia 1922 r., rozwiązujący parafie, pozbawiający wspólnoty religijne zdolności prawnej, tworzący tzw. dwudziestki, czyli komitety wiernych, którym państwo łaskawie mogło wydzierżawić zagrabioną im wcześniej świątynię. Kapłan do owej „dwudziestki" oczywiście należeć nie mógł, od tej pory był tylko wynajętym przez nią rzemieślnikiem. Surowo zakazana była katecheza młodzieży, nawet domowa.

Pretekst do zaostrzenia kursu nadarzył się w lutym 1922 r. Na Powołżu na skutek komunistycznej polityki trwał wtedy potworny głód. Bolszewicy stwierdzili wówczas, że sfinansują pomoc ze sprzedaży i z przetopu kościelnych kosztowności. Na nic manifestacje i protesty tysięcy wiernych, na nic tłumaczenie, że Kościół przeznaczył już znaczne sumy na pomoc głodującym i cały czas organizuje kolejne zbiórki. Zabytkowe kielichy, monstrancje, lichtarze, kropielnice poszły na przetop. Zrywano okucia drzwi, rozbijano szkatuły z pieniędzmi, zdzierano obrusy i chorągwie. Nie oszczędzono grobów, odrąbując pierścienie od pożółkłych kości. W Kamieńcu Podolskim zrabowano szablę należącą do Jerzego Wołodyjowskiego, przetopiono zabytkowy złoty krzyż. Na Powołżu nikt oczywiście nie zobaczył ani kopiejki z tych łupów.

Głośno protestował przeciwko temu bp Jan Cieplak. Bolszewicy aresztowali go więc w marcu 1923 r. wraz z 14 innymi księżmi i skazali na karę śmierci, zamienioną następnie na 10 lat więzienia. Jan Cieplak został ostatecznie wydalony z ZSRS pod wpływem międzynarodowych protestów, ale ks. Konstanty Budkiewicz został rozstrzelany na Łubiance.

„U nas nie ma prześladowań"

W tym czasie ruszyła ogólnosowiecka akcja zamykania kościołów pod pretekstem ich „niewypłacalności" lub „przeznaczania na potrzeby aprowizacji". 18 kwietnia 1922 r. w Kamieńcu Podolskim na wieść o planowanej grabieży mienia katedralnego zebrał się tłum aż 600 wiernych chcących bronić kościoła. Jeden z czekistów, niejaki Szenajzen, groził wiernym rewolwerem, pobiły go jednak zdesperowane kobiety. Lokalna egzekutywa wezwała więc na pomoc sotnię kozaków, która strzelając i siekąc, rozpędziła tłum. Aresztowano też księży i przywódców protestu. Podczas śledztwa jednemu z protestujących wybito osiem zębów, gdyż nie chciał wydać spisu grobowców należących do parafii. Ksiądz Niedzielski siedział zaś w celi z sowieckimi dezerterami, którzy dzień w dzień znęcali się nad nim nie gorzej niż syberyjscy urkowie nad politycznymi. Wielu osadzonych nie przeżyło dochodzenia, kościół został zamknięty i ograbiony, łącznie z dachem.

Sowieci obłudnie głosili, że w ich kraju nie ma prześladowań za wiarę czy w ogóle

eprasa.pl ab51039975

za poglądy. Księży, podobnie jak tysiące innych obywateli ZSRS, skazywano z osławionego artykułu 58 Kodeku karnego, pod który można było podciągnąć absolutnie wszystko. Uczestnictwo w Żywym Różańcu stało się pretekstem do oskarżenia o udział w grupie przestępczej, list wysłany do Watykanu lub do Polski czy nielegalne zamieszkanie księdza w pobliżu dawnego kościoła – o szpiegostwo. Utrzymywanie kontaktów z innymi Polakami – o członkostwo w wywrotowej Polskiej Organizacji Wojskowej. Typowe oskarżenie księdza katolickiego okresu międzywojnia brzmiało: „Kontakty z burżuazją międzynarodową, która pod dyrektywami Watykanu prowadzi kampanię przeciwko państwu sowieckiemu i myślała o inwazji zbrojnej na jego terytorium". W takich warunkach trudno było w ogóle o prowadzenie jakiejkolwiek działalności religijnej, która wychodziłaby poza ścisłe grono rodzinne. Mimo to w latach 1922–1928 udało się w Sowietach wyświęcić 16 nowych księży katolickich. Nawet ta mikroskopijna, biorąc pod uwagę ogrom kraju, liczba była dla systemu niebezpieczna. Wszyscy oni na skutek donosów trafili do łagru lub pod lufę egzekutora. Najczęstszym miejscem zesłania księży katolickich były Wyspy Sołowieckie, ale wielu trafiało też w straszne rejony Workuty czy w okolice budowy Kanału Białomorskiego. Księża odprawiali w łagrach potajemne msze, co szybko kończyło się dla nich rozstrzelaniem.

Ci, których nie aresztowano od razu, byli morzeni głodem. Księża z dnia na dzień musieli uiszczać podatek kilkunastokrotnie wyższy od tego płaconego za caratu, musieli wykupywać patenty rzemieślnicze po horrendalnie wysokich cenach. Zmuszano ich do płacenia za pola, których nie posiadali, ograbiano z mebli, zakazywano mieszkania na plebanii.

Zdani byli więc na wiernych, którzy swoich kapłanów potajemnie żywili i ubierali. Apogeum dekatolizacji ZSRS stanowił okres wielkiej czystki. Wówczas do łagrów oprócz ostatnich działających jawnie księży poszli też protestanccy pastorzy, czyli „niemieccy szpiedzy". W więzieniu i obozach znalazła się połowa z całej liczby duchownych protestanckich w ZSRS. Na kolportowane przez system komunistyczny kłamstwa o braku prześladowań religijnych dało się niestety

Księża Konstanty Butkiewicz i Andrzej Fedukowicz FOT. COMMONS WIKIMEDIA

złapać w latach 30. kilku dyplomatów francuskich.

Zastraszanie

Życie parafian i księży, którzy nie trafili jeszcze do łagru, było koszmarem. W „dwudziestkach" roiło się od donosicieli i prowokatorów GPU, potem NKWD. Rozpuszczali oni plotki o niemoralnym prowadzeniu się księży, złodziejstwie, pijaństwie tudzież co najbardziej perfidne o tym, że duchowni są agentami… GPU. Inscenizowali apostazje, złamanych w czasie śledztw księży zmuszając do publicznego zrzucania sutann, co miało siać wśród wiernych zwątpienie i przerażenie.

Księża byli pod ciągłą obserwacją, kontrolowano ich pocztę, zastraszano. Jeden z duchownych otrzymał list następującej treści: „Zdecydowaliśmy, że was zlikwidujemy. Bądźcie pewni, że tak się stanie. Żeby nam zaoszczędzić uciekania się do przemocy, zlikwidujcie się sami".

Najtragiczniejszą ofiarą kampanii donosów i oszczerstw stał się ks. Andrzej Fedukowicz. Wsadzono go do więzienia w Żytomierzu po tym, jak nie chciał wywiązać się z obowiązków tajnego współpracownika GPU. W czasie śledztwa torturami zmuszono go do napisania listu do samego Piusa XI, informującego, że w ZSRS nie ma i nie było prześladowań religijnych, a część duchownych winna jest szpiegostwa, po czym wypuszczono go na wolność. Fedukowicz nie mogąc znieść jednak fałszu, w którym musiał brać udział, oblał się naftą nad brzegiem rzeki Teterew i podpalił. Wierni bezskutecznie próbowali go ratować – ksiądz zmarł z powodu obrażeń.

Katolicy padali też ofiarą zorganizowanej akcji ateistycznej. Prowadził ją wspomniany już Jamielian Jarosławski. „Precz z kościołem – ostoją burżuazji; wytępić klechów – agentów faszystowskich" – groziły artykuły kierowanych przez niego gazet. W szkołach, urzędach, na dworcach budowano „kąciki ateizmu", a dzieci zmuszano do „sądu nad bogiem". Na ulicach sowieckich miast organizowano prawdziwe orgie bluźnierstwa: palenie obrazów i kosztowności, procesje szydzące ze Świętej Trójcy, deptanie krzyży, parodie mszy, szydercze przedstawienie teatralne. Bluźnierstw jednej z takich trup nie wytrzymali wierni w Hajnie (dziś Białoruś). Zaatakowali i pobili na śmierć czterech aktorów, a samochód propagandowy spalili. W odwecie 200 mieszkańców miejscowości poszło do łagru. Podobny finał miały rozruchy na Podolu.

Jak podaje ks. Roman Dzwonkowski, badacz dziejów antykatolickich represji w Sowietach, w sierpniu 1937 r. aresztowano ostatniego katolickiego księdza pełniącego wciąż posługę kapłańską. W całym ZSRS legalnie działało od tej pory jedynie dwóch księży – pracowników ambasad Francji i USA. Księża polscy skazani w latach 20., którym udało się przeżyć łagier, musieli osiedlać się w specsiołkach, oczywiście z dala od swoich dawnych parafii. Potajemnie odprawiali tam msze, toteż w 1938 r. aresztowano ich ponownie. Szczęśliwi byli ci, którzy powtórkę kaźni przetrwali do paktu Sikorski-Majski z 1941 r. Ksiądz Dzwonkowski konkludował: „Kościół katolicki w ZSRS uległ całkowitej likwidacji. Zachował jednak rzecz najważniejszą, bo swój autorytet moralny".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ab51039975

XX w. / Walka i sojusz Sowietów z religią

Bezbożnicy niosą święte ikony

Ławra Kijowsko-Peczerska FOT. COMMONS WIKIMEDIA/FALIN

Mikołaj Iwanow

Dzieje ateizacji w Związku Sowieckim to seria brutalnych, a czasem dziwnych zjawisk. Jedno z tych ostatnich to specyficzne odrodzenie religijne w okresie drugiej wojny światowej, którego inicjatorem był Józef Stalin

Tuż przed 1939 r. wszystko wskazywało, że dni religii w ZSRS są policzone. Od zarania eksperymentu polegającego na stworzeniu ustroju totalitarnego ateizacja społeczeństwa byłego Imperium Rosyjskiego stanowiła jeden z najważniejszych elementów programu Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) – WKP(b). Bolszewicy planowali początkowo doprowadzić do całkowitego wyrugowania religii. W roku 1932 proklamowano nawet tzw. pięciolatkę ateistyczną, zgodnie z której założeniami do 1937 r. wszystkie religie w Kraju Rad miały zniknąć w wyniku zastosowania niezwykle ostrych środków represyjnych.

Represje

Władze sowieckie, które zwalczanie religii uznały za jedno z głównych założeń skutecznego „budownictwa socjalistycznego", nie wykazały zbytniej pomysłowości w wypracowaniu metod walki z religią. W ich taktyce przeważały metody prymitywne, oparte na prostackim manifestowaniu siły. Główna forma represji antykatolickich na terenie ZSRS polegała np. na represjonowaniu księży i pozbawianiu wiernych kościołów. Organizowano procesy sądowe przeciwko nim, stosowano restrykcje administracyjne, posługiwano się prowokacją i kłamstwem.

Po pewnym czasie walkę z ludźmi wierzącymi, w miarę kształtowania się ustroju totalitarnego znanego jako stalinizm, uznano jednak za cel drugorzędny. Ograniczono się jedynie do zmniejszania wpływów religii i sprowadzenia jej do kategorii wierzeń zacofanej części społeczeństwa. Taryfa ulgowa nie obowiązywała jednak wszystkich. Wyjątkiem byli katolicy, którzy jako „poddani" papieża z Rzymu należeli, w myśl sowieckich władz, do ludzi najbardziej reakcyjnych. W 1938 r. wszystkie kościoły katolickie, z wyjątkiem dwóch – w Moskwie i Leningradzie, gdzie modlili się zachodni dyplomaci, zostały zamknięte.

Początek drugiej wojny światowej i atak ZSRS na Rzeczpospolitą spowodowały kolejną zmianę w dziedzinie ateizacji społeczeństwa. Zdecydowano się nie stosować chwilowo na terenach polskich wschodnich województw metod niszczenia religii stosowanych uprzednio w ZSRS. Dlatego też, aż do inwazji Trzeciej Rzeszy na Sowietów w czerwcu 1941 r., stan posiadania kościołów wszystkich wyznań na terenach RP zmie-

eprasa.pl ab51039975

nił się tylko nieznacznie. Kolejna zmiana polityki nastąpiła jednak wraz z rozpoczęciem wojny z Niemcami, nazwanej wzniośle „wielką wojną ojczyźnianą".

Już w pierwszych miesiącach walk z Niemcami Armia Czerwona poniosła wiele druzgocących klęsk, które zagroziły istnieniu samego państwa stalinowskiego. Zagrożenie było na tyle poważne, że Stalin rozważał nawet możliwość zawarcia separatystycznego pokoju z Niemcami, odstępując Rzeszy m.in. Ukrainę, Białoruś i państwa bałtyckie. Hitler był jednak pewny bliskiego zwycięstwa i żaden dwustronny traktat by go nie zadowolił. Stalin musiał więc walczyć, mobilizując wszystkie możliwe zasoby. Z więzień i obozów zwolniono 1,5 mln więźniów, którzy zasilili szeregi Armii Czerwonej. Podpisano też umowę sojuszniczą z polskim rządem na uchodźstwie. Na podstawie umowy Sikorski-Majski „amnestia" objęła prawie 250 tys. polskich więźniów i zesłańców, z których stworzono armię pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Stalin zaproponował nawet Wielkiej Brytanii skierowanie do ZSRS 20–25 dywizji angielskich, które ratowałyby Armię Czerwoną. Wśród tych niespodziewanych kroków pojawił się też nowy kurs w stosunku do religii.

Patriarcha Sergiusz

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jak trwoga, to...

Stalin na gwałt potrzebował poparcia wiernych dla wojny z Hitlerem. Wszystkie wyznania, a przede wszystkim Cerkiew prawosławna, miały zostać sojusznikiem państwa w walce z najeźdźcą. Sowieci w jednej chwili zaprzestali realizowania swej ateizacyjnej polityki. Władze ZSRS nie tylko porzuciły nagle plany zniszczenia religii, lecz także zaczęły dążyć do odrodzenia życia religijnego w kraju. 4 kwietnia 1942 r. w Moskwie, na jedną noc podczas Wielkanocy, zniesiono godzinę policyjną. Ogłoszenie radiowe w tej sprawie wyemitowano kilka godzin przed nabożeństwami w kościołach.

Po niemal 15 latach od śmierci (zabójstwa) patriarchy Tichona w 1925 r. Stalin podjął też decyzje o odnowieniu patriarchatu. Pod nadzorem NKWD zwołano w Moskwie synod biskupów, na którym obrano nowego patriarchę Sergiusza, już wcześniej znanego z bardzo patriotycznego stanowiska. Sergiusz wzywał wiernych do modlitwy o zwycięstwo w wojnie ojczyźnianej. Na jego polecenie w cerkwiach zbierano fundusze na zakup broni, zachęcano wiernych do wstąpienia do Armii Czerwonej. Państwo zapewniło patriarchatowi pomoc organizacyjną i materialną. Utworzono nawet specjalny organ państwowy: Radę ds. Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRS (później połączoną z Radą ds. Wyznań).

Trudno w to uwierzyć, ale wiele kościołów i cerkwi, otwartych na terenach okupowanych przez Niemców, nie zostało zamkniętych po ponownym wkroczeniu na te tereny Armii Czerwonej. Przyjęto w tej kwestii specjalną ustawę, która pozwalała na uznanie instytucji religijnych otwartych na terenach okupowanych jako „faktycznie działające". Tajny dekret Rady Komisarzy Ludowych Związku Sowieckiego „O cerkwiach i domach modlitwy" z dnia 1 grudnia 1944 r. zabraniał bowiem zamykania zarejestrowanych cerkwi i domów modlitwy bez zgody władz centralnych.

Podobna tajna uchwała („W sprawach prawosławnych i klasztorów" z 22 sierpnia 1945 r.) nadała strukturom kościelnym (patriarchatowi, administracjom diecezjalnym, wspólnotom parafialnym i klasztorom) ograniczone uprawnienia osób prawnych, umożliwiające nabywanie pojazdów, produkcję i sprzedaż przyborów kościelnych oraz przedmiotów kultu religijnego, wynajem, budowę i kupno domów na potrzeby kościelne. I choć wprowadzono praktykę rejestrowania danych paszportowych przy sprawowaniu sakramentu chrztu i innych sakramentów, to po latach okrutnego prześladowania religii i wiernych

eprasa.pl ab51039975

powyższe posunięcia stanowiły prawdziwą rewolucję w stosunkach państwo – Kościół.

W wyniku tych rozluźnień liczba parafii prawosławnych w ZSRS zauważalnie wzrosła. Do 1 stycznia 1957 r. w Związku Sowieckim zarejestrowanych było 13 478 parafii. Wzrost liczby parafii nastąpił także w wyniku przymusowego przeniesienia parafii unickich na zachodniej Ukrainie do Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej po rozwiązaniu unii brzeskiej z 1596 r. Według stanu na 2 stycznia 1948 r. z 2718 parafii unickich 2491 włączono do rosyjskiej Cerkwi. Znacząco wzrosła ponadto liczba duchownych prawosławnych. W cerkwiach pracowało 11 827 księży i diakonów.

Biskupi prawosławni, 1943 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Krótka odwilż

Może się to wydawać nierealne, ale ta krótkotrwała odwilż w stosunkach państwo – kościoły była silnie związana z osobą Stalina, który osobiście nakazał zmienić kurs polityki antyreligijnej ZSRS, dostrzegając pozytywny wkład Cerkwi w zwycięstwo Sowietów nad Rzeszą. Po śmierci Stalina w 1953 r. nowe kierownictwo partii, zajęte krwawymi porachunkami przy podziale schedy po „ojcu narodów", przez jakiś czas kontynuowało politykę pokojowego współistnienia z religią. Jednak już w 1954 r. Komitet Centralny KPZS przyjął uchwałę „W sprawie głównych niedociągnięć propagandy naukowo-ateistycznej i środków jej udoskonalenia", która ostro potępiła ożywienie działalności wspólnot religijnych oraz wzrost liczby obywateli praktykujących obrzędy religijne. Uchwała wzywała organizacje partyjne i komsomolskie, ministerstwa i związki zawodowe do zaostrzenia ateistycznego kursu. Niedługo później przyjęto kolejną uchwałę Komitetu Centralnego KPZS „W sprawie błędów w prowadzeniu propagandy naukowo-ateistycznej wśród ludności", w której zaproponowano konkretne działania w sprawie walki z Kościołem i nowe, bardziej restrykcyjne zasady rejestracji wspólnot wyznaniowych.

W latach 1957–1958 Nikita Chruszczow zdecydował o rozpoczęciu nowego „natarcia ateistycznego". Rozpoczęło się masowe zamykanie parafii i kościołów. W 1961 r., pomimo sprzeciwu wiernych i patriarchy, ławra Kijowsko-Peczerska została znowu zamknięta. Jednocześnie rozpoczęły się aresztowania działaczy kościelnych, którzy próbowali przeciwdziałać polityce państwa. Zatrzymano m.in. abp. Hioba Kresowycza.

W lipcu 1961 r., pod naciskiem władz, Sobór Biskupów Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej został zmuszony do przyjęcia nowelizacji regulaminu zarządzania Cerkwią, która wyłączała duchownych z udziału w działalności administracyjnej, finansowej i gospodarczej parafii.

Represje nie ominęły także Kościoła katolickiego. W byłych polskich wschodnich województwach zamknięto dziesiątki kościołów, aresztowano i skazano wielu księży. Również na Litwie i Łotwie doszło do represji wobec dużej liczby księży, zamknięto liczne kościoły. Podejmowano też próby niszczenia miejsc kultu, takich jak Góra Krzyży na Litwie. Jednocześnie w kościołach w krajach bałtyckich, w odróżnieniu od Białoruskiej i Ukraińskiej SRS, udało się ocalić biskupów i utrzymać seminaria duchowne. W latach 1960–1968 w ZSRS wyrejestrowano 69 kościołów katolickich.

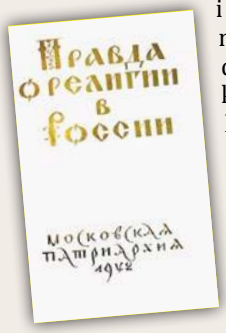

Rzekoma „Prawda o religii w Rosji", wydana w 1943 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Paradoksem jest to, że nasilenie walki z religią Nikita Chruszczow próbował łączyć z destalinizacją kraju, potocznie zwaną „odwilżą". Nasilenie walki antyreligijnej nastąpiło po XX Zjeździe KPZS, na którym Chruszczowowi udało się ugruntować swoją władzę. Na podstawie tajnej uchwały Komitetu Centralnego Rada Ministrów przyjęła wkrótce nowe ustawy: „W sprawie klasztorów w ZSRS" oraz „W sprawie podniesienia podatków od dochodów przedsiębiorstw diecezjalnych i klasztorów", które zniosły wprowadzone za Stalina ulgi podatkowe dla organizacji religijnych. Akcję prowadzono pod hasłem przywrócenia leninowskiej legalności i walki ze stalinizmem.

Od 1961 r., dekretem Rady Ministrów, otwieranie i zamykanie kościołów zostało przekazane jako kompetencja regionalnych komitetów wykonawczych, którym pozwolono też np. ograniczyć bicie przykościelnych dzwonów. Ponadto zakazano sprawowania wspólnych nabożeństw księży z sąsiednich kościołów w dni świąteczne, zabroniono udziału dzieci i młodzieży w chórach

eprasa.pl ab51039975

Władimir Putin i patriarcha Cyryl, 2012 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/KREMLIN.RU

i nabożeństwach, zakazano budowy domów mieszkalnych dla księży na koszt gminy, ograniczono procesje religijne i wstrzymano prowadzenie działalności charytatywnej. Wierni stali się tak naprawdę obywatelami drugiej kategorii. W pamięci zbiorowej mieszkańców ZSRS zachował się widok Chruszczowa, który z ekranów telewizorów grzmiał, że jeszcze za życia ówczesnego pokolenia władze pokażą wszystkim ostatniego człowieka w kraju wierzącego w Boga.

Za Chruszczowa ostatecznie ukształtował się pion władzy kontrolujący organizacje religijne. W pierwszych latach jego rządów kontrola odbywała się równolegle na dwóch poziomach. Pierwszym poziomem były Rada do spraw Wyznań i Rada do spraw Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, które podlegały Radzie Ministrów ZSRS. Drugim byli przedstawiciele obu rad, którzy działali w ramach regionalnych i terytorialnych komitetów wykonawczych.

Po upadku Chruszczowa w 1964 r. naciski na ateizację kraju nieco osłabły, ale generalna linia partii w stosunkach państwo – kościoły pozostała bez zmian. W dalszym ciągu dążono do wyrugowania religii z życia społecznego. Za czasów Leonida Breżniewa, w 1966 r, grupy aktywistów prowadzących propagandę ateistyczną przekształcono oficjalnie w komisje Rad. W 1964 r. utworzono Instytut Ateizmu Naukowego, który miał zostać centrum koordynującym walkę z religią. Nie spełnił on jednak swej roli, pozostając jedynie pseudonaukową placówką. Przy braku konkurencji ideologicznej poziom wyszkolenia kadr tej instytucji był wyjątkowo niski.

Nowa Konstytucja ZSRS z 1977 r., którą uroczyście nazwano „konstytucją zwycięskiego socjalizmu", zachowała i zacementowała faktyczną nierówność obywateli w zależności od ich stosunku do religii: ateiści mogli swobodnie propagować swoje przekonania, osoby wierzące nie miały natomiast prawa bronić swych poglądów. Wszyscy wierni mogli jedynie uczestniczyć w kulcie, przestrzegając jednak regulacji narzuconych przez państwo. Po stronie niewierzących pracowała natomiast ogromna rzesza zawodowych propagandystów, nauczyciele w szkołach i na uniwersytetach. Przy lokalnych komitetach partyjnych tworzono grupy „walczących" ateistów.

W dobie tzw. pierestrojki, po dojściu do władzy Michaiła Gorbaczowa, sytuacja religii w Związku Sowieckim uległa znacznej poprawie. Punktem zwrotnym były obchody tysiąclecia chrztu Rusi. W przededniu tego wydarzenia, w 1987 r., zniesiono wymóg obowiązkowego okazywania paszportów rodziców przy chrzcie dziecka. Wcześniej nakaz ten pozwalał władzom lokalnym na zgłaszanie takich przypadków do miejsca pracy rodziców w celu zastosowania wobec nich represji.

W 1988 r. Rada ds. Wyznań przy Radzie Ministrów zniosła zasadę, że budynki modlitewne są własnością państwa. Zatwierdzono również zalecenie państwowe dotyczące współdziałania zakładów penitencjarnych z kościołami i duchowieństwem, co umożliwiło związkom wyznaniowym udzielanie pomocy skazanym. Wreszcie w 1990 r. przyjęto ustawę „O wolności sumienia i organizacjach religijnych", która zakazywała popierania ateizmu przez instytucje rządowe. Ustawa przyznała zarazem organizacjom religijnym status osoby prawnej i umożliwiła im kontakty międzynarodowe bez pośrednictwa władz.

W grudniu 1990 r. uchwałą Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej Boże Narodzenie stało się dniem wolnym od pracy, a w grudniu 1991 r. nowy prezydent Rosji, Borys Jelcyn, wydał zarządzenie „W sprawie zwrotu budynków i literatury religijnej Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej". Była to przełomowa chwila w dziejach rosyjskiej Cerkwi.

Dziś Cerkiew prawosławna w Rosji doby Władimira Putina odzyskała częściowo swoje wpływy. Na czele Kościoła prawosławnego stanął patriarchą Kirył, który kieruje Cerkwią od 2009 r. Zajmuje on wyraźnie proputinowskie stanowisko niemal we wszystkich sprawach kraju. Uważa się, że Kirył i Putin są serdecznymi przyjaciółmi. W 2022 r. patriarcha poparł rosyjską inwazję na Ukrainę, będąc jednym z najważniejszych ideologów i zwolenników inwazji. Od kwietnia 2022 r. Kirył, w związku z jego zaangażowaniem na rzecz rosyjskiej agresji militarnej, objęty jest sankcjami przez Wielką Brytanię. 23 czerwca patriarchę objęła sankcjami Litwa, 8 lipca – Kanada, 19 października – Ukraina, 24 lutego 2023 r. – Australia i Nowej Zelandia, 26 kwietnia – Czechy, a 9 czerwca – Estonia. W tym spisie brakuje na razie Polski. Przed sankcjami Unii Europejskiej broni go weto Węgier.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ab51039975

Tomasz Stańczyk

Represjonowani, więzieni w łagrach, po uwolnieniu pozostali w Związku Sowieckim, nie chcąc opuszczać wiernych na dawnych Kresach i w Kazachstanie

Ksiądz Władysław Bukowiński jako więzień NKWD FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1939–2011 / Opór duchownych katolickich wobec ateizmu i komunizmu

Polscy księża niezłomni

Za pierwszego Sowieta", czyli podczas okupacji wschodnich województw Rzeczypospolitej w latach 1939–1945, nie prowadzono intensywnej walki z religią i Kościołem katolickim. Okupanci odsunęli ją na drugi plan. Pierwszoplanowymi zadaniami były bowiem rozbicie polskiej konspiracji i deportacja setek tysięcy Polaków, którzy w oczach sowieckich władz mogli stanowić społeczną bazę oporu wobec komunistów. Byli to głównie urzędnicy państwowi, policjanci, leśnicy, emerytowani wojskowi, rodziny zamkniętych w obozach oficerów, nauczyciele, „burżuje". Księża, rzecz jasna, także zaliczali się do tej kategorii. Jednak sowieckie władze uznały, że o ile „lud pracujący miast i wsi" nie będzie protestował przeciw deportacji przedstawicieli „pańskiej Polski", o tyle, pozostając wciąż „zaczadzony" religią, może wzburzyć się, gdyby zaczęto wywozić księży. Rozprawę z religią katolicką – tym niebezpieczniejszą, gdyż ściśle powiązaną z polskością – odłożono na dalszy czas. I rzeczywiście taki czas przyszedł po drugiej wojnie światowej, za Stalina i jego następcy – Chruszczowa.

Za pierwszego Sowieta

Nie znaczy to jednak, że w latach 1939–1941 pozostawiono w spokoju wszystkich księży. NKWD represjonowało odważnych i niepokornych duchownych, którzy nie wahali się odnosić krytycznie do sowieckiej rzeczywistości, a nawet brali udział w polskiej konspiracji. Tacy księża trafiali do więzień. Ksiądz Roman Dzwonkowski, autor „Leksykonu duchowieństwa polskiego represjonowanego w ZSRS", podaje, że w latach 1939–1941 represjonowanych było ok. 200 księży.

Ormiańskokatolicki ksiądz Adam Bogdanowicz został aresztowany za udział w lwowskich strukturach Związku Walki Zbrojnej, podobnie jak ks. Józef Panaś, kapelan Legionów Polskich podczas pierwszej wojny światowej. Panaś zginął tragicznie w więzieniu w 1940 r. Według oficjalnej wersji miał popełnić samobójstwo, najpewniej jednak został zamordowany, być może nie przeżył tortur.

W czerwcu 1941 r. kilka dni po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, gdy w panice wycofywali się Sowieci, w tym strażnicy NKWD, ludność Lwowa zaczęła rozbijać więzienie, w którym przebywał ks. Bogdanowicz. Nie chciał go opuścić dopóty, dopóki nie wyjdzie ostatni w nim

eprasa.pl ab51039975

osadzony. Niestety, enkawudziści wrócili i dokonali masakry pozostających jeszcze w murach więziennych ludzi. Był wśród nich także ks. Bogdanowicz.

Ksiądz Władysław Bukowiński, proboszcz katedry w Łucku, został aresztowany w 1940 r., a powodem, czy tylko pretekstem, było to, że kapłan podawał na dworcu kolejowym żywność i książeczki do nabożeństwa deportowanym Polakom. Cudem nie stał się ofiarą masakry więźniów dokonanej przez NKWD w łuckim więzieniu. Część więźniów popędzono na Wschód, był wśród nich ks. Marian Tokarzewski. Sowieci zwrócili na niego uwagę i aresztowali go, gdyż w przeszłości był kapelanem Naczelnika Państwa – Józefa Piłsudskiego – oraz prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Szczególnie interesowało ich jednak pokrewieństwo (rzekome) z gen. Michałem Tokarzewskim-Karaszewiczem. Duchowny został skazany na karę śmierci, zamienioną na 10 lat więzienia.

Proboszcz w Prużanie, ks. Kazimierz Świątek, był powiązany z konspiracyjną Organizacją Orła Białego. Został aresztowany w kwietniu 1941 r. Oskarżono go o to, że kierował organizacją ZWZ w Prużanie. Został uwięziony być może głównie dlatego, że – jak sam mówił – „jasno i wyraźnie zwalczałem bezbożnictwo i broniłem wiary przed propagandą ateistyczną".

Prokurator zapytał księdza, czy myśli, że kiedykolwiek będzie Polska. Ksiądz odpowiedział, że niczego nie myśli, gdyż czytał w więzieniu jedną z książek Stalina, w której autor pisze, że każdy naród ma prawo do własnej państwowości. Wtedy prokurator „podbiegł do mnie i z pianą na ustach wściekle na całe gardło wrzasnął mi prosto w twarz: »Ty polska swołocz, wiedz, że Polski nigdy nie będzie«. I cisnął mną w kąt".

Szczęście ks. Świątka polegało na tym, że więzienie w Brześciu znajdowało się tuż przy granicy niemiecko-sowieckiej i po ataku Niemców strażnicy nie mieli czasu, jak we Lwowie czy w Łucku, dokonać masakry więźniów i po prostu uciekli. Miejscowa ludność, z siekierami i łomami, pomogła uwolnić się więźniom. Podczas niemieckiej okupacji księża Bukowiński i Świątek pełnili swą posługę duszpasterską. Aż przyszła druga okupacja sowiecka. NKWD nie zapomniało o nich.

W styczniu 1945 r. ks. Władysław Bukowiński, bp Adolf Szelążek oraz ks. kanonik Karol Gałęzowski zostali wywiezieni przez enkawudzistów do Kijowa. Ksiądz Dzwonkowski cytuje w swoim dziele akt oskarżenia biskupa: „Od szeregu lat przewodzi w organizowaniu kontrrewolucyjnej nacjonalistycznej roboty, mającej na celu utrzymanie Polski w przedwojennych granicach z 1939 roku i oderwanie od Związku Sowieckiego zachodnich obwodów Ukrainy […]. Będąc biskupem rzymskokatolickiej diecezji w Łucku, był agentem Watykanu, kierował zbieraniem danych o charakterze politycznym i porządkował je w celu wysłania do Watykanu".

Te absurdalne oskarżenia dotyczyły także księży Bukowińskiego i Gałęzowskiego. W wyniku starań Watykanu i za pośrednictwem dyplomacji USA 80-letni bp Szelążek odzyskał wolność – został wydalony z ZSRS do Polski.

Ksiądz Karol Gałęzowski został skazany na osiem lat łagrów i zmarł w jednym z obozów w 1950 r. Sądzony wraz z nim ks. Bukowiński otrzymał wyrok o dwa lata dłuższy. Jako więzień łagru pracował w kopalni miedzi i niósł pociechę religijną więźniom, spowiadał, urządzał spotkania modlitewne. „Z jego inicjatywy muzułmanie zastąpili katolików w pracy w święto Wielkiejnocy, a katolicy i prawosławni zastąpili muzułmanów w święto zakończenia Ramadanu" – pisał ks. Dzwonkowski.

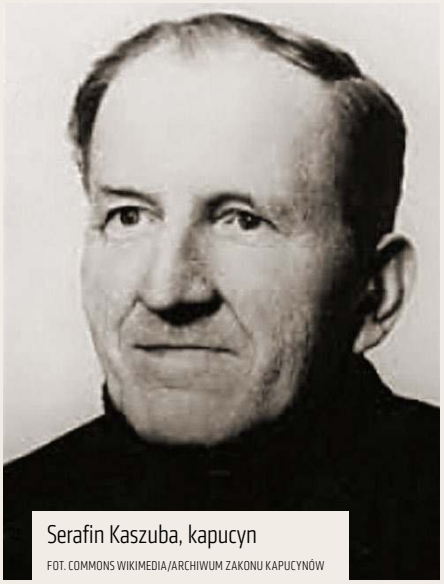

Serafin Kaszuba, kapucyn

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ARCHIWUM ZAKONU KAPUCYNÓW

Zwolniony w 1954 r. z łagru został skazany na trzyletnie zesłanie do Karagandy. Rok później miał możliwość wyjazdu do Polski. Odmówił, ponieważ chciał być w Kazachstanie duszpasterzem tysięcy Polaków wywiezionych w latach 30. z sowieckiej Ukrainy oraz tych deportowanych w 1940 r. Ale, by tak się stało, musiał przyjąć sowieckie obywatelstwo.

„Agent Watykanu"

Misyjne podróże ks. Bukowińskiego po Kazachstanie miały na celu podtrzymywanie wiary wśród Polaków. Zauważał, że „dopóki trzymają się wiary katolickiej, są Polakami. Jeżeli zaś zaczynają odchodzić od wiary katolickiej, rusyfikują się bardzo szybko" (W. Bukowiński, „Wspomnienia z Kazachstanu").

Ksiądz Bukowiński doprowadził do powstania kościółka w Karagandzie – był to zaadaptowany do potrzeb kultu dom, zakupiony za pieniądze wiernych. Władza sowiecka jednak tolerowała istnienie kościółka niewiele ponad rok. W lipcu 1957 r. został zamknięty. Ksiądz znów stanął przed sądem. Wobec zaostrzonego za Chruszczowa kursu na ateizację ludności ZSRS to właśnie wychowywanie w wierze młodego pokolenia było największą „winą" ks. Bukowińskiego. Został skazany na trzy lata łagru. Po wyjściu z obozu powrócił do Karagandy, ale szykany nie ustały. Był zatrzymywany przez milicję i wydalany z miejscowości, w których chciał prowadzić działalność misyjną. Zmarł w 1974 r. w Karagandzie.

Oprócz ks. Bukowińskiego działalność misyjną w końcu lat 50. w Kazachstanie prowadził także ks. Józef Kuczyński z diecezji łuckiej. Miał za sobą wyrok 10 lat łagrów z 1945 r., z czego większość spędził w kopalni węgla. Skazano go za to, że był „agentem Watykanu" i prowadził antysowiecką działalność. „Nabrałem przekonania – wspominał ks. Kuczyński – że Bóg dopuszcza zajadłą złość tej władzy, by dać opiekę religijną ludziom najbardziej udręczonym […]. Tam w tym mroźnym piekle prawdziwi kapłani doznawali radości niezmiernych, pocieszając najbardziej strapionych. Odprawiało się msze św., spowiadało, komunikowało w kopalni węgla na głębokości 900 m albo w domach zesłańców"

eprasa.pl ab51039975

(J. Kuczyński, „Między parafią a łagrem”).

Ksiądz Kuczyński, podobnie jak ks. Bukowiński, doprowadził do powstania kościółka w Tańczy. Świątynia została zamknięta, a kapłana skazano na siedem lat łagrów. Został zwolniony w 1965 r., po odbyciu całego wyroku. Później pracował w parafii w historycznym Barze na Ukrainie, zmarł w 1982 r.

Ksiądz Rafał Kiernicki FOT. LVOW.PL.UA

Trzecim katolickim duchownym pełniącym posługę duszpasterską w Kazachstanie był ks. Bronisław Drzepecki. On także miał wyrok, oczywiście za to, że był „agentem Watykanu”. Aresztowany w 1945 r. opuścił łagier w 1954 r. Tak jak księża Bukowiński i Kuczyński otworzył kościółek i tak jak oni stanął przed sądem i usłyszał wyrok. Z łagru został zwolniony w 1964 r., po czym pracował na sowieckiej Ukrainie.

Pod koniec lat 70. proboszczem lwowskiej katedry rzymskokatolickiej był ks. Rafał Kiernicki, franciszkanin. Podczas pierwszej sowieckiej okupacji Lwowa zaangażował się w działalność ZWZ. Aresztowany zdołał uniknąć masakry więźniów dokonanej we lwowskich więzieniach przez enkawudzistów. Rafał Kiernicki był szefem wywiadu lwowskiej AK. Został aresztowany wraz ze sztabem AK w 1944 r. W obozach dla żołnierzy AK spędził cztery lata. Powrócił do Lwowa i zaczął pracę w katedrze. „Z katechizacją sprawa była bardzo trudna. Katechizacja była po prostu zabroniona […]. Były takie okresy, że władze żądały, abyśmy sami dzieci z kościoła wyrzucali… No na to tośmy nie poszli” – wspominał.

Ksiądz Kiernicki wykonywał posługi duchowne dla wiernych kościoła greckokatolickiego, zniszczonego przez władze sowieckie niedługo po zakończeniu wojny. Odmawiał pisania sprawozdań do KGB z pracy w katedrze i parafii. Skończyło się to w 1958 r. pozbawieniem go uprawnień do sprawowania funkcji duszpasterskich. Pracował potem m.in. jako nocny stróż w parku Stryjskim. Potajemnie jednak nadal pełnił swoją kapłańską posługę, sprawując Msze Święte w domu lub w zakrystii kościoła św. Antoniego. Wreszcie w 1965 r. władze sowieckie pozwoliły mu oficjalnie pełnić posługę kapłańską. W 1991 r., po upadku ZSRS i przywróceniu hierarchii katolickiej, został lwowskim biskupem pomocniczym. Zmarł cztery lata później.

Heroiczna decyzja

Sowiecka władza nie zapomniała także o ks. Kazimierzu Świątku, który tak jak ks. Bukowiński i inni księża zrezygnował z wyjazdu do Polski, chcąc zostać z parafianami. Na księży wywierano brutalne naciski. Ksiądz Świątek stwierdzał: „Zdecydowałem się zostać dla dobra Kościoła i Polski”. Po pięciu miesiącach drugiej sowieckiej okupacji, w grudniu 1944 r., enkawudziści przyszli po księdza. Wśród nich zauważył on człowieka, który był przy poprzednim aresztowaniu. Postawiono duchownemu zarzut, że na jego plebanii gościł i mieszkał oficer SS. Ksiądz Świątek odparł, że Niemiec pojawił się w tym czasie, gdy on siedział w więzieniu w Brześciu. Dopatrzono się jednak udziału księdza w polskiej konspiracji. Próbowano go zwerbować, bez skutku. Wyrok, za przynależność do polskiej konspiracji, opiewał na 10 lat lagrów. Bez skutku ksiądz stwierdzał, że istnieje układ Sikorski-Majski, który amnestionował Polaków skazanych za przestępstwa polityczne.

Kardynał Kazimierz Świątek

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/SERGE SEREBRO, VITEBSK POPULAR NEWS

Ksiądz Świątek został zwolniony z obozu w 1954 r. Pojechał do Pińska i wszedł do tamtejszej katedry. Zastał tam modlących się ludzi. „W tym momencie uświadomiłem sobie paradoksalną sytuację: oto ksiądz stoi pod chórem, oparty o filar, i słucha Ewangelii czytanej przez kobietę w czasie odprawiającej się mszy bez kapłana. Łzy ciężkie i gorzkie zaczęły mi spływać po twarzy” (K. Świątek, „Melodie drewnianej łyżki”).

Choć nadal mógł wyjechać do Polski, to jednak poruszony tym widokiem postanowił zostać. Władze sowieckie usiłowały go skłonić, by porzucił myśl o duszpasterstwie, oferowały mu posady, byleby tylko nie był z wiernymi. Oczywiście odmówił. „Natychmiast zniknęła »wersalska« grzeczność i samarytańska »życzliwość«, a w ich miejsce zajęło brutalne chamstwo” – wspominał kapłan. Straszono księdza, że wróci znów na północ i zostanie tam na zawsze.

W kolejnych latach władze komunistyczne starały się jak najmocniej uprzykrzać życie księdzu i wiernym. Milicjanci fotografowali wiernych podczas mszy, chcąc ich zastraszyć, lecz któregoś razu zostali siłą wyprowadzeni ze świątyni.

Pełnomocnik do spraw religii w Pińsku zażądał od ks. Świątka, by z ambony wezwał dorosłych, by nie przyprowadzali dzieci na mszę. Ksiądz odpowiedział, że nie ma formalnego zakazu uczestnictwa dzieci we mszy, na co usłyszał, że jest takie polecenie. „Wówczas oświadczyłem, że jego żądania nie wypełnię, gdyż jestem księdzem katolickim, a nie agitatorem komunistycznym” – wspominał ks. Świątek. Tenże sowiecki urzędnik zażądał, by ksiądz nie mówił podczas kazań o kodeksie moralnym katolicyzmu, gdyż jest tylko jeden kodeks – komunistyczny. Oczywiście i tym razem ks. Świątek stawił skuteczny opór. W 1991 r. Jan Paweł II mianował ks. Świątka administratorem diecezji pińskiej i arcybiskupem metropolitą mińsko-mohylewskim, a trzy lata później – kardynałem. Kazimierz Świątek zmarł w 2011 r. w Pińsku w wieku 96 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ab51039975

PAMIĘĆ / WIEDZA / HISTORIA

WOJNA I PAMIĘĆ

CZASOPISMO MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ W GDAŃSKU

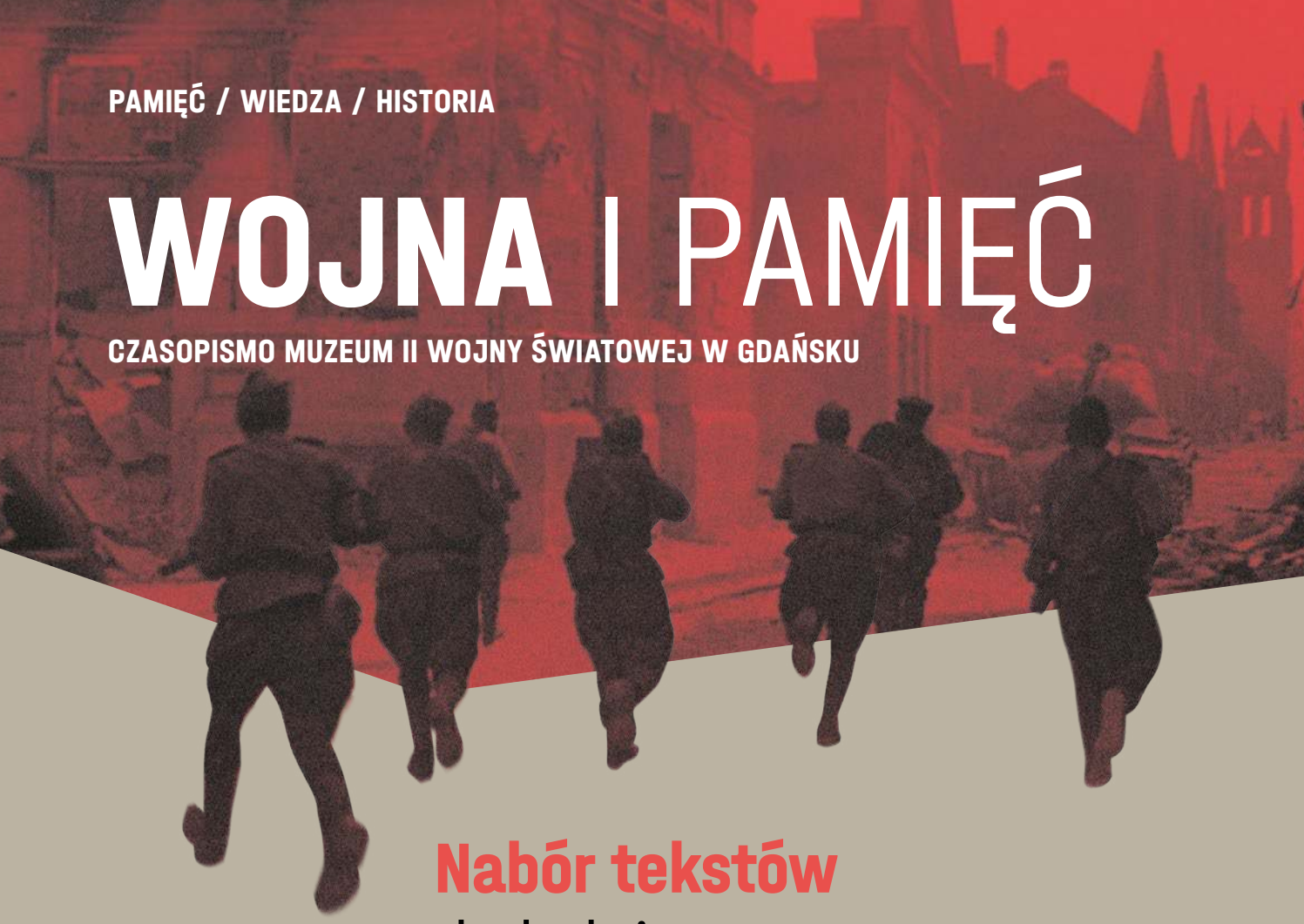

Nabór tekstów
do kolejnego numeru czasopisma

Termin **31 stycznia 2024 r.** → Więcej szczegółów na **muzeum1939.pl**

„Wojna i Pamięć" znajduje się na liście czasopism punktowanych MEiN. Za publikację na łamach periodyku jest przyznawanych **140 punktów**.

Poprzednie numery rocznika są dostępne w naszym sklepie internetowym **muzeum1939.comarch-esklep.pl** i w stacjonarnych punktach sprzedaży.

Muzeum II Wojny Światowej

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl ab51039975

Ku Bałtykowi

Boje Mieszka z Wichmanem

Pierwszy wróg Polan

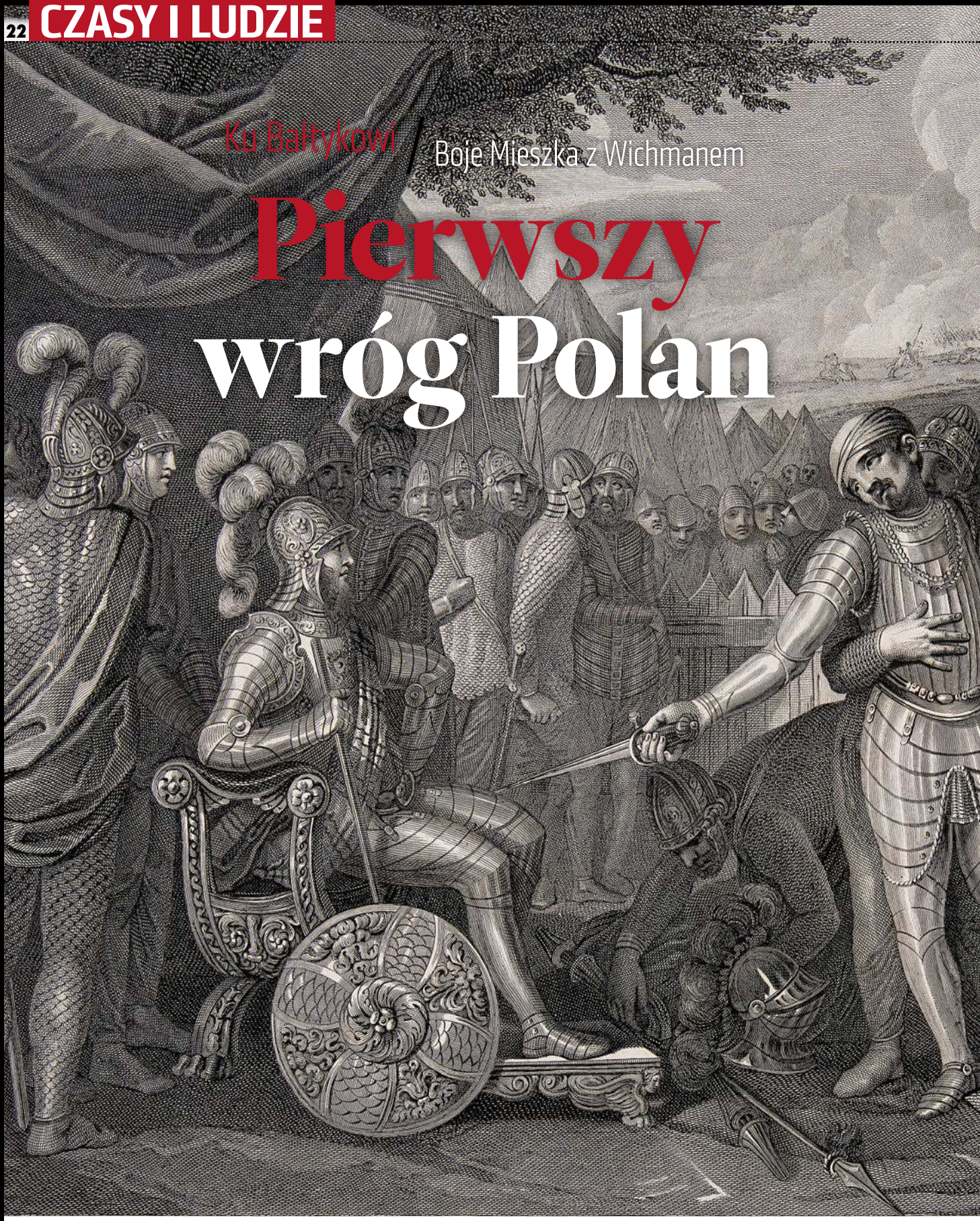

eprasa.pl ab51039975

Wichman poddaje się Mieszkowi I. Grafika na podstawie obrazu Franciszka Smuglewicza
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Leszek Lubicki

„Mieszko I i Wichman to pierwsze postacie naszej historii. Mieszko otwiera poczet historycznych monarchów dynastii Piastów, Wichman zjawia się jako pierwszy nasz wróg i napastnik”

Dzieje Polski zaczęły się w 966 r.”. Tak ogólnie uczą nas w szkołach, gdyż jest to symboliczny początek naszego państwa łączony z chrztem Mieszka I. Wówczas państwo Polan „weszło do Europy”, a polski książę został tym samym „przyjacielem cesarza”. Był nim wówczas król niemiecki z dynastii saskiej Otton I, który w roku 962 odnowił godność cesarza rzymskiego. Ta formalna „przyjaźń” nie uchroniła jednak Polski od konfliktów ze wschodnioniemieckimi panami feudalnymi. Musimy jednak pamiętać, że nie były to walki z państwem niemieckim.

Wygrana przez Mieszka bitwa pod Cedynią (Cidini) w 972 r. była całkowicie inicjatywą niejako prywatną, podjętą przez Niemców pod wodzą margrabiego Hodona, bez uzgodnienia (prawdopodobnie) z cesarzem. Niemniej uważana jest za pierwsze polsko-niemieckie zbrojne starcie i od razu wygrane. Z cesarstwem bowiem stosunki Mieszka układały się od początku poprawnie, choć polański książę płacił im trybut. Akt chrztu polskiego władcy oznaczał, że chrześcijańskie, choć tylko formalnie, było całe terytorium podległe jego władzy. „Chrzest przesądził więc o tym, że pod względem kulturowym państwo Mieszka stało się częścią Europy Zachodniej, aczkolwiek w wieku X (i nie tylko) pozostawało na głębokich jego peryferiach” (Urbański, 2005).

Państwo Mieszka I

Stało się państwo Mieszka „państwem Bożym”, a zatem mogło liczyć na to, że nie zostanie zaatakowane przez inne państwa chrześcijańskie. Najbardziej należało się obawiać bliskich nam geograficznie Niemców, choć bezpośrednio z nimi nie sąsiadowaliśmy. Byliśmy od nich odgrodzeni przez grupę Słowian połabskich. Ci jednak nadal tkwili głęboko w pogaństwie i nie zamierzali swoich wierzeń zmieniać. To na nich cesarstwo postanowiło skupić swoje działania chrystianizacyjne, choć wiemy, że nie czyniono tego z krzyżem w ręku, tylko z mieczem. Niemniej graniczenie z grupami Słowian zachodnich wcale nie oznaczało, że możemy się ich nie obawiać. Z jednej strony dla państwa Mieszka taki stan rzeczy był

Mieszko I według Jana Matejki FOT. WIKIPEDIA

pożądany, bo na nich skupiała się agresja Niemiec rozpoczęta na długo przed chrztem księcia Polan. Ten jednak także nie próżnował. Po zdobycze terytorialne ruszył zarówno na wschód, opanowując m.in. ziemię sandomierską oraz – co ważne dla tej opowieści – tereny leżące na zachodzie. Wszedł piastowski książę w bezpośredni kontakt z panami saskimi po zdobyciu części dzisiejszej ziemi lubuskiej, a pośrednio również z pogańskimi Wieletami, którzy byli sprzymierzeni

eprasa.pl ab51039975

Bitwa pod Cedynią. Mozaika na Górze Czcibora

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JAN M

z Czechami. Z tego kierunku zagrożenie już było poważne. Tam bowiem szalał sprzymierzony z Wieletami niemiecki graf buntownik Wichman. „Klęska w konfrontacji z nimi, a zwłaszcza ewentualna śmierć księcia na polu bitwy, oznaczałaby prawdopodobnie rozpad państwa, które dołączyłoby do licznego grona podobnych, efemerycznych tworów plemiennych" (Wilamowski, „Leksykon" 1999).

O Wichmanie i jego atakach na państwo Mieszka wiemy ze źródła pisanego już trzy lata przed chrztem, o czym szerzej w dalszej części naszej opowieści. Pierwsze wiadomości o Polsce nie pochodzą jednak z rodzimych źródeł, gdyż tutaj prawdopodobnie nikt pisać nie umiał lub też nie widziano potrzeby zapisywania czegokolwiek. Brak sąsiedztwa ze światem uważanym wówczas za cywilizowany także utrudniało pozyskanie tamtejszym kronikarzom dokładniejszych wiadomości o kraju Polan. Niemniej mamy przykłady, że co nieco zanotowano. W latach 966–1967 żydowski podróżnik, geograf, a niektórzy sądzą, że także szpieg, Ibrahim ibn Jakub, przebywał w Magdeburgu i Pradze, zatem musiał wiedzę o Polsce posiadać z czasów wcześniejszych. Zapisał on: „A co się tyczy kraju Mśko [...], to obfituje on w żywność, mięso, miód i rolę orną. Pobierane przez niego opłaty stanowią odważniki handlowe [tj. monety lub kruszec]. Idą one na żołd jego mężów [lub: piechurów]. Co miesiąc przypada każdemu z nich oznaczona ilość z nich. Ma on 3000 pancernych [raczej zbrojnych] podzielonych na oddziały, a setka ich znaczy tyle co dziesięć secin innych wojowników. Daje on tym mężom odzież, konie, broń i wszystko, czego tylko potrzebują".

Profesor Gerard Labuda dokonał bardziej szczegółowych obliczeń sił zbrojnych Mieszka. Posłuchajmy: „Jeżeli przyjmiemy, że Polska Mieszkowa, składająca się około roku 960 z Wielkopolski, Kujaw i Mazowsza, a także z Ziemi Lubuskiej i części Pomorza, rozciągała się na przestrzeni około 120 tys. km^2 i że zaludniona była ona w stosunku 5 osób na l km^2, co równocześnie odpowiadało stosunkowi l rodzina na l km^2, to ówczesne zaludnienie jej wynosiło 600 tysięcy osób. Odpowiadało to 120 tys. ojców rodzin, a to z kolei pozwala obliczyć, iż książę polski mógł mieć do dyspozycji 12 tys. osób zdolnych do noszenia broni; praktycznie jednak trzon wojska stanowiły oddziały z Wielkopolski i Kujaw, co stanowiło jedynie połowę tych sił. Wynika z tego, iż Mieszko trzymał przy sobie stale pod bronią połowę ludzi zdolnych do noszenia broni" (Labuda, 2009). Prosta matematyka mówi nam, że siły Mieszka wynosiły wówczas 6 tys. zbrojnych. Zapewne tylko część z nich przebywała jako drużyna bezpośrednio przy władcy. Reszta rozmieszczona w grodach pozostawała w gotowości bojowej. Zatem „w r. 963 i następnych pojawia się Polska na widowni dziejowej, jako państwo terytorialnie już silnie rozwinięte, z księciem na czele; i z pierwszych zaraz wiadomości źródeł pisanych widać, że ten organizm państwowy nie znajduje się bynajmniej w jakimś początkowym zupełnie stadium rozwoju, lecz jest już wcale silnie skrzepnięty, ma szereg instytucji już wyrobionych, ma, jednym słowem, najwidoczniej dłuższą tradycję istnienia i rozwoju za sobą" (Grodecki, 1995).

Wichman

„Mieszko I bronią Wichman to pierwsze postacie naszej historii. Mieszko otwiera poczet historycznych monarchów dynastii Piastów, Wichman zjawia się jako pierwszy nasz wróg i napastnik" (Widajewicz, 1933). Zarówno stwierdzenie, jak i zapis kolejnego skryby, na którego się powołamy, aby uzasadnić, że historia Polski, ta pisana, nie zaczęła się w 966 r., tylko trzy lata wcześniej. Mowa o „Dziejach saskich" benedyktyńskiego mnicha Widukinda z Kobrei, który pod rokiem 963 skreślił: „Tak więc komes Gero, dobrze pamiętając przysięgi Wichmana, gdy widział, że został on oskarżony, odesłał go do barbarzyńców, od których go [przedtem] odebrał. Przez nich chętnie przyjęty, natarł w częstych walkach na dalej w głębi mieszkających barbarzyńców. Króla Mieszka, którego władzy podlegali Słowianie, zwani Licicaviki, pokonał za dwoma nawrotami, jego brata zabił, wielką zdobycz mu zabrał". Ciekawość może budzić w tym zapisie nazwa „Licicaviki". Pada ona tylko raz w kronikach z owych czasów, właśnie u Widukinda. Uczeni do tej chwili nie ustalili jednoznacznie, kogo kronikarz miał na myśli. Są dwie koncepcje. „Zdaniem zwolenników pierwszej z nich, Widukind nazwą Licicaviki określił ogół poddanych Mieszka, według ich oponentów – jedynie jakąś część, odłam" (Strzelczyk, 2016). Możemy zatem założyć, że „pisana historia Polski miałby się zaczynać nie od szczęśliwego spotkania z Dobrawą i chrztu Mieszka, ale od dramatycznego zagrożenia Mieszkowego państwa przez zewnętrzny najazd" (Nowak, 2014). Niemiecki kronikarz wspomniał o zabiciu brata Mieszka, którego imienia nie znamy. Niektórzy historycy przypuszczają, że miał on na imię Leszek. Jeżeli przypomnimy sobie przodków pierwszego historycznego władcy Polan wymienionych przez Galla Anonima, to Lestek był dziadkiem Mieszka. Zatem nie byłoby nic dziwnego, że jeden z jego potomków dzierżył imię po swoim bliskim przodku.

Kim był ów Wichman, który dwa razy pokonał polańskie wojsko? To saski graf pochodzący z poważnego rodu Billungów, krewny Ottona I. Brał udział w buncie przeciw temu cesarzowi. Wystąpił także przeciwko stryjowi, księciu saskiemu Hermanowi, którego oskarżył o zagarnięcie dóbr. Uwięziony uwolnił się i udał do Wieletów, aby dalej

eprasa.pl ab51039975

szkodzić swojemu władcy. Przebywał także u króla duńskiego Haralda Sinozębego, którego namawiał do wyprawy na Sasów. Nic nie zyskał. I w końcu będąc w sytuacji bez wyjścia – powiada prof. Jerzy Strzelczyk – „schronił się u Gerona [margrabia Marchii Wschodniej – przyp. red.], z którym był spowinowacony. Margrabia, zapewne nie chcąc wydawać zdrajcy na pewną śmierć, wysłał go […] do jakiś pogańskich plemion, by dokonał tam czynów ważnych i korzystnych dla królestwa niemieckiego i w ten sposób zasłużył na łaskę Ottona I" („Władcy Polski", 2018).

Trzecia bitwa

Pokonując, według Widukinda, wcześniej dwa razy Mieszka, teraz, w roku 967, po zawarciu małżeństwa z Dobrawą, czeską księżniczką, i po chrzcie władcy Polan, sytuacja diametralnie się zmieniła. Czesi wcześniej byli od dawna w sojuszu z Wieletami z uwagi na wspólne zagrożenie niemieckie. Teraz „Mieszko wzmocniony sojuszem z Czechami, wznowił program opanowania zachodniej połaci Pomorza. Tym razem chodziło zapewne o opanowanie Wolina […]. Wolinianie, mogąc liczyć na poparcie plemion wieleckich, których część sami stanowili, przystąpili w roku 967 do przeciwuderzenia. Przyłączył się do nich, po raz trzeci, Wichman" (Labuda, 2012).

Zapewne polscy szpiedzy donieśli swojemu władcy, że niemiecki buntownik mobilizuje Wieletów do najazdu na podlegające mu tereny. To pogańskie plemię miało interes podwójny, aby zaatakować Mieszka. Zapobiec najazdowi polańskiego księcia, a także – jak to wówczas bywało – zdobyć łupy i niewolników. Teść Mieszka, czeski książę Bolesław Srogi, wysyła mu na pomoc dwa hufce jazdy. 22 września 967 r. dochodzi do decydującej bitwy. Oblicza się, że po obydwu stronach mogło walczyć po ok. 5 tys. zbrojnych. Jej miejsce nie jest nam znane. Niektórzy historycy domyślają się, że mogły to być okolice Santoka, a być może i Cedyni, zatem na terenie Pomorza Zachodniego, gdzie pięć lat później Mieszko ze swoim bratem Czciborem pokonali margrabiego Hodona.

Teraz, po początkowym natarciu Wolinian i przechylaniu się szali zwycięstwa na ich stronę, polańscy wojowie cofnęli się, wciągając ich w zasadzkę. Wolinianie przekonani, że zwycięstwo jest już blisko, natarli z wielkim impetem. Był to jednak zaplanowany manewr wojsk Mieszka. Przeciwnicy zostali w ten sposób oskrzydleni, a czeska jazda uderzyła w centrum napastników. Zaczyna się panika wśród Wolinian, a później ich rzeź. Sam Wichman próbuje ratować się ucieczką. Towarzyszy mu kilku uratowanych niedobitków. Zatrzymują się w jakiejś chacie na posiłek. I tutaj zostają otoczeni przez polskich i czeskich wojów. Widząc, że niemiecki awanturnik posiada bogatą zbroję i zdobiony miecz, żądają jego wydania. Ten jednak nie godzi się, zakładając, że będąc krewnym cesarza, nic mu się nie stanie. A poza tym nie godzi się rycerzowi oddawać swojego miecza. Stawia warunek, że odda go tylko Mieszkowi. Nie będzie bowiem, jako wysoko urodzony, pertraktował z prostymi wojami. Ich jednak jego pochodzenie mało interesuje. Dochodzi do walki, w której Wichman jest bez szans.

Ciężko ranny oddaje miecz jednemu z ważniejszych rycerzy, prosząc, aby został on przekazany Mieszkowi, by polski książę odesłał go cesarzowi. Konając, „padł na kolana na ziemię, złożył ręce i głośno po niemiecku modlić się zaczął […]. Tak skończył ów warchoł, który z Geronem razem napadał naprzód Polan, potem na nich wiódł Wolinców, wojował za cesarza i przeciw niemu, ze Słowiany i na Słowian, i nigdzie nie znalazłszy spokoju, musiał umrzeć, aby przestać mącić go drugim. Naprzeciw zagrody słowiańskiej usypano mogiłę comesowi, na której krzyża nie było komu postawić" (Kraszewski, 1966). To tylko słowa z powieści, ale jakże pięknie i trafnie wyrażone. Miecz zgodnie z wolą poległego Mieszko kazał odesłać Ottonowi.

Spójrzmy na koniec tej opowieści na grafikę ją ilustrującą. Jak łatwo dojrzeć, nie ma ona nic wspólnego z zapisami historycznymi. Jej autor, Franciszek Smuglewicz, w ogóle nie dostosował się do realiów epoki. Rażą niehistoryczne stroje osób na nim umieszczonych, a „postacie na jego obrazach są malowane jakby przez szablon i pozbawione wyrazu, który zastępują nienaturalne gesty rąk" (Ryszkiewicz, 1999–2000). Twórcy epoki oświecenia „mieli do historii stosunek naiwny i prosty. Historia zarówno przeszła, jak i współczesna, wielka, jak mała, heroiczna równie dobrze, jak alkowiana, była dla nich tylko nauką obyczajów" (Porębski, 1962). Bodaj dlatego na grafice widzimy, że Wichman oddaje bezpośrednio miecz Mieszkowi, a przecież nie tak było. Być może artysta chciał w ten sposób podkreślić, że bitwa ta od początku aż do samego końca Wichmana była sukcesem polskiego władcy, czyli – mówiąc językiem sztuki – zastosował tu moralizującą metaforę.

Figurka Świętowita z Wolina

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/KAPITEL

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

LITERATURA:

Grodecki R., Zachorowski S., ***„Dzieje Polski średniowiecznej",*** *Kraków 1995; Kraszewski J.I.,* ***„Lubonie",*** *Warszawa 1966; Labuda G.,* ***„Mieszko I",*** *Wrocław 2009; Labuda G.,* ***„Pierwsze wieki monarchii piastowskiej",*** *Poznań 2012; Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski",*** *Warszawa 2018; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski",*** *t. 1, Kraków 2014; Porębski M.,* ***„Malowane dzieje",*** *Warszawa 1962; Praca zbiorowa,* ***„Piastowie. Leksykon biograficzny",*** *Kraków 1999; Ryszkiewicz A.,* ***„Franciszek Smuglewicz"****, PSB, t. XXXIX, Warszawa 1999–2000; Strzelczyk J.,* ***„Mieszko Pierwszy. Chrzest i początki Polski"****, Poznań 2016; Urbański M.,* ***„Poczet królów i książąt polskich",*** *Warszawa 2005; Widajewicz J.,* ***„Wichman",*** *Poznań, 1933.*

eprasa.pl ab51039975

XVI w. / Formowanie się holenderskiej tożsamości

Czas Niderlandów

Anthonie Waldrop „Zdobycie Den Briel. 1572 r." FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Grzegorz Janiszewski

„Szał obrazoburców" był początkiem zdarzeń, które doprowadziły do niepodległości Holandii. Przyniosły one również niebagatelne konsekwencje dla całego świata

10 sierpnia 1566 r. na placu przed kościołem św. Wawrzyńca w Steenvoorde Sebastian Matte wygłaszał płomienne kazanie. Jego niebieskie pończochy wskazywały, że jest „pastorem zza żywopłotu", jak nazywano kaznodziejów głoszących wówczas w Niderlandach nauki w ukryciu przed czujnym okiem inkwizycji. Matte perorował przeciw zasadom świętej katolickiej wiary i jej symbolom. Kiedy skończył, podburzony tłum słuchaczy, pod przywództwem byłego augustianina Jakuba de Buzere, ruszył do kościoła. Tłuszcza zaczęła zrywać obrazy ze ścian i zwalać na posadzkę figury świętych. Znoszono je na plac przed kościołem, gdzie wkrótce zapłonęły na stosie. Nie ostał się nawet krucyfiks zrzucony z belki tęczowej specjalnie przyniesionymi linami. Kilku co bardziej przedsiębiorczych słuchaczy wychodziło z zakrystii, wynosząc srebrne kielichy i pateny.

W ciągu następnych dwóch miesięcy podburzone tłumy wdzierały się do kościołów i klasztorów w całych Niderlandach. W szale „oczyszczania" niszczyli i plądrowali świątynie, torując drogę potępiającemu kult świętych kalwinizmowi.

„Szał obrazoburców", jak później go nazwano, był początkiem zdarzeń, które doprowadziły do niepodległości Holandii i uformowania holenderskiej tożsamości narodowej. Przyniosły one również niebagatelne konsekwencje dla całego świata.

Najbardziej nowocześni

W średniowieczu Niderlandy, czyli obszar obejmujący mniej więcej dzisiejszy Beneluks, należał do najbardziej rozwiniętych i bogatych części Europy. Na zurbanizowanych terenach z zamożnym społeczeństwem rozwinęły się specyficzne formy rządów. Dominowało mieszczaństwo – kupcy i rzemieślnicy, którzy w lokalnych parlamentach potrafili zdominować feudalnych władców.

Kiedy obszar ten stał się częścią Burgundii – jednego z owych, jak pisał Norman Davies, „zaginionych królestw" – żył bardziej swoim życiem, pielęgnując samorządność w chwiejnej równowadze między Francją a Rzeszą Niemiecką. Zapowiedzią problemów było przejęcie go w 1482 r. przez Habsburgów. W północnej części Niderlandów szybko zaczął się plenić kalwinizm. Było to nie do przełknięcia dla arcykatolickiej dynastii. Zaczęły się prześladowania heretyków. Po objęciu w 1555 r. władzy przez wychowanego w Hiszpanii Filipa II przybrały one na sile.

Niderlandy były centrum, w którym krzyżowały się szlaki handlowe całego znanego wówczas Europejczykom świata. Do portów przypływały zboże, drewno i smoła z Gdańska oraz innych bałtyckich portów. W drugą stronę płynęły przywiezione z kolonii przyprawy, klejnoty i tkaniny. Przynosiło to ogromne zyski. Powstawały pierwsze giełdy, na których handlowano już nie tylko towarami, lecz także wekslami i obligacjami. Dawało

eprasa.pl ab51039975

to potężny lewar finansowy dla nowych inwestycji. Kapitalistyczne stosunki i mechanizacja produkcji szybko wypierały feudalizm i pracę ludzkich mięśni.

Rządzący z Madrytu Habsburgowie potrzebowali niderlandzkich pieniędzy, głównie na obronę imperium, „nad którym nie zachodziło słońce". W latach 1560–1604 ich wydatki na prowadzone wojny podwoiły się. Istotne było też strategiczne położenie Niderlandów w centrum Europy. W 1524 r. wprowadzono tam inkwizycję, ale tradycyjne metody kontrreformacji nie działały na zamożnych i wykształconych mieszczan. Kościół był skompromitowany rozwiązłością i chciwością kleru. Biedota łasym okiem patrzyła na bogactwa zgromadzone przez księży.

Początkowo wydawało się, że z wyznaczoną na namiestniczkę Niderlandów siostrą Filipa II Małgorzatą uda się porozumieć. W 1564 r. opozycja na czele z Wilhelmem I Orańskim, zwanym Milczkiem, wymusiła odwołanie pierwszego ministra – zwolennika kontrreformacji kard. Antoine'a de Granvelle'a – oraz obietnicę likwidacji inkwizycji. Wkrótce jednak przerażony „szałem obrazoburców" Filip odwołał Małgorzatę i wysłał tam zaufanego Fernanda Alvareza de Toledo, księcia Alby, jako namiestnika z poleceniem rozprawienia się z buntownikami. Alba był utalentowanym żołnierzem, który wcześniej odniósł liczne sukcesy w walkach z Turkami, Francuzami i niemieckimi protestantami. Wyruszył do Niderlandów tzw. hiszpańską drogą prowadzącą z Genui przez alpejskie przełęcze oraz Luksemburg i przybył do Brukseli w sierpniu 1567 r. wraz z 10 tys. żołnierzy.

Trzon stanowiły tercios – wówczas najlepsze na świecie jednostki piechoty. Hiszpanie umiejętnie połączyli w nich uzbrojenie obronne, czyli piki, z ofensywną bronią palną. Kilkutysięczne formacje uzbrojone w tysiące pik oraz setki arkebuzów i muszkietów były nie do pokonania nawet przez ciężką jazdę, o piechocie nie wspominając.

Alba miał zamiar przeprowadzić ograniczoną operację. Raczej demonstrację siły niż pacyfikację. Jednak samo pojawienie się obcego wojska w niepodległym przecież kraju i aresztowania przywódców rozjuszyły przyzwyczajonych do samorządności Niderlandczyków. We wrześniu Alba pisał do Filipa II, że „spokoju w tych prowincjach nie da się zaprowadzić przez ucinanie głów", ale wkrótce powołał tzw. Radę Zaburzeń, która decydowała o aresztowaniach, konfiskatach mienia i egzekucjach. Wkrótce zaczęto ją nazywać „krwawą radą". Jej wyroki odbijały się echem w całej Europie i jednoczyły mieszkańców do walki z okupantem niezależnie od wyznawanej wiary. W 1569 r. Alba wprowadził nowy, 10-procentowy podatek od majątku, przeznaczony głównie na utrzymanie wojska. Hiszpańscy żołnierze zaczęli łupić niderlandzkie miasta, nie oszczędzając mieszkańców. Obustronnej przemocy nie dało się już powstrzymać. Wybuchł konflikt nazwany później wojną osiemdziesięcioletnią.

Dirk van Delen „Obrazoburcy w kościele" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Wilhelm I Orański FOT. COMMONS WIKIMEDIA/RIJKSMUSEUM

Wodna wojna

Z hiszpańską armią trudno było wygrać w polu, więc działania przybrały charakter szarpany. Buntownicy używali tego, w czym byli naprawdę dobrzy. Hiszpanie musieli oblegać liczne, ufortyfikowane miasta, w których bronili się rebelianci. Walka nie przypominała potyczek na europejskich równinach. Alba, który w swoim życiu powąchał wiele prochu, tak pisał do Filipa: „To najdziwniejsza wojna, w jakiej brałem udział". Jednym z największych sprzymierzeńców Niderlandczyków była woda, z którą od wieków walczyli i którą oswoili w stopniu nieznanym innym europejskim narodom. Tak zwani morscy gezowie w 1572 r. zajęli północne porty w Holandii i Zelandii. Do kraju wkroczył wygnany Wilhelm Orański ogłoszony stadhouderem, czyli namiestnikiem. Hiszpanie, których sukces zależał od utrzymania żołnierzy w zwartym szyku i zdyscyplinowania, nie byli przygotowani na niderlandzkie zasadzki. Jak pisał Alba: „To bardzo dziwny kraj do prowadzenia wojny. Żołnierze są bardzo przygnębieni. W środku zimy muszą forsować zalane pola, obawiając się zdradliwych kanałów. Muszkiety zamakają na pełnych błota drogach. Kiedyś wiatr był tak silny, że zdmuchnął dwie

eprasa.pl ab51039975

Mapa Niderlandów, XVI w. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

kompanie z grobli". Tam, gdzie Hiszpanie potrzebowali mostów, Holendrom wystarczały długie tyczki, na których przeskakiwali przez kanały.

Podczas oblężenia przez Hiszpanów Haarlemu na przełomie lat 1572 i 1573 zapasy dla obrońców dowożone były przez jezioro Haarlemmemeer. Kiedy woda w nim zamarzła, unieruchamiając statki, ich załogi wybudowały lodową twierdzę, w której skutecznie broniły się przed Hiszpanami. „Myślę, że nikt jeszcze nie słyszał o walce stoczonej na arkebuzy na zamarzniętym jeziorze" – pisał Alba do Króla. Haarlem w końcu został zdobyty, a Hiszpanie ruszyli dalej, na Alkmaar. Obrońcy otworzyli tamy i zalali okoliczne pola. Zagrzebani w błocie Hiszpanie w październiku 1573 r. musieli odstąpić od oblężenia miasta. Nie posunęli się już dalej na północ. Po tych niepowodzeniach w grudniu 1573 r. Alba został odwołany do Hiszpanii. Filip II, głównie na skutek wydatków na wojnę w Niderlandach, musiał ogłosić bankructwo państwa. Bankierzy odmówili pieniędzy na żołd, a wysłane z Hiszpanii statki z ładunkiem 400 tys. florenów zostały zatrzymane przez sprzyjających Holendrom Anglików w ich portach, gdzie schroniły się przed burzą. Nieopłacani żołnierze zaczęli rabować na własną rękę. W listopadzie 1576 r. zbuntowani tercios zdobyli i złupili Antwerpię. Podczas trzydniowego rabunku i rzezi torturowano rodziców na oczach dzieci, niemowlaki zarzynano w ramionach matek, żony gwałcono na oczach mężów. Zginęło od 7 do 17 tys. mieszkańców, spalono tysiąc budynków. Po tych wydarzeniach nazwanych „Hiszpańską Furią" miasto nigdy nie powróciło do dawnej świetności.

Droga do niepodległości

Wydarzenia takie nie przysparzały też Hiszpanom uznania w świecie. W Niderlandach w tym samym miesiącu została podpisana tzw. Pacyfikacja z Gent, jednocząca wciąż katolickie południowe i protestanckie północne prowincje we wspólnej walce przeciw Hiszpanom pod przywództwem Wilhelma Orańskiego. Gwarantowano przy tym wolność wyznania. Dziesięć lat prowadzenia przez Hiszpanów wojny poszło na marne. Zaczęło się ponowne odzyskiwanie miasta po mieście i prowincji po prowincji. W końcu w styczniu 1579 r. hiszpańskiemu namiestnikowi Aleksandrowi Farnese udało się doprowadzić do podpisania Unii w Arras, w której południowe Niderlandy poddały się władzy Filipa II. Kilkanaście dni później kalwini na północy przypieczętowali ten podział, zawierając Unię w Utrechcie. Droga do późniejszego podziału Niderlandów na Holandię i Belgię została otwarta. Walki trwały nadal pod przywództwem Wilhelma Orańskiego, a przedstawiciele prowincji północnych w lipcu 1581 r. w Hadze podpisali „Plakkaat van Verlatinghe" – deklarację niepodległości. Filip II oczywiście jej nie uznał, a Wilhelma wyjął spod prawa i wyznaczył za jego głowę 25 tys. koron, nazywając „szkodnikiem całego chrześcijaństwa i wrogiem rodzaju ludzkiego". Stadhouder w lipcu 1584 r. został zastrzelony przez katolickiego fanatyka Baltazara Gérarda, który zaczaił się na niego na ciemnych schodach pałacu w Delft.

Cud Niepokalanego Poczęcia

Po śmierci Wilhelma Hiszpanie postanowili przejąć inicjatywę. W letniej kampanii 1585 r. zajęli wiele niderlandzkich miast, m.in. Nijmegen, Hertogenbosch i Antwerpię. Przed planowaną na następny rok kampanią w Brabancji i Geldern wojska zaległy na zimowych leżach. 20 listopada 5 tys. żołnierzy z tercji Franciska Bobadilli zajęło wyspę Bommelerwaard leżącą pomiędzy rzekami Mozą i Waal. Gospodarstwa na wyspie wykarmiłyby Hiszpanów, ale wieśniacy niespodziewanie uciekli, zabierając ze sobą bydło. Pod wyspę podeszła armia tymczasowego stadhoudera Filipa de Hohenloe. Flotylla kilkudziesięciu niderlandzkich okrętów wpłynęła na rzekę pomiędzy tamą Empel a miastem Bolduque-Hertogenbosch, blokując Hiszpanów. Otwarto wrota tamy, żeby zmusić ich do kapitulacji, ale ci przenieśli się na wyżej położoną część wyspy. Obrońcy ocaleli na wąskim pasie podmokłego lądu, okrążeni przez Niderlandczyków. Pozbawionym żywności, suchego drewna i amunicji Holendrzy zaproponowali honorową kapitulację, ale Bobadillo odpowiedział, że negocjować mogą dopiero po ich śmierci. 4 grudnia rozpoczął się ostrzał hiszpańskich pozycji przez holenderskie działa.

Hiszpanie, spodziewając się rychłego desantu z okrętów, zaczęli kopać transzeje wokół kościoła w Empel. 7 grudnia jeden z żołnierzy trafił łopatą na drewno. Kiedy pochylił się, żeby wyciągnąć je z ziemi, zobaczył kawałek deski owiniętej w szmaty. Kiedy je odwinął, ukazał mu się obraz Niepokalanego Poczęcia Maryi. Akurat przypadała wigilia tego święta.

eprasa.pl ab51039975

Żołnierz pokazał znalezisko kapelanowi, który kazał powiesić obraz na drzewcu flagi, odprawić przy nim nabożeństwo i ruszyć z procesją wzdłuż pozycji. Żołnierze, widząc obraz, zaczęli wiwatować na jego cześć, spodziewając się cudu.

Bobadilla również uznał, że to znak od Boga. Na wieczornej odprawie zaproponował atak wpław na statki następnego dnia. Niektórzy dowódcy uznali, że lepiej zacząć strzelać do siebie niż wziąć udział w tej samobójczej misji. Bobadilla kazał jednak przygotować się do walki i śmierci, polecając opiece Niepokalanej Maryi.

Było jeszcze ciemno, kiedy hiszpańskim żołnierzom przygotowującym się do ataku ukazał się niezwykły widok. Całą noc wiał lodowaty wiatr. Moza po raz pierwszy od wielu lat zamarzła. Dwustu żołnierzy tercios pod dowództwem kpt. Cristobala Lechugi ruszyło po lodzie w kierunku okrętów. Zaskoczeni Holendrzy szybko ustąpili pola. Hiszpanie opanowali pobliski fort, zaskakując jego załogę, i wymknęli się z oblężenia. Na pamiątkę tego wydarzenia w 1892 r. hiszpańska regentka, Maria Krystyna Austriacka, ogłosiła Niepokalaną Maryję patronką hiszpańskiej piechoty. Sam obraz nie znalazł się tam zapewne w cudowny sposób, ale przed 20 laty został ukryty przez wiernych przed szalonymi obrazoburcami.

W 1586 r. niderlandzkich protestantów wsparła Elżbieta I, wysyłając Francisa Drake'a do walki z hiszpańską flotą handlową na Oceanie Spokojnym i Karaibach. Próba hiszpańskiej inwazji na Wyspy Brytyjskie zakończyła się zagładą Wielkiej Armady w 1588 r. W międzyczasie Holandia, korzystając z wynegocjowanego w 1609 r. pokoju dwunastoletniego, rozbudowywała flotę wojenną. Hiszpanie, zajęci innymi wojnami i pogrążeni w kryzysie finansowym, nie byli w stanie temu przeciwdziałać, staczając się od kolonialnej potęgi do pozycji europejskiego, ultrakatolickiego pariasa. Ostatecznie konflikt w Niderlandach zakończył się wraz z wojną trzydziestoletnią w 1648 r. Holandia stała się jednym z najbogatszych państw świata. W dodatku obroniła swój republikański ustrój.

Konflikt miał też szersze, niż mogłoby się wydawać, skutki. Walczący o religijne wolności kalwini wcale nie mieli zamiaru pozwalać na nie innym wyznaniom. Stany Holandii kilkukrotnie zabraniały katolikom odprawiania mszy, a nawet jakichkolwiek zebrań. Prześladowano anabaptystów i mennonitów. W praktyce msze odprawiano w przerobionych na świątynie domach prywatnych, na co władze przymykały oczy. Dla większości kalwinów katolicy byli symbolem zacofania, bałwochwalstwa oraz ciemnoty, którym zezwalano na funkcjonowanie w oświeconym kraju, o ile nie rzucali się w oczy. Segregacja wyznań jeszcze do połowy XIX w. była tak ścisła, że zmarłych protestanckich i katolickich małżonków chowano na różnych cmentarzach.

Światowe skutki

Niderlandy od lat były przykładem dla Anglików, którzy wkrótce po powstaniu niepodległej Holandii postanowili załatwić swoje religijno-dynastyczne spory na wzór holenderski, osadzając w 1688 r. na brytyjskim tronie prawnuka Wilhelma Orańskiego, w bezkrwawej zmianie na tronie nazwanej chwalebną rewolucją.

Państwo bez króla było też inspiracją dla ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, którzy w zdecydowanej większości byli wychowanymi na angielskich przecież wzorcach białymi anglosaksońskimi protestantami. Jefferson piszący Deklarację niepodległości inspirował się holenderską „Plakkaat van Verlatinghe" z 1581 r. Beniamin Franklin stwierdził, że „w miłości do kraju i odwadze bronienia ojczyzny Holandia była dla nas przykładem". Pielgrzymi z Mayflower przez 12 lat przed przybyciem do Ameryki mieszkali w Lejdzie, gdzie szukali religijnej wolności. Były też skutki bardziej praktyczne. Początków amerykańskiej, nuklearnej rodziny i indywidualizmu należy również szukać w obszernych domach holenderskich mieszczan, gdzie każdy miał swoją własną przestrzeń.

Łatwo więc zrozumieć, gdzie tkwią korzenie amerykańskiej purytańskiej, choć często obłudnej obyczajowości i specyficznej tolerancji, która wraz z popkulturą rozlała się później na cały świat. Tolerancji polegającej raczej na supremacji jednej religii czy grupy, która daje co prawda innym mniejszościom żyć, nie uznając jednak za równorzędne i spychając do gett, gdzie nie kłują już w oczy. Być może w tej opresji tkwią też korzenie reakcji wobec niej, opartej na dialektyce Jakuba Böhmego – najbardziej przecież popularnego właśnie wśród holenderskich protestantów – wolności wszystkich i do wszystkiego, również nieuznającej praw innych, pleniącej się w zastraszającym tempie na Zachodzie.

Jeszcze jakieś 30 lat temu w tradycyjnych protestanckich wspólnotach na wschodnim wybrzeżu zakupioną w specjalnym sklepie z alkoholem butelkę whisky podczas drogi do domu trzeba było starannie opakować, żeby nie gorszyć sąsiadów. Dzisiaj w szkołach próbuje się urządzać „neutralne płciowo" toalety. Być może jest to również jeden z dalekosiężnych skutków działania nieznających żadnych świętości holenderskich obrazoburców sprzed pięciu stuleci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Podpisanie holenderskiej deklaracji niezależności. Obraz Johannesa Hinderikusa Egenbergera FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl ab51039975

Polski cmentarz wojenny w Dytiatynie

FOT.COMMONS WIKIMEDIA/LELELK 2V

1918–1920 / O bohaterze spod Dytiatyna i innych żydowskich oficerach Wojska Polskiego

Krew przelana za Polskę

Marek Gałęzowski

„Ziemia ta jest naszą matką i Ojczyzną, obowiązki wobec niej spełniamy jako najkardynalniejsze prawo" – mówił kpt. Izydor Zirler

Jest to mało znane, a powinno być wiadome, przede wszystkim, by wydobyć fakty patriotyzmu i ofiarności tych Żydów, którzy przelewali krew i życie swe złożyli, wraz z innymi, za Polskę" – pisał w latach 30. ubiegłego stulecia Adolf Hirschberg o Żydach, którzy wstąpili do Legionów Polskich, aby walczyć o niepodległość ojczyzny znajdującej się pod trzema zaborami. W następnym wieku niemal wszyscy spośród nich zostali upamiętnieni. Inaczej jest w wypadku tych, którzy jako oficerowie Wojska Polskiego wzięli udział w zmaganiach o granice w latach 1918–1921. Ich nazwiska w przeważającej większości nadal pozostają nieznane. Oto historie czterech spośród nich.

Nie miał już ani jednego naboju

Wymarsz ochotników do Legionów Polskich, którzy zebrali się 8 kwietnia 1915 r. przed katedrą w Płocku, usiłowali powstrzymać przybyli tam ich rodzice, gorliwie wspierani przez miejscowych przeciwników idei legionowej. Za jednym z tych młodych ludzi posłano nawet milicjanta, by przyprowadził go do domu, lecz kiedy ten pod katedrą założył biało-czerwoną opaskę z napisem „I Brygada Legionów Polskich", stróż prawa uznał, że jego misja straciła szanse powodzenia. Owym młodzieńcem, wówczas niespełna 19-letnim, był Jan Oberfeld, Ukończył gimnazjum filologiczne Macierzy Polskiej i w tej płockiej szkole wydawał pisemka niepodległościowe odbijane na hektografie.

Już na początku swojego szlaku w I Brygadzie odznaczył się męstwem w boju pod Radawczykiem w pobliżu Lublina, za co w niepodległej Polsce został odznaczony Orderem Virtuti Militari.

Po kryzysie przysięgowym został internowany. Po zwolnieniu z obozu działał w konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej, w listopadzie brał udział 1918 r. w rozbrojeniu Niemców, a następnie służył w WP. Już w następnym miesiącu został wysłany na front ukraiński jako dowódca plutonu łączności w 7. pułku artylerii polowej. Za udział w walkach pod Lwowem otrzymał Krzyż Obrony Lwowa i odznakę Orlęta. Później, na czele kompanii VI Lwowskiego Baonu Etapowego, bił się z bolszewikami, m.in. w ciężkich zmaganiach nad Seretem i nad Strypą.

Po zakończeniu wojny pozostał w czynnej służbie, na różnych stanowiskach dowódczych w 52. pp w Złoczowie (od 1924 r. w stopniu kapitana). Otrzymywał oceny bardzo dobre i wybitne, podkreślano jego inteligencję, prawość i wyrobienie charakteru, ideowość, obowiązkowość, pracowitość, energię, zdolności organizacyjne.

Dobrze rozwijająca się kariera Oberfelda załamała się w 1930 r., kiedy odrzucono jego wniosek nominacyjny na stopień majora. Zdecydowały o tym pisemna nagana i opinie z 1930 r., według których nadawał się jedynie na dowódcę kompanii bez możliwości awansu. Uzasadniano to nerwowością, arogancją i problemami z subordynacją, przy wygórowanej ambicji własnej; cechy te przeważyły najwyraźniej nad zaletami kapitana („Bardzo dobry organizator i zdolny wykonawca. Zdolności kierownicze posiada duże").

eprasa.pl ab51039975

Ostatecznie przeniesiono go w stan spoczynku. Wrócił do Płocka, by dwa lata przed wybuchem wojny zamieszkać w Warszawie. We wrześniu 1939 r. uczestniczył w obronie stolicy, a później wstąpił do Związku Walki Zbrojnej. W sierpniu 1942 r. został aresztowany ze swoją żoną Anielą w mieszkaniu przy ul. Mokotowskiej 24. Dalsze losy obojga są nieznane, nie ulega jednak wątpliwości, że zginęli z rąk Niemców.

Stary wiarus Misch

O oficerach sprawujących funkcje na zapleczu walczącego wojska rzadko się wspomina. A przecież znaczenie ich służby było nie do przecenienia, gwarantowała ona wykonanie zadań niezbędnych do prowadzenia wielomiesięcznym zmagań frontowych. Należy też zauważyć, że o przydziale do niej, poza umiejętnościami fachowymi, decydowały zaawansowany wiek i stan zdrowia. Kierowano do niej bowiem także oficerów, którzy z powodu ran odniesionych w boju, nie byli już zdolni do służby polowej.

Tak było w wypadku płk. Józefa Mischa. Urodzony w 1868 r. we Lwowie związał swoje życie z armią austro-węgierską. W 1888 r. uzyskał pierwszy awans oficerski, służył wiele lat w piechocie i kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, dowodził w stopniu majora batalionem 56. pp na froncie rosyjskim. Już w pierwszych bojach, 31 sierpnia 1914 r., został ciężko ranny. Po długim leczeniu, pod koniec sierpnia 1915 r., został mianowany komendantem stacji etapowej wojsk austro-węgierskich i równocześnie stacji zbornej Legionów Polskich we Lwowie. Na tym stanowisku oddał wielkie usługi polskim legionistom, do których odnosił się bardzo przychylnie, zawsze też zwracał się do nich w języku polskim. W maju 1918 r. Misch został mianowany pułkownikiem. Koniec wojny zastał go w Żmerynce na Ukrainie, gdzie był komendantem miasta. Wobec rozpadu armii austro-węgierskiej, 1 listopada 1918 r. udał się stamtąd do Lwowa, gdzie właśnie rozpoczęły się walki polsko-ukraińskie.

Zgłosił się do szeregów obrońców i 13 listopada objął dowództwo Komendy Placu. Jak pisano w „Obronie Lwowa", „zajmowała się Komenda Placu utrzymywaniem porządku i dyscypliny wojskowej w mieście, kontrolą i nadzorem nad oficerami i szeregowymi stale lub czasowo przebywającymi we Lwowie, a nienależącymi do oddziałów bojowych [...], dostarczaniem i ewidencją kwater dla oficerów i szeregowych oraz dla oddziałów i komend [...]". Za rzetelne pełnienie obowiązków Misch został odznaczony Krzyżem Obrony Lwowa i odznaką Orlęta.

Od góry: Jan Oberfeld, Józef Misch, Jakub Fast, Adolf Gimpel FOT. COMMONS WIKIMEDIA I DOMENA PUBLICZNA

W czasie wojny z bolszewikami pełnił odpowiedzialne funkcje na zapleczu, m.in. dowódcy Rejonu Obronnego Tarnopol, Zbaraż, Skałat, Trembowla, a już po zakończeniu zmagań dowódcy garnizonu Tarnopola: „Oficer sztabowy bardzo obowiązkowy, pracowity, ze znajomością wszystkich gałęzi administracji wojskowej. Charakter prawy i szczery. Nadaje się na stanowisko samodzielne jako D[owód]ca miasta i placu lub d[owód]ca pow[iatu] w etapie bardzo dobrze" – pisano o nim. Po demobilizacji mieszkał we Lwowie, gdzie zmarł w 1928 r. i został pochowany w Alei Obrońców Ojczyzny na cmentarzu żydowskim.

Bohater spod Dytiatyna

Jedna z bitew, które zyskały sobie zaszczytne miano polskich Termopil, została stoczona w 1920 r. z Armią Czerwoną pod Dytiatynem. Wśród jej bohaterów był 22-letni ppor. Jakub Fast, absolwent gimnazjum w Łańcucie, mający za sobą służbę w c.k. armii. W sierpniu 1920 r. objął dowództwo plutonu, a wkrótce kompanii 13. pp. Uczestniczył w walkach podczas odwrotu i w Bitwie Warszawskiej – w jednym z decydujących jej bojów, który rozegrał się pod Ossowem.

W pościgu za bolszewikami 16 września 1920 r. dotarł pod Dytiatyn. Znajdujące się tam siły bolszewickie okazały się znacznie liczniejsze, miały też wyraźną przewagę w artylerii i w broni maszynowej. Polski oddział, złożony z dwóch kompanii (w tym ppor. Fasta) i baterii artylerii górskiej, obsadził okopy z czasów pierwszej wojny światowej na wzgórzu 385 pod Bokowem. Polacy przez wiele godzin odpierali sześć szarż dwóch brygad kawalerii sowieckiej, wspomaganych silnym ogniem artylerii. Jak pisał Janusz Odziemkowski, „grupy Kozaków, pod osłoną przeszkód terenowych, podjeżdżały w pobliże polskich stanowisk i raz po raz przechodziły do szarży, szukając

eprasa.pl ab51039975

Zjazd Związku Żydów Uczestników Walk o Niepodległość Polski, Warszawa 1933 r.

FOT. NAC

luk w obronie". W pewnym momencie czerwoni „kawalerzyści zdołali opanować leżące opodal stanowiska kompanii wzgórze, ale ppor. Fast zebrał cały swój odwód (półtora plutonu) i energicznym kontratakiem odrzucił ich z powrotem do Szumlan. W końcu wraz z niedobitkami oddziału otoczony i zupełnie odcięty, dostał się do niewoli" – pisał Odziemkowski, podkreślając, że „bój pod Dytiatynem na cały dzień zatrzymał marsz dwóch brygad sowieckich. Bitwa ta przeszła do historii oręża polskiego jako symbol do końca spełnionego żołnierskiego obowiązku". I jako taka została upamiętniona na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Weteran spod Dytiatyna wrócił z niewoli do kraju w maju 1921 r. Za udział w wojnach o granice otrzymał liczne odznaki bojowe i pamiątkowe. Został przydzielony do baonu zapasowego 13. pp w Pułtusku. „Na instruktora nie nadaje się z braku wyrobienia. W boju dzielny, sumienny i pracowity" – napisano w opinii. W następnym roku został zdemobilizowany. Rozważano jednak ponowne powołanie go do służby czynnej, zasięgając opinii dowódców 13. pp z czasów wojny z bolszewikami. Według pierwszej „oficer ten w okresie walk swoją osobistą odwagą i przykładem odpowiadał na swoim stanowisku. Charakter wyrobiony, nadzwyczaj sumienny i obowiązkowy", co było rekomendacją do zaliczenie Fasta „w poczet oficerów zawodowych".

Ostatecznie jednak Fast został przeniesiony do rezerwy w stopniu porucznika. Osiadł w Krakowie, był kierownikiem oddziału Towarzystwa Naftowego „Galicja". Przeżył okupację niemiecką, ukrywany przez Polaków z żoną i nastoletnim synem w Jędrzejowie i w Jarosławiu, ale jego późniejsze losy nie są znane.

Uczeń Świtalskiego

Porucznik Fast był jednym z nielicznych Żydów – oficerów WP – którzy ocaleli w okupowanym kraju, ukryci przez Polaków. Większość padła ofiarą Zagłady. Wśród nich por. Adolf Bolesław Gimpel. Urodzony w 1896 r., lwowiak, absolwent jednego z tamtejszego gimnazjów, wspominał później: „Wychowany byłem w duchu idei niepodległościowej, pod kierownictwem wybitnych pedagogów, bojowników walk o niepodległość Polski".

Wśród nauczycieli wymieniał przyszłego premiera Kazimierza Świtalskiego, jednego z czołowych piłsudczyków. Po maturze Gimpel zaczął studia medyczne na Uniwersytecie Lwowskim, ale szybko został wcielony do armii austro-węgierskiej, w której służył do końca pierwszej wojny światowej. Rozpad monarchii zastał go w Odessie. Stamtąd dotarł do Złoczowa, gdzie pozostał do chwili zajęcia miasta przez Polaków w czerwcu 1919 r.

Natychmiast wstąpił do wojska. W czasie wojny z bolszewikami służył jako podporucznik w Szpitalu Polowym nr 13, przynależnym do 2. DP Legionów na froncie litewsko-białoruskim (szef sanitarny tej dywizji, przyszły premier Sławoj Składkowski, publicznie podziękował mu za ofiarną pracę na froncie, i w czołówce sanitarnej kołowej Grupy gen. Juliusza Zulaufa w czasie walk nad Berezyną. W Wołożynie pod Mołodecznem kierował „akcją transportowania rannych na tyły oraz zwalczania epidemii dyzenterii i tyfusu", w pewnym momencie samotnie, kiedy cały personel medyczny zapadł na te choroby. Podczas zmagań nad Berezyną przez pewien czas dowodził czołówką sanitarno-kolejową „Berezyna", uczestnicząc w przewożeniu chorych i rannych żołnierzy Dywizji Wielkopolskiej z Bobrujska do Mińska. Tam wraz z komendantem Szpitala Polowego nr 13, kpt. Konradem Wołodźką, w bardzo ciężkich warunkach nadal przeciwdziałał epidemii tyfusu plamistego, którym obaj później też się zarazili. Kapitan Wołodźko zmarł, Gimpel po wyleczeniu pełnił obowiązki lekarza w stacjach zbornych chorych i rannych. Był wysoko oceniany przez przełożonych: „Bardzo dobry. Pilny, karny, obowiązkowy. Wszelkie rozkazy spełnia z dokładnością i sumiennie".

Po demobilizacji kontynuował studia lekarskie na Uniwersytecie Jana Kazimierza, później prowadził praktykę w rodzinnym mieście, specjalizując się w elektroterapii. Na podstawie danych o jego stanie zdrowia i zdolności do służby wojskowej można przypuszczać, że został zmobilizowany we wrześniu 1939 r. W czasie okupacji sowieckiej przebywał we Lwowie, a po zajęciu miasta przez Niemców w getcie lwowskim, gdzie najpewniej został zamordowany podczas jego likwidacji w 1943 r.

Dotychczas nie ustalono nawet szacunkowej liczby Żydów – oficerów WP, uczestników walk o granice Polski – którzy zginęli w dokonanej przez Niemców Zagładzie, choć obejmowałaby ona z pewnością przynajmniej kilka tysięcy nazwisk. O nielicznych, których biografie są znane, wiadomo, że sumiennie, często z dużą ofiarnością spełniali swoje obowiązki wojskowe w czasie zmagań o granice Polski, rzetelnie – obywatelskie w czasach pokoju, współtworząc elitę polskiego społeczeństwa. Zgodnie ze słowami kpt. Izydora Zirlera, jak Gimpel, lwowiaka zamordowanego w getcie we Lwowie, który nie tylko w swoim imieniu tak wyrażał stosunek do Polski: „Ziemia ta jest naszą matką i Ojczyzną i obowiązki wobec niej spełniamy nie jako jakieś warunki takiej czy innej umowy, lecz jako najkardynalniejsze prawo, wierząc, że zdrowa myśl państwowa ostatecznie zwycięży i uniemożliwi czynienie różnic i dyskryminacji między jednakimi synami tej ziemi. Spełniwszy swój obowiązek, nie uważamy, że należy się za to nam jakakolwiek nagroda, gdyż obowiązek spełniliśmy jako swoje dobre prawo powodowani miłością Ojczyzny i w zrozumieniu jej potrzeb".

© ® Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

Sylwetki bohaterów niniejszego artykułu w zmienionej formie znajdą się w książce Marka Gałęzowskiego „»Tam, gdzie największe niebezpieczeństwo, szedł pierwszy«. Sylwetki Żydów – uczestników walk o niepodległość i granice Polski w latach 1914–1921", która ukaże się w pierwszej połowie 2024 r. nakładem Wydawnictwa

eprasa.pl ab51039975

XIX w. / Gorące serce poety

Kowieński romans Mickiewicza

Widok Kowna w XIX w. Grafika Antoniego Oleszczyńskiego FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Sławomir Koper

Przywykło się uważać, że jedyną miłością wieszcza podczas pobytu w rodzinnych stronach była Maryla Wereszczakówna. W rzeczywistości poeta przeżył w tym czasie płomienny romans z Karoliną Kowalską, żoną lekarza powiatowego w Kownie

Wieszcz trafił do miasta jako nauczyciel, by odpracować studenckie stypendium. Nie pomogły starania przyjaciół, którzy chcieli znaleźć mu etat w Wilnie lub w Nowogródku. Według ówczesnych opinii Mickiewicz trafił więc na koniec świata. Zdesperowany zawarł swoje rozczarowanie w wierszu:

Dziś, gdy mnie zły los oręż jambowski odbiera,
Cóżem wart? – Ledwie zero, a może i zera
Nie wart; może dziś Muza ostatni raz ziewnie:
Idę, niestety, kwaśnieć w nadniemońskim Kiewnie.

Sytuację Mickiewicza można przyrównać do położenia Joela Fleischmana z niezapomnianego, kultowego serialu „Przystanek Alaska". Podobnie jak sympatyczny lekarz z Cicely poeta miał wrażenie, że wysłano go do miejsca zamieszkanego przez półdzikich barbarzyńców (tylko że w Kownie nie było aż tylu oryginalnych postaci, co w filmowym alaskim miasteczku).

Mickiewicz znalazł się w nowym, obcym środowisku, bez przyjaciół i znajomych, w miejscu, gdzie praktycznie nie istniały żadne rozrywki („głucho wszędzie, ciemno wszędzie"). Najbardziej dokuczała mu jednak praca z młodzieżą – narzekał na mierne możliwości intelektualne uczniów. W listach do przyjaciół wspominał o „tępych żmudzkich łbach", których oświecanie nie przynosiło żadnych efektów. Miejscowe środowisko intelektualne również nie przypadło mu do gustu, złorzeczył na brak podniet umysłowych i na potworną nudę. Życie towarzyskie miasta skupiało się bowiem w domach prywatnych, gdzie początkowo nie był zapraszany. W miarę skromnych możliwości finansowych starał się jednak uczestniczyć w nielicznych wydarzeniach kulturalnych.

Poeta znalazł się w Kownie w typowej roli młodego i niedoświadczonego nauczyciela wykorzystywanego przez starszych pedagogów. Miał nauczać historii, literatury i prawa, a dorzucono mu jeszcze ekonomię i języki klasyczne. W tamtych czasach praktycznie nie używano podręczników i nauczyciele musieli prowadzić lekcje tak, by umożliwić uczniom sporządzanie notatek. Nic zatem dziwnego, że Mickiewicz większość czasu poświęcał na przygotowywanie się do zajęć. W wolnych chwilach spacerował samotnie nad Niemnem, a potem zamykał się w swoim pokoju w towarzystwie psa, kota i węża. Poeta bowiem, jak na mieszkańca Litwy przystało, miał słabość do gadów – węże były uważane przez pogańskich Bałtów za zwierzęta święte.

Pan nauczyciel

Zachowały się wspomnienia dyrektora szkoły, prefekta Dobrowolskiego. Prawie 80-letni starzec opowiadał w 1853 r. Leonowi Potockiemu swoje wrażenia z pobytu Mickiewicza w Kownie. Relacja jest bardzo interesująca, aczkolwiek emerytowanemu dyrektorowi raczej nie służyła już pamięć. Poza tym wspominał poetę przez pryzmat jego sławy i nie potrafił oddzielić postaci młodego nauczyciela od wieszcza narodu. Potwierdza to anegdota, którą Dobrowolski podzielił się z Potockim. Otóż wkrótce po przyjeździe Mickiewicza do miasta dyrektor miał wejść do pokoju młodego nauczyciela i zapytać o jego stan psychiczny. Mickiewicz odpowiedział jakoby strofą „Ody do młodości", a zapytany o sprawy uczuciowe wyrecytował drugą strofę. Ta efektowna anegdota jest jednak wyjątkowo mało prawdopodobna, ponieważ „Oda do młodości" powstała dwa lata później

Poważnym problemem świeżo upieczonego nauczyciela były sprawy ekonomiczne – Adam przez całe życie nie potrafił prowadzić swoich finansów. Jego przyjaciołom w Wilnie wystarczały na utrzymanie mniejsze kwoty, a on w prowincjonalnym Kownie narzekał na dotkliwą biedę. Doszło nawet do tego, że jeden z nauczycieli (zresztą znany skąpiec), widząc fatalną sytuację kolegi, dyskretnie włożył mu do kieszeni sześć rubli!

Krytyczną sytuację finansową poety potwierdzał również prefekt Dobrowolski:

„Niepokoił mnie jednak ubiór na nim zawsze taki sam, coraz bardziej wytarty; niepokoiło, żem nie wiedział, gdzie się stołuje, co je, a myśl, że może niedostatek znosi, boleśnie mnie trapić zaczynała

eprasa.pl ab51039975

Adam Mickiewicz
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

[…]. Wnet się dowiedziałem, że wszystko, co jego, nosi ze sobą, a para koszul w szufladzie; płaszcz, którym się okrywał i przykrywał, oraz skórzana poduszka całą jego garderobę i pościel stanowiły. Dowiedziałem się, że pieczone w piecu kartofle służyły mu za codzienne pożywienie, a całym jego zbytkiem były herbata i kawa, całą pociechą fajka tytoniu!".

Przypomnijmy, że wspomniany przez prefekta płaszcz nie był nawet własnością Mickiewicza, który wyjeżdżając do Kowna, pożyczył go od swojego przyjaciela, Jana Czeczota…

Karolina Kowalska

Trzeba jednak przyznać, że mimo wszelkich przeciwności losu poeta nie marnował czasu w Kownie. W jego pokoju świeca paliła się już od czwartej rano – Mickiewicz przygotowywał się do lekcji lub doskonalił znajomość języków obcych. Dzięki temu mógł się zapoznać z dziełami niemieckich oraz angielskich romantyków (Schiller, Goethe, Byron) i według tych wzorów kontynuować własne próby literackie. To właśnie wówczas powstały jego pierwsze dzieła romantyczne, niebawem też miał przyjść czas na „Romantyczność" i „Odę do młodości", które odmieniły dzieje literatury polskiej.

Wyjątkowo ponury obraz życia Mickiewicza w tamtym czasie ubarwiają nieco informacje zawarte w jego korespondencji z przyjaciółmi. Uchodzący za samotnika poeta był bardzo czuły na wdzięki pięknych kobiet. Przeżył wówczas fascynację Eweliną Nieławicką – żoną gimnazjalnego nauczyciela matematyki. Snuł również bliżej niesprecyzowane projekty matrymonialne („nieszpetna, mówi po francusku i niemiecku, no i posagu coś dwadzieścia tysięcy"). W jego życiu pojawiła się też jakaś Antonina (Antosia), z którą połączyło go coś więcej niż flirt. Ale najważniejszą znajomością miał się okazać romans z piękną Karoliną, żoną lekarza powiatowego, Józefa Kowalskiego.

Po drugiej stronie uliczki Daugirdo zachowała się kamienica, w której mieszkali państwo Kowalscy. Jest to rzadki przykład sytuacji, gdy możemy niemal osobiście dotknąć spraw związanych z wielką literaturą. To właśnie w tym budynku Karolina prowadziła salon towarzyski dla miejscowej elity kulturalnej, gdzie z czasem zaczął bywać także Mickiewicz. Niebawem poeta dostrzegł w sąsiadce kobietę, a pani Kowalska nie ukrywała swojej fascynacji jego osobą.

„Postać, rysy, spojrzenie, uśmiech – opisywał Karolinę przyjaciel wieszcza, Antoni Odyniec – mogłyby służyć za model rzeźbiarzowi i malarzowi, tym bardziej że sama nawet jej toaleta zdawała się naśladować raczej artystyczne draperie greckie niż wzory modnych żurnalów. W świecie albowiem nie bywała prawie, a w domu ubierała się podług własnego gustu […]. Był to charakter […] dziwnej energii i siły; samoistny i nieugięty, ale przy tym tak pełen wdzięku, godności i naturalności w obejściu, że niczym swoją oryginalnością nie raził". Karolina miała 26 lat, Adam – cztery lata mniej. Pani doktorowa czuła się zaniedbywana przez męża, toteż wkrótce stało się to, co musiało się stać. Zostali kochankami, a przebieg ich związku okazał się niezwykle dramatyczny – niewiele brakowało, by zakończył się dla poety tragicznie.

Awantura w Wielkanoc

Mimo że kochankowie zachowywali ostrożność, niebawem doszło do głośnego skandalu, którego przyczyną była zazdrość Mickiewicza. Poeta nie potrafił bowiem zaakceptować innych mężczyzn u boku swoich partnerek, co w przyszłości jeszcze nieraz miało przynieść fatalne skutki.

Wiosną 1821 r. w sprawach spadkowych przyjechał do Kowna szambelan dworu austriackiego, Nartowski. Zaczął się starać o względy Karoliny, z czym Adam nie potrafił się pogodzić. W Wielkanoc, podczas gry w karty w salonie Kowalskich, doszło do słownej utarczki, którą poeta zakończył ciosem pięścią. Nartowski spadł z krzesła, a gdy próbował się podnieść, Mickiewicz rozbił mu głowę świecznikiem. Sytuację uratowała Karolina, teatralnie mdlejąc, jak przystało na dobrze wychowaną kobietę.

Rano całe Kowno mówiło wyłącznie o tej awanturze. Mickiewicz dostał dwa bilety wizytowe (wyzwanie na pojedynek): od Kowalskiego i od Nartowskiego. Pierwszy zarzucał mu pohańbienie honoru męża, drugi oskarżał o pobicie. Mickiewicz wezwał na sekundantów kolegów z Wilna, ale gdy Czeczot z Zanem i Malewskim przybyli do Kowna, było już po sprawie. Pani Kowalska nie zamierzała bowiem stracić ani męża, ani kochanka. Wytłumaczyła mężowi, że szambelan kłamał, natomiast Nartowskiego oskarżyła o zachowanie niegodne dżentelmena. Kochankowie mogli więc kontynuować romans, a zwaśnieni rywale zawarli kompromis: gdy Adam przekraczał próg domu Kowalskich, Nartowski stamtąd wychodził, natomiast gdy panią doktorową odwiedzał Nartowski, dom kochanki musiał opuścić Mickiewicz…

Koniec romansu

Romans Mickiewicza z Karoliną trwał niemal dwa lata i wygasł, gdy poeta otrzymał płatny urlop zdrowotny i przeniósł się do Wilna. Odnowił tam związek z Marią Wereszczakówną (Puttkamerową), pochłaniały go również twórczość i sprawy filomatów. Znalazł jednak czas, by pojechać do Kowna i ostatecznie rozmówić się z Karoliną. Oficjalnie zamierzał zabrać stamtąd swoje rzeczy, ale w rzeczywistości nie chciał pozostawić po sobie żadnych niedomówień. Wyjaśnił Kowalskiej, że udzielono mu urlopu i nie może mieszkać dłużej w Kownie. Nie wiadomo jednak, czy przy okazji wspomniał też o pani Puttkamerowej... Karolina potraktowała go ponoć ozięble, tłumaczyła, że potrzebny jest jej na miejscu, a gdy odmówił, wyrzuciła kochanka za drzwi. Adam wspominał, że siedział wieczorami w swoim pokoju i „widział światło w oknach". Odczuwał jednak ulgę – znów włóczył się po okolicy i rozkoszował wolnością:

„Na jutro nie ma […] nic; myśleć, chodzić, pisać, być panem swojej woli, jechać

eprasa.pl ab51039975

albo póki nie wyjdzie z kieszeni ostatni rubel, siedzieć w Kownie, nie jestże to jedno z najprzyjemniejszych położeń w życiu moim?”.

Te ostatnie ruble pochodziły – wydaje się – z sakiewki ubogiego Czeczota. Ale od czego ma się przyjaciół? Mickiewicz nigdy nie zapominał o oddanych mu przysługach. Po kilku latach, gdy otrzymał sowite wynagrodzenie za wydane w Moskwie „Sonety krymskie”, przesłał przebywającym na zesłaniu Zanowi i Czeczotowi po 50 rubli srebrem. Była to znacząca kwota, równa dwumiesięcznej pensji nauczyciela.

Dom w Kownie, w którym mieszkał Mickiewicz FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Kobieta z klasą

Po roku wrócił jednak do Kowna i znów podjął pracę w szkole. Udało mu się unormować stosunki z panią Kowalską. Karolina była zbyt doświadczoną kobietą, by okazywać niezadowolenie z powodu odrzucenia. Niedawni kochankowie stali się dobrymi znajomymi, a pani doktorowej nadal imponował ten przystojny poeta, o którym coraz więcej mówiono w Wilnie (w Kownie niewiele – była to jednak kompletna prowincja). Razem chodzili na spacery, odwiedzali swoją ulubioną dolinę. Dawna partnerka seksualna okazała się oddanym przyjacielem – jedynym, którego Adam miał w Kownie. Wiedziała o zawirowaniach z Marylą, możliwe też, że pocieszała zagubionego Mickiewicza. Wyjeżdżali nawet razem do Połągi, nad Bałtyk, a towarzyszyła im wówczas siostrzenica pani doktorowej.

Gdy Mickiewicz został aresztowany wraz z innymi filomatami, piękna Karolina przyjechała do Wilna i stanęła na czele grupy niosącej pomoc więźniom. Po zwolnieniu z więzienia poeta zamieszkał u jej siostry, a gdy opuszczał Litwę, jego droga do Petersburga wiodła właśnie przez Kowno. Ostatnie spotkanie z panią Kowalską przypieczętował wspólną wyprawą do swojej doliny. Zapewne nie przypuszczał wtedy, że jeszcze za jego życia zostanie zmieniona jej nazwa – zaniknie ta, która pochodziła od nazwy potoku (Gristupis), i narodzi się nowa, pochodząca od jego nazwiska.

W późniejszej twórczości Adama nie można zidentyfikować wzmianek o pani Kowalskiej. Wiadomo jednak, że podczas pobytu Adama w Rosji prowadzili ze sobą korespondencję (nie zachowała się). Karolina przez długie lata mieszkała w Kownie, gdzie pewnego razu odwiedził ją bez zapowiedzi przyjaciel Mickiewicza, Antoni Odyniec.

„Zmrok już był – wspominał po latach – gdy przybywszy do Kowna, poszedłem wprost do państwa Kowalskich. Sama pani siedziała przy oknie w salonie. Niewyraźny okrzyk podziwu powitał mię najprzód, gdy wszedłem, a wzruszenie było przytem tak silne, że choć już przystąpiłem bliżej, przez chwilę ani wstać z miejsca, ani słowa przemówić nie mogła. Pokazało się, że na pierwszy rzut oka z daleka, z postaci i z ubrania, wzięła mnie za niespodziewanego Adama”.

Nigdy nie można określić, co dzieje się w duszy drugiego człowieka. Pani Kowalska zapewne często wspominała swojego przyjaciela, ale dopiero po latach, wraz z jego rosnącą sławą, zorientowała się, kim właściwie był jej partner. Dawny student z Wilna, skromny nauczyciel w Kownie, w ciągu kilku lat przeistoczył się w wieszcza narodu. Nic zatem dziwnego, że jej myśli często krążyły wokół Adama i niespodziewaną wizytę Odyńca wzięła za odwiedziny Mickiewicza.

Wyrozumiałego męża Karoliny czekało wyjątkowo długie życie. Nie znamy rysów twarzy jego pięknej żony, natomiast wizerunek Józefa Kowalskiego zachował się do naszych czasów. Jako prezes Towarzystwa Lekarskiego Wileńskiego został przedstawiony z właściwą stanowisku powagą i godnością. Do końca życia musiał jednak wysłuchiwać plotek na temat romansu żony z wieszczem, a rosnąca sława Adama dodatkowo podsycała zainteresowanie opinii publicznej. Nawet Antoni Odyniec nie odmówił sobie aluzji podczas obchodów 50-lecia pracy zawodowej dr. Kowalskiego. Wznosząc toast, wygłosił panegiryk na cześć pana Józefa, w którego treść wplótł znaczące słowa:

Głos mój tylko tu wyzna,
Co tobie winna ojczyzna –
Tyś nam zachował Adama!

Rzeczywiście, Józef Kowalski mógł przecież upierać się przy pojedynku z poetą i za romans ze swoją żoną zastrzelić go albo zarąbać ostrym narzędziem. Nie uczynił tego jednak, w związku z czym należałoby przyłączyć się do podziękowań Antoniego Odyńca. I na marginesie wspomnieć, że Adam miał szczęście do mężów swoich kochanek, ponieważ trafiał na wyjątkowo wyrozumiałych mężczyzn. Tym bardziej że przez całe życie preferował trójkąty erotyczne, a czasami nawet figury o większej liczbie kątów...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:

Makaruk M., ***„Antoni Edward Odyniec – romantyk w świetle biedermeieru”,*** *Warszawa 2012;* ***„Materiały do historii Towarzystwa Filomatów”,*** *Kraków 1920–1924;* ***Mickiewiczana w zbiorach Włodzimierza Chomańskiego z Kowna,*** *http://grodnowilno.pl/mickiewicziana-w-zbiorach-wlodzimierza-chomanskiego-z-kowna; Piroczkinas A.,* ***„Litewskie lata Adama Mickiewicza”,*** *Warszawa 1988; Stępień S.,* ***„Kształtowanie tożsamości romantycznej w epistolografii Adama Mickiewicza i George'a Gordona Byrona. Studium komparatystyczne”,*** *https://depotuw.ceon.pl/bitstream/handle/item/2036/0000-DR-FP-56545.pdf?sequence=6.*

SŁAWOMIR KOPER
„WIELKIE KSIĘSTWO LITEWSKIE. PODRÓŻ PO BLISKICH KRESACH”
FRONDA

eprasa.pl ab51039975

Misja: Wolna Polska

W grudniu 2023 r. do Polski z Anglii zostaną sprowadzone doczesne szczątki gen. Stanisława Kopańskiego, jednego z najbardziej zasłużonych polskich dowódców wojskowych

Po uroczystościach pożegnalnych w Londynie trumna ze szczątkami, w asyście honorowej Wojska Polskiego, zostanie przewieziona samolotem do Polski. Generał spocznie na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach.

Długofalowe przedsięwzięcie polskiego rządu, w ramach którego do kraju sprowadzone zostają szczątki zasłużonych Polaków, służy przypomnieniu postaci polskiego życia emigracyjnego, czasów, w których przyszło im działać, oraz wyzwań, którym usiłowali sprostać. To hołd złożony weteranom walk o wolność i niepodległość Polski, którzy podtrzymywali polskie tradycje oraz kulturę w środowisku emigracyjnym.

Generał Stanisław Kopański – twórca Brygady Karpackiej i bohater Tobruku

Stanisław Kopański zapisał się na kartach historii jako znakomity, doskonale wykształcony żołnierz, uwielbiany przez swoich podkomendnych obrońca twierdzy w Tobruku. Ze swoimi Strzelcami Karpackimi utrzymywał również kontakt po drugiej wojnie światowej, uczestnicząc w spotkaniach z nimi nawet w Australii.

Urodził się na terenie Rosji, w Petersburgu, w 1895 r. Tam też chodził do gimnazjum, gdzie zdał maturę w 1913 r. z najwyższym możliwym odznaczeniem – złotym medalem. Następnie studiował w petersburskim Instytucie Dróg i Komunikacji, a potem uczył się w Szkole Podchorążych Artylerii, którą ukończył z drugą lokatą. Kiedy po rewolucji lutowej w 1917 r. utworzono w Rosji 1. Korpus Polski, dołączył do niego aż do jego rozwiązania. W 1918 r. zaciągnął się do Wojska Polskiego.

Stanisław Kopański wziął udział w walkach z Ukraińcami o Lwów, a w kwietniu 1919 r. w szturmie na Wilno. „Piłsudski osobiście dowodził tą operacją, natomiast Kopański jako młody podporucznik I Dywizjonu Artylerii Konnej w walce stracił oko. Jak się wie, można to dostrzec na wielu fotografiach" – mówi dr hab. Jerzy Kirszak z Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN we Wrocławiu. Była to cecha tak charakterystyczna, że w późniejszych listach był przez swoich znajomych określany mianem „Jednooki". „Mówiąc dzisiejszym językiem – to była taka »ksywa«" – dodaje dr hab. Jerzy Kirszak.

Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej Stanisław Kopański dostał urlop umożliwiający mu studiowanie na warszawskiej Politechnice, gdzie w 1923 r. uzyskał dyplom inżyniera dróg i mostów. Został też zweryfikowany w stopniu kapitana artylerii. Z kolei w kwietniu 1924 r. wysłano go na kurs dowódców dywizjonów w Szkole Artylerii w Toruniu, którą ukończył z wyróżnieniem i przydziałem na stanowisko wykładowcy balistyki oraz zastępcy dyrektora nauk. Zimą 1924 r. otrzymał stopień majora, a w następnym roku wyjechał na staż do Szkoły Artylerii w Fontainebleau. Od 1927 r. studiował w École Supérieure de Guerre w Paryżu.

Swoją błyskawiczną karierę zawdzięczał niewątpliwie wrodzonej inteligencji i pracowitości. „Był – jak większość dyplomowanych przedwojennych oficerów – bardzo zdolny, wykształcony i obyty w każdej dziedzinie. Natomiast ukończenie studiów wojskowych we Francji czyniło z niego oficera z wielką przyszłością. I tak w rzeczywistości było, w 1939 r. Kopański był w sztabie naczelnego wodza szefem Oddziału III Operacyjnego, gdzie miał bardzo ważne zadanie – tworzenie planu walki z Niemcami" – mówi dr hab. Jerzy Kirszak.

Po 17 września 1939 r., kiedy do Polski wkroczyli Sowieci, ewakuował się z wraz z naczelnym dowództwem do Rumunii. Następnie dotarł do Francji. Tam na początku kwietnia 1940 r. został dowódcą Brygady Strzelców Karpackich w Syrii, a jesienią tego roku otrzymał nominację na generała brygady.

„Odleciał z Marsylii do Bejrutu, pozostali jego oficerowie płynęli statkiem. Natomiast żołnierze ochotnicy docierali na Bliski Wschód z różnych zakątków Europy w latach 1940–1941" – relacjonuje przedstawiciel IPN. O swoich podwładnych gen. Kopański miał wysokie mniemanie. „Główną cechą żołnierza Brygady Karpackiej było poczucie dumy narodowej, wyrosłe na tle głębokiego przywiązania do wolności. Wpłynął na to fakt, że żołnierz ten szedł do Brygady jako ochotnik. [...] żołnierz Brygady od rozpoczęcia kampanii wrześniowej przez dwa i pół roku żył ustawicznie w ruchu i niebezpieczeństwie. Wyrobił się on na zawodowego żołnierza pustynnego, niezdradzającego nigdy kompleksu niższości wobec wroga ani wobec sprzymierzeńców" – pisał we „Wspomnieniach wojennych 1939–1945".

Sympatia, którą obdarzał swoich podkomendnych, wracała do niego z nawiązką, zwłaszcza po wspólnej obronie libijskiego Tobruku w 1941 r. „Żołnierze go uwielbiali. Wszystkim pasowało, że tak samo jak oni był wśród tych tobruckich szczurów, insektów i cierpiał na brak wody. To zawsze zbliża żołnierzy do dowódcy, jeśli ten dowódca dokładnie robi i żyje tak jak jego podkomendni" – mówi dr hab. Jerzy Kirszak. Dowodzenie Brygadą Karpacką w Afryce Północnej przyniosło gen. Kopańskiemu zasłużoną sławę.

eprasa.pl ab51039975

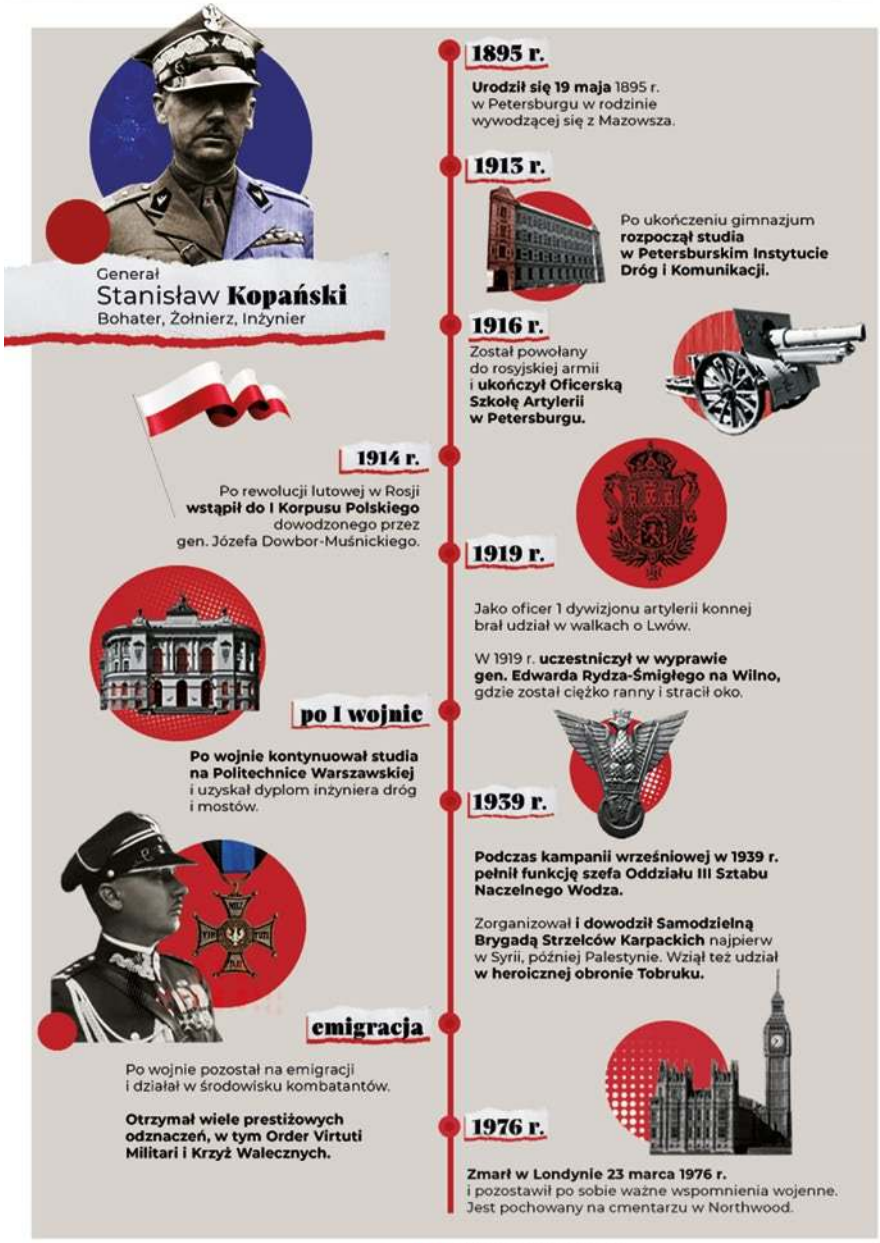

W 1943 r. w katastrofie lotniczej w Gibraltarze zginął naczelny wódz gen. Władysław Sikorski. Ale nie tylko on, bo na pokładzie feralnego samolotu znajdował się również gen. Tadeusz Klimecki – szef sztabu naczelnego wodza.

Kiedy nowym naczelnym wodzem został gen. Kazimierz Sosnkowski, jako swoją „prawą rękę" nowego szefa sztabu wybrał właśnie gen. Kopańskiego. Kopański był wówczas dowódcą III Dywizji Strzelców Karpackich powstałej na bazie brygady tobruckiej i przebywał na Bliskim Wschodzie.

Jak wynika z zachowanych relacji, na wieść o jego wyjeździe wielu żołnierzy przybywało nawet z odległych miejsc i wyczekiwało przed jego namiotem, żeby się z nim osobiście pożegnać. Generał indywidualnie żegnał każdego, a mając doskonałą pamięć, zdumiewał znajomością ich nazwisk oraz okoliczności poprzednich spotkań. We „Wspomnieniach wojennych 1939–1946" pisał: „Kończy się dla mnie ostatni etap, w którym się jeszcze ma szczęście bezpośredniego obcowania z żołnierzem".

„Po dymisji generała Sosnkowskiego z pozycji naczelnego wodza (jesienią 1943 r.) Kopański dalej pozostawał szefem sztabu naczelnego wodza, ale wszedł w prerogatywy dowodzenia, stał się bardzo ważną postacią sztabu. Stąd, kiedy wojna się skończyła, Kopański został szefem Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. To była formacja pod dowództwem brytyjskim, generał był jej inspektorem, czyli de facto dowódcą" – tłumaczy dr hab. Jerzy Kirszak.

Zadaniem Korpusu było przygotowanie ponad 200 tys. polskich żołnierzy, którzy po wojnie zostali w Wielkiej Brytanii do życia w cywilu w imperium brytyjskim, nie tylko w samej Anglii, lecz także w jego dominiach. Przez dwa lata dostawali żołd, ucząc się jednocześnie zawodów cywilnych, które miały dać im w przyszłości normalny zarobek i godne życie.

Nie podobało się to bardzo komunistycznym władzom urzędującym w Warszawie. „Z racji służby pod dowództwem brytyjskim Kopański oraz inni oficerowie zostali pozbawieni polskiego obywatelstwa. To przykre, bo z jakiego powodu ktoś może decydować, że polscy patrioci nie mogą być już polskimi obywatelami" – komentuje przedstawiciel IPN.

Po wojnie gen. Stanisław Kopański osiedlił się w Anglii. Przez kolejne lata udzielał się we wszystkich środowiskach kombatanckich, szczególnie „szczurów Tobruku", bo tak nazywano żołnierzy Brygady Karpackiej. Jeździł i odwiedzał skupiska dawnych swoich wojaków, m.in. w 1965 r. wizytował Australię, gdzie wielu z nich się osiedliło. „Utrzymywał stały kontakt z tymi swoimi podkomendnymi, ciągle z nadzieją, że być może kiedyś uda się im wrócić do wolnej Polski. Jak wiemy – nie doczekał tego, zmarł w 1976 r." – mówi dr hab. Jerzy Kirszak.

Generał Kopański został pochowany na cmentarzu Northwood w Londynie.

Artykuł powstał w ramach kampanii edukacyjnej „Misja: Wolna Polska", której celem jest przywrócenie pamięci o bohaterach walki o wolną Polskę – ludziach, których zawirowania drugiej wojny światowej, a później sytuacja po wojnie zmusiły do opuszczenia kraju i walki poza granicami o niepodległą i demokratyczną ojczyznę. Kampania jest realizowana przez Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie" im. Jana Olszewskiego.

Publikacja wyraża jedynie poglądy autorów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu „Polonia i Polacy za Granicą 2023".

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl ab51039975

Mury obronne Nowogrodu Wielkiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/HEIDAS

Gród nad Wołchowem / Zmagania Nowogrodu z despotią Moskwy

Zapomniana rosyjska „demokracja”

Maciej Pieczyński

Najważniejsze decyzje podejmował wiec. Książę był zapraszany na tron, gdy lud sobie tego zażyczył, bądź wypraszany z kraju, jeśli woli ludu nie spełniał. Republika nowogrodzka to dowód, że w Rosji nie zawsze i nie wszędzie panował despotyzm

Pierwszą stolicą Rusi nie był Kijów, lecz Nowogród Wielki, położony w północno-zachodniej części współczesnej Rosji. A dokładniej: nad rzeką Wołchow, blisko miejsca, w którym rzeka ta wypływa z jeziora Ilmień. Niecałe 200 km na południe od Petersburga. We wczesnym średniowieczu na tych terenach żyło wschodniosłowiańskie plemię Słowian Ilmieńskich, zwanych też Słowienami. Sąsiadowały z nimi ludy ugrofińskie, które zasiedlały wówczas całą północ europejskiej części dzisiejszej Rosji – od Zatoki Fińskiej do Uralu. Najstarszy ruski latopis „Powieść lat minionych” przytacza legendę o tym, jak przez ziemie słowieńskie wędrował św. Andrzej Apostoł, a następnie opowiadał, jakie to „dziwo” widział, obserwując zwyczaje miejscowej ludności. Jego relacja, zawarta w XII-wiecznej kronice, to bodaj pierwszy w historii opis bani ruskiej.

Na politycznej arenie dziejów Nowogród Wielki pojawia się w drugiej połowie IX w. Według „Powieści lat minionych” w 862 r. plemiona wschodniosłowiańskie i ugrofińskie zaprosiły księcia wareskiego Ruryka, aby przejął władzę nad nimi. Tę datę uważa się za początek państwa staroruskiego, choć badacze do dziś spierają się, na ile rzeczywiście państwo to zostało założone przez Skandynawów. W 882 r. następca Ruryka, Oleg, zdobył Kijów i przeniósł tam stolicę, prorokując, że to będzie „matka grodów ruskich”. Nowogród Wielki pozostał jednak ważnym ośrodkiem.

Gdy w XII w. Ruś przeżywała okres rozbicia dzielnicowego, ziemia nowogrodzka rosła w siłę. Dawnej stolicy

eprasa.pl ab51039975

sprzyjało dogodne położenie na szlaku „od Waregów do Greków", łączącym Skandynawię i Bizancjum. Z czasem Nowogród stał się jednym z największych ośrodków handlowych w tej części Europy. Okoliczne ziemie nie były urodzajne. Rolnictwu nie sprzyjał zimny klimat. Źródłem bogactwa były prężnie rozwijające się handel i rzemiosło. Nowogrodzianie nieustannie rozszerzali zasięg swojego panowania, zmuszając do płacenia danin ludy ugrofińskie. Organizowali też ekspedycje myśliwskie i rybackie w odległe, północne tereny. Ziemia nowogrodzka obejmowała ogromny, obfitujący w jeziora, rzeki i lasy obszar między Zatoką Fińską a dorzeczem Peczory, sięgając na północy aż do brzegów Morza Białego. Nowogrodzcy kupcy sprzedawali przede wszystkim futra, ryby, wosk i miód, a także miejscowe wyroby rzemieślnicze. Towar eksportowali nie tylko do innych ziem ruskich, lecz także do kolonii greckich na Krymie, na szwedzką Gotlandię czy (od XIII w.) do niemieckich miast zrzeszonych w Hanzie.

Rządy wiecu

Nowogród Wielki dzielił się na dwie strony: targową na wschodnim brzegu Wołchowa i sofijską na zachodnim, a także na pięć tzw. końców, czyli osiedli. Centralnym punktem strony targowej był rynek, sofijskiej zaś – jeden z trzech soborów św. Zofii, wybudowanych na Rusi na wzór kościoła Mądrości Bożej (Hagia Sophia) w Konstantynopolu. Spośród licznych dzielnic, na które rozpadła się Ruś, największe znaczenie miały księstwa włodzimierskie na północnym wschodzie, halicko-włodzimierskie na południowym wschodzie oraz właśnie ziemia nowogrodzka. W pierwszym panowały despotyczne rządy księcia. W drugim władza książęca ograniczana była przez wpływy bojarów. Nowogród zaś słynął nie tylko z bogactwa, lecz także ze specyficznej formy rządów, która częściowo również z tego bogactwa wynikała. Wielkie znaczenie kupców i bojarów sprzyjało osłabieniu władzy książęcej. Nieprzypadkowo Nowogród nie był nazywany księstwem, ale ziemią, a nawet republiką. Najwyższą władzę sprawował tu bowiem wiec, czyli zgromadzenie mieszkańców, swego rodzaju parlament. Po raz pierwszy do woli ludu odwołał się w 1016 r. książę Jarosław Mądry. Rządził Nowogrodem z nadania ojca, wielkiego księcia kijowskiego Włodzimierza, przeciwko któremu się zbuntował. Do pomocy w wojnie z ojcem wezwał zza morza skandynawskich Waregów. Ci jednak, w oczekiwaniu na rozpoczęcie wyprawy na Kijów, wszczynali w Nowogrodzie awantury i przystawiali się do kobiet, za co też zostali wymordowani przez miejscowych bojarów. Jarosław wziął krwawy odwet za samosąd na najemnikach. Wtedy jednak otrzymał wiadomość o śmierci ojca i rozpoczęciu walki o władzę między braćmi. Wiedział, że bez wsparcia militarnego potężnych nowogrodzkich bojarów nie ma szans w walce ze Świętopełkiem, który właśnie zasiadł na kijowskim tronie. Dlatego zwołał wiec, na którym błagał o wybaczenie i pomoc w wojnie domowej. Nowogrodzianie się zgodzili. W zamian wymusili jednak nadanie miastu szczególnych przywilejów. Od tej pory grodem – i całą ziemią – rządził wiec.

Jarosław Mądry
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Głosujący zbierali się na placu koło dworu Jarosława. Sądząc po liczbie ławek, mogło się tam pomieścić ok. 500 osób. W XI–XII w. Nowogród liczył kilkanaście tysięcy mieszkańców i był jednym z najludniejszych miast w Europie. Choć w wiecach uczestniczyć mógł najprawdopodobniej każdy wolny mieszkaniec grodu, to największy wpływ na decyzje mieli bogaci kupcy, bojarzy i przedstawiciele duchowieństwa. Perswazją i przekupstwem potrafili bez trudu tak pokierować tłumem, aby podjął wygodne dla nich decyzje.

Sygnałem do rozpoczęcia „posiedzenia" było bicie w dzwon. Decyzje podejmowano za pomocą „kart do głosowania" wykonanych z brzozy. Archeolodzy odnaleźli kawałki kory brzozowej z wydrapanymi na nich imionami w formie dopełniacza. Wiec decydował o wojnie, pokoju czy wysokości podatków. Przede wszystkim jednak wybierał posadnika, czyli najwyższego urzędnika państwowego, oraz tysięcznika, czyli naczelnego dowódcę wojskowego. Posadnik kierował polityką wewnętrzną i zagraniczną, zwoływał wiec, rozporządzał skarbem. Nie tylko dowodził wojskiem, lecz także odpowiadał za pobór podatków. Sądownictwem zajmowali się obaj urzędnicy. Czasem też funkcję sądu pełnił wiec.

W nowogrodzkim „parlamencie" funkcjonowały oddzielne, prowadzące ze sobą polityczną walkę „frakcje". Bojarzy, kupcy i „czarny lud" (jak określano biedniejszą część mieszkańców), reprezentujący dany koniec miasta, występowali wspólnie, żeby na wiecu przeforsować wybór na posadnika swojego kandydata. Czasem „końce" łączyły się w sojusze, z reguły w ramach strony – targowej lub sofijskiej. Temperatura sporu bywała bardzo wysoka. Czasem wiec przeradzał się w regularną bójkę. Przeciwnicy polityczni spotykali się na moście nad Wołchowem i „debatowali" przy użyciu pięści. „Elektorat" patrzył na ręce wybranej władzy i brutalnie ją „rozliczał", jeśli uważał to za konieczne. Niezadowolenie z działań posadnika mogło prowadzić nie tylko do pozbawienia go władzy, lecz także do splądrowania jego dworu i pozbawienia życia – jego i jego rodziny.

Znaczącą rolę w Nowogrodzie odgrywały również władze kościelne. Biskup (później arcybiskup) kierował sądem cerkiewnym, zarządzał skarbem i archiwum. Opiekował się też latopisarzami, którzy spisywali dzieje grodu przy Soborze Sofijskim. Posiadał też własną ziemię. Za pieniądze Cerkwi wyposażał cały pułk wojska. Nowogrodzki hierarcha był jedynym, którego metropolita kijowski,

eprasa.pl ab51039975

jako zwierzchnik Cerkwi na całej Rusi, wyznaczał, sugerując się opinią wiecu.

Książę nad Wołchowem

Inaczej niż w pozostałych dzielnicach ruskich w ziemi nowogrodzkiej nie panowała na stałe żadna gałąź dynastii Rurykowiczów. Nie oznacza to jednak, że Jarosław Mądry, który jako pierwszy zwołał wiec, był jednocześnie ostatnim księciem nad Wołchowem. Wszystko zależało od wiecu. „Parlament" tej kupieckiej republiki od czasu do czasu zapraszał do sprawowania rządów księcia. Nie oznaczało to jednak znaczącej zmiany formy rządów. Jeśli z pewnym przymrużeniem oka zastosować do tamtych czasów terminologię współczesną, to republika demokratyczna nie przekształcała się w monarchię absolutną, tylko w monarchię konstytucyjną, i to tymczasowo. Nowo wybrany książę musiał złożyć przysięgę, że nie będzie rozdawać dóbr bez zgody posadnika, władzę będzie sprawować poprzez urzędników, wyznaczonych decyzją wiecu, a sądy będzie sprawować przy współudziale posadnika. Nie mógł posiadać dóbr ziemskich na terenie republiki ani nawet mieszkać w samym Nowogrodzie. Wraz z rodziną osiedlał się w specjalnej rezydencji za miastem. Nie miał prawa mieszać się w sprawy wewnętrzne Nowogrodu. Władzę książęcą ustanawiano bowiem przede wszystkim w sytuacji, gdy wobec zewnętrznego zagrożenia potrzebny był silny przywódca. Jednak nawet w sferze „polityki zagranicznej" jego kompetencje były ograniczone. Nie mógł rozpocząć działań wojennych bez zgody wiecu.

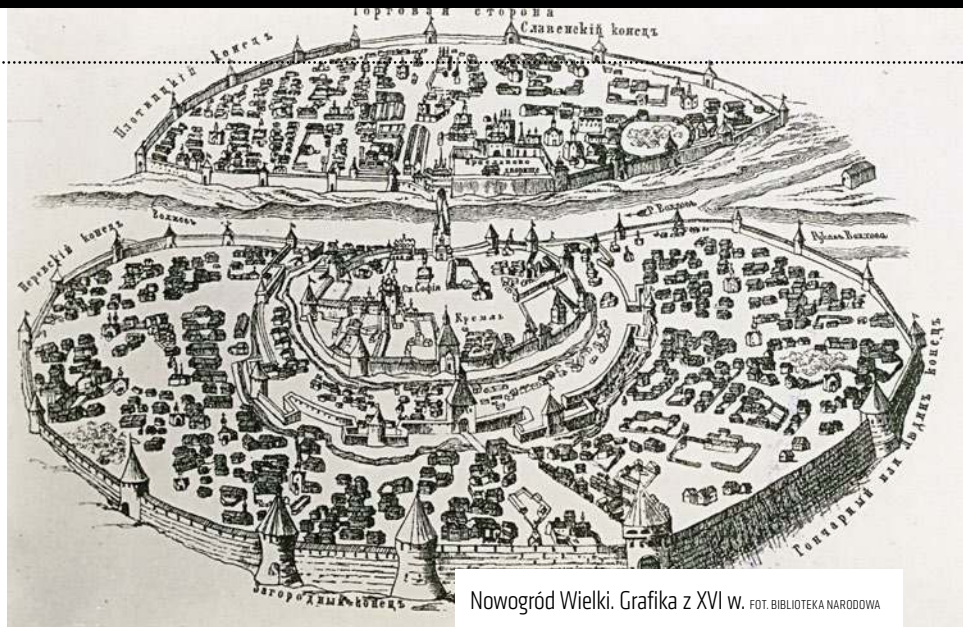

Nowogród Wielki. Grafika z XVI w. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Jeśli książę nie spełniał oczekiwań, to wiec pozbawiał go władzy. Po raz pierwszy w 1136 r. taki los spotkał Wsiewołoda Mścisławicza. Nowogrodzianie postawili mu trzy zarzuty. Po pierwsze, „nie dbał o smerdów", czyli o wolnych chłopów. Po drugie, „szukał cudzych ziem". W Nowogrodzie panował dwukrotnie. Za pierwszym razem sam zrezygnował. Został wówczas księciem perejasławskim. Szybko wrócił na tron nowogrodzki, jednak poddani nie zapomnieli o tym, jak ich porzucił. Po trzecie, podczas starcia z wojskami księstwa rostowsko-suzdalskiego uciekł z pola bitwy. Miejsce Wsiewołoda Mścisławicza zajął Światosław Olgowicz. Był to pierwszy przypadek, gdy wiec samodzielnie wybrał nie tylko posadnika i tysięcznika, lecz także księcia. Dlatego wielu historyków uważa wydarzenia 1136 r. za właściwe narodziny republiki nowogrodzkiej.

Jednym z najbardziej znanych i zasłużonych władców tej niepokornej dzielnicy był Aleksander Newski. Na nowogrodzkim tronie zasiadał kilkukrotnie. W historii Rosji zapisał się jako pierwszy jej obrońca przed „ekspansją Zachodu". W 1240 r. w bitwie nad Newą rozgromił wojska szwedzkie. Paradoksalnie sława zwycięskiego wodza w pewnym sensie zaszkodziła Aleksandrowi. Został zmuszony do opuszczenia miasta z powodu konfliktu z bojarami, którzy obawiali się, że wzrost autorytetu władzy książęcej zagrozi istnieniu republiki. Niedługo potem ziemię nowogrodzką najechało rycerstwo niemieckie z zakonu kawalerów mieczowych. Wobec zewnętrznego zagrożenia wiec ponownie zaprosił Aleksandra, który znowu odniósł spektakularne zwycięstwo – tym razem w słynnym „lodowym pobojowisku", w bitwie na zamarzniętej tafli jeziora Pejpus.

W tym czasie większość ziem ruskich znalazła się już w niewoli mongolsko-tatarskiej. Nowogród Wielki nie padł bezpośrednio ofiarą najazdu, ale musiał liczyć się z takim zagrożeniem. W latach 1257–1259 Aleksander Newski brutalnie zmusił mieszkańców do uległości podczas powszechnego spisu ludności, który Tatarzy zorganizowali na Rusi, aby wyliczyć wysokość daniny dla poszczególnych dzielnic. Pod naciskiem księcia i bojarów wiec niechętnie, ale uznał zwierzchność Złotej Ordy.

Sobór św. Zofii w Nowogrodzie Wielkim FOT. COMMONS WIKIMEDIA/USER NO 101

Polityka wielowektorowa

Nowogród pozostawał wciąż wolną (jak na standardy średniowieczne) republiką kupiecką. Zakres swobód nieuchronnie się jednak kurczył. Na gruzach Złotej Ordy powstało potężne państwo moskiewskie (najpierw wielkie księstwo, potem carstwo). Ziemie ruskie na zachodzie współtworzyły niemal równie potężne Wielkie Księstwo Litewskie, od końca XIV w. połączone unią z Polską. Obaj sąsiedzi zamierzali podporządkować sobie bogatą ziemię nowogrodzką. Republika przez długi czas umiejętnie lawirowała między Litwą a Moskwą, prowadząc politykę wielowektorową.

eprasa.pl ab51039975

To jednak nie mogło trwać wiecznie. Przyjęcie katolicyzmu przez Litwę dawało Moskwie ideologiczną przewagę. Nowogrodzian, opowiadających się za zbliżeniem z zachodnim sąsiadem, łatwo można było oskarżać o zdradę prawosławia. W 1456 r. wielki książę moskiewski Wasyl II Ślepy najechał republikę i zmusił ją do ustępstw. Nowogród zobowiązał się nie udzielać schronienia przeciwnikom politycznym Moskwy i wyrzekł się prowadzenia samodzielnej polityki zagranicznej. Wielki książę moskiewski został też uznany za najwyższego sędziego Nowogrodu. Zachowana została jednak instytucja wiecu. W Nowogrodzie wciąż silne było stronnictwo litewskie, skupione wokół Marfy Borieckiej, wdowy po posadniku. Za jej sprawą w 1470 r. Nowogród sprzymierzył się z Kazimierzem Jagiellończykiem. Król Polski zobowiązał się pomóc zbrojnie Nowogrodowi. W decydującym momencie nie był jednak w stanie tej pomocy udzielić – musiał bowiem odpierać najazd tatarski. W 1471 r. wielki książę moskiewski Iwan III rozbił wojska nowogrodzkie i wkroczył do stolicy republiki. Ukarał śmiercią posadnika i jego zwolenników, ale generalnie powstrzymał się przed krwawą rozprawą z mieszkańcami miasta. Umiejętnie grał na podziałach społecznych.

Ustrój republikański oznaczał tylko teoretycznie równość wobec prawa. W praktyce o sile głosu decydowała zasobność sakiewki. Spory między bojarami a prostymi nowogrodzianami wielki książę rozstrzygał na korzyść tych ostatnich. Dzięki temu z jednej strony zyskiwał sympatię ubogiej większości mieszkańców, z drugiej zyskiwał miano „sprawiedliwego sędziego", z trzeciej – w świetle prawa pozbywał się bojarów, którzy mieli z natury rzeczy największe ambicje polityczne, a zatem w największym stopniu zagrażali jego władzy. W pewnym momencie delegacja nowogrodzian nazwała Iwana III „gosudarem", czyli władcą, zamiast – jak dotychczas – „gospodinem", czyli panem. Wbrew pozorom to bardzo istotna zmiana. Wcześniej Nowogród nazywany był zaszczytnym mianem „Gospodin Wielikij Nowgorod", czyli „Pan Wielki Nowogród". „Pan" był tytułem przynależnym księciu. „Gosudar" to w staroruskiej tytulaturze poziom wyżej (analogicznie do króla w świecie zachodnim). Tak zwracać się mógł poddany do swojego władcy. Nazwanie w ten sposób Iwana III oznaczało symboliczne uznanie jego zwierzchności.

Jednak nie wszyscy mieszkańcy Nowogrodu podzielali chęć podporządkowania się Moskwie. Uczestnicy wiernopoddańczej delegacji zostali wezwani na wiec i straceni za zdradę. Znów wybuchły spory między zwolennikami a przeciwnikami opcji promoskiewskiej. W 1478 r. Iwan III ponownie ruszył na Nowogród, który tym razem poddał się bez walki. Wielki książę już nie musiał udawać „dobrego policjanta". Ustrój republikański został ostatecznie zniesiony. Dzwon, zwołujący mieszkańców na wiec, wywieziono do Moskwy. Według legendy po drodze ten symbol niezależności Nowogrodu rozbił się, a z jego kawałków odlewano potem słynne dzwonki wałdajskie, dawniej używane w zaprzęgach konnych, obecnie popularne jako pamiątka z Rosji. Niepokorni bojarzy, jeśli uniknęli najwyższego wymiaru kary, zostali pozbawieni majątków i przesiedleni w inne regiony wielkiego księstwa. Oderwani od swojej ziemi, ludzi i zasobów nie stanowili już zagrożenia. Nowogród został ostatecznie włączony do Rosji.

Triumf tyranii

Na tym jednak nie koniec rozprawy Moskwy z dawną stolicą republiki. W 1570 r. ktoś doniósł carowi Iwanowi Groźnemu, że Nowogród chce poddać się Litwie. Car uwierzył i wyruszył z karną ekspedycją. Opieczętowano wszystkie skarbce. Ograbiono cerkwie. Publicznie torturowano i mordowano mieszkańców. Topiono ich pod lodem i bito pałkami na śmierć. Arcybiskup nowogrodzki Pimen próbował przebłagać cara, ale Groźny nazwał go zdrajcą i kazał zesłać do odległego klasztoru, w którym hierarcha zmarł tuż po przybyciu. Tyrania ostatecznie zatriumfowała nad republiką.

O micie demokratycznego Nowogrodu przypomniano sobie na przełomie wieków XVIII i XIX. Pasowała ona do popularnych wówczas idei oświeceniowych. W 1789 r. dramatopisarz Jakow Kniaźnin napisał tragedię „Wadim Nowogrodzki". Jej tytułowym bohaterem był legendarny posadnik, który jakoby sprzeciwił się despotycznej władzy Ruryka. Kniaźnin, w duchu epoki, przedstawił Wadima jako obrońcę idei republikańskich. Sztuka nie trafiła na sceny teatrów, ponieważ właśnie wybuchła rewolucja francuska, a Katarzyna II bała się, że „zaraza jakobińska" zaleje Rosję i zagrozi caratowi. Historia Nowogrodu inspirowała też dekabrystów. Ten szlachecki ruch antycarski zorganizował w 1825 r. nieudane powstanie. W ZSRS dekabryści uważani byli za pierwszych rosyjskich rewolucjonistów. Opowiadali się za republiką lub monarchią konstytucyjną. Byli przeciwnikami samodzierżawia. Swoje idee wyrażali również w utworach literackich.

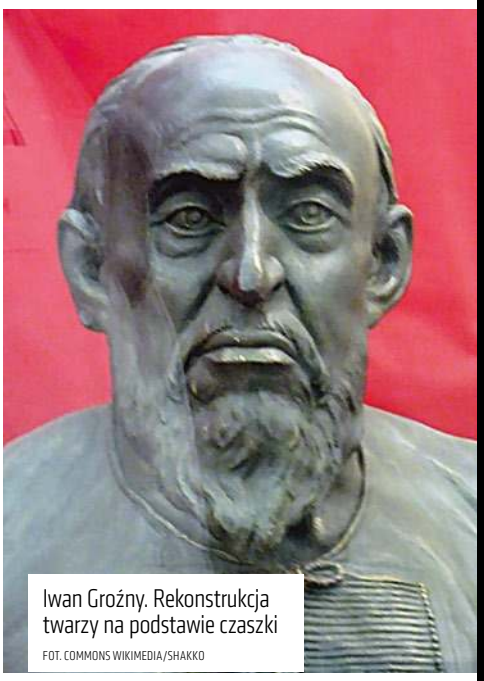

Iwan Groźny. Rekonstrukcja twarzy na podstawie czaszki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/SHAKKO

Dziś Nowogród liczy niewiele ponad 200 tys. mieszkańców. Jak na rosyjskie standardy jest to w zasadzie niewielkie miasteczko. Podobnie jest z legendą republiki nowogrodzkiej. Pozostaje ona jedynie ciekawostką, odstępstwem od normy w historii Rosji. A do tego wszystkiego ograniczonym terytorialnie eksperymentem politycznym. Część antyputinowskiej opozycji, śladem dekabrystów, próbuje rozbudzić nadzieje na pośmiertne zwycięstwo demokratycznego Nowogrodu nad despotyczną Moskwą. Trudno jednak takie nadzieje traktować poważnie. Demokracja w Rosji odeszła do lamusa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ab51039975

Zimna wojna / Kubańczycy na Czarnym Lądzie

Castro gra ostro

Anna Szczepańska

Kiedy Castro powiedział, że wyśle na pomoc „wszystko, co ma", nie kłamał. Pod koniec lat 80., wspierając Angolę i Namibię walczące z RPA, komunistyczny dyktator ogołocił Kubę nie tylko z wojska i ze sprzętu, lecz także z paliwa, jedzenia, lekarzy, nauczycieli, a nawet z krawców

Gdy w 2016 r. Fidel Castro zmarł, kilka państw na kontynencie afrykańskim ogłosiło żałobę narodową. Dla Afrykanów El Comandante nie jest tyranem, lecz symbolem walki z kolonializmem i apartheidem. Stara prawda mówiąca, że „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia", sprawdza się tu doskonale.

Zachód, czyli to, co za żelazną kurtyną utożsamialiśmy z szansą na wyzwolenie spod komunistycznego buta, w Afryce kojarzony był z kolonializmem i niewolą. Nie może zatem dziwić, że miliony Afrykanów w okresie zimnej wojny pokładały nadzieje w Związku Sowieckim, który w Afryce nigdy kolonii nie miał. Dla nich to Moskwa była szansą na niepodległość.

W 1959 r. na arenie dziejów pojawił się Fidel Castro, który razem ze swoimi czerwonymi towarzyszami usunął z Kuby proamerykańskie władze. Nie dość, że przeprowadził udaną rewolucję, to od razu zaczął rozszerzać swe „dzieło" na cały świat. Castro czy Ernesto Che Guevara szczerze wierzyli w swoją misję. „Niektórzy imperialiści zadają sobie pytanie, dlaczego pomagamy Angoli, jakie mamy tam interesy. Są przyzwyczajeni, że kiedy jakiś kraj coś robi, to dlatego, że szuka ropy, miedzi, diamentów. Nie! Nie szukamy żadnego interesu materialnego, a imperialiści tego nie rozumieją, ponieważ kierują się wyłącznie szowinistycznymi, nacjonalistycznymi, egoistycznymi kryteriami" – powiedział Castro w 1975 r., podczas zjazdu Komu-

eprasa.pl ab51039975

Kubańscy żołnierze w Angoli
FOT. PASCAL GUYOT/AFP/EAST NEWS

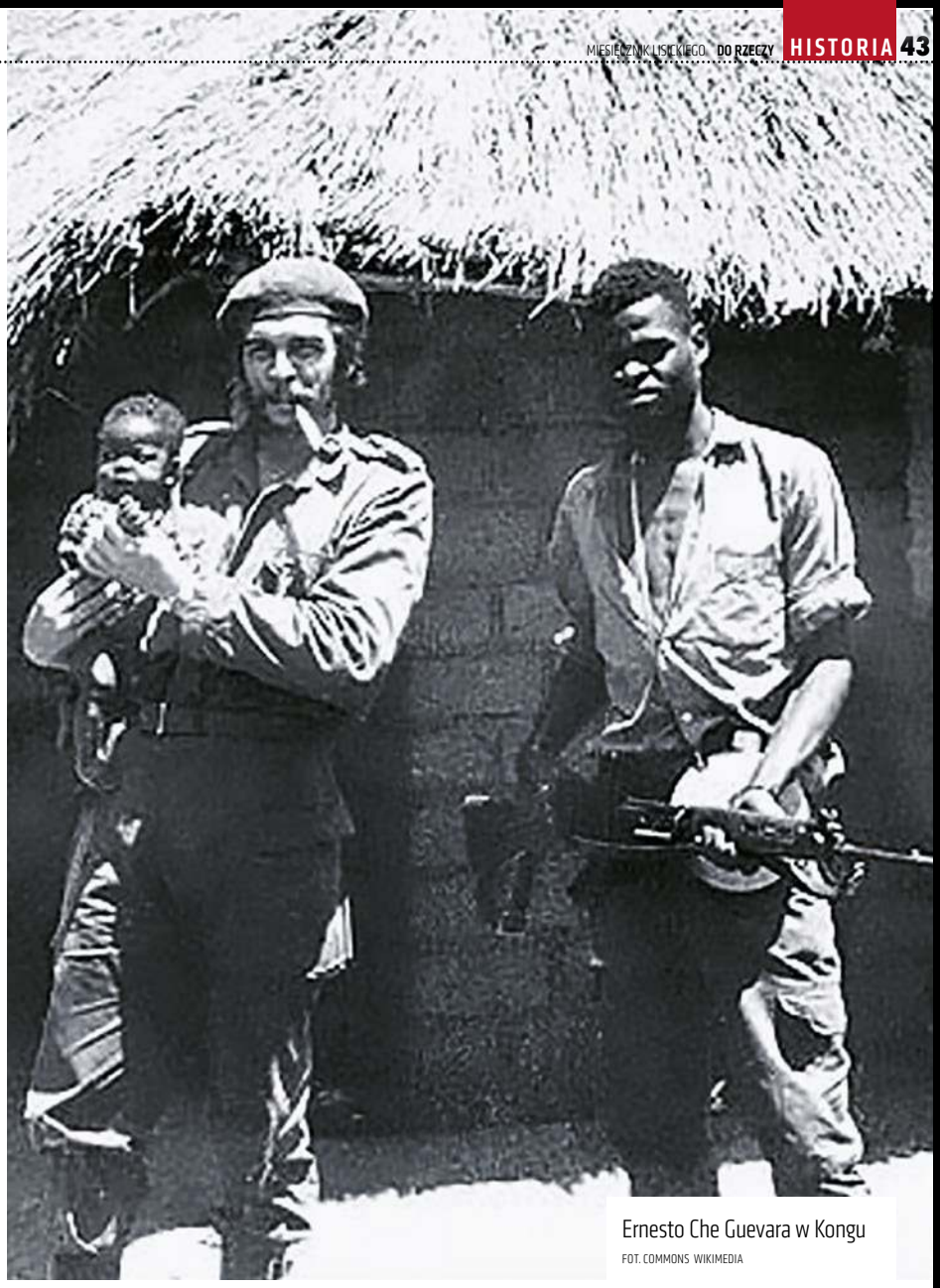

Ernesto Che Guevara w Kongu
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

nistycznej Partii Kuby. „Romantycy" z karabinami – to właśnie oni są najbardziej niebezpieczni.

Niepokorny sojusznik

Kuba kokietowała Związek Sowiecki od 1959 r. Apogeum dobrych relacji między Hawaną a Moskwą przypadło na okres przed tzw. kryzysem kubańskim. Później, w wyniku ustaleń prezydenta USA Johna F. Kennedy'ego i przywódcy ZSRS Nikity Chruszczowa, oba zimnowojenne bloki zdecydowały się na „pokojowe współistnienie", co oznaczało m.in., że Moskwa miała nie wspierać komunistycznych przewrotów w państwach Ameryki Łacińskiej. Fidel Castro, który już w 1959 r. działał na rzecz marksistowskich zamachów w regionie, musiał, przynajmniej oficjalnie, ograniczyć tego typu działania, lecz nie porzucił „kubańskiego internacjonalizmu wojskowego".

Kubańczycy przez kolejne 30 lat wielu państwom Trzeciego Świata udzielali pomocy wojskowej, finansowej, logistycznej, podżegali do zamachów stanu i formowali ideologicznie miejscowe kadry. Bywało, że działali tam, gdzie Moskwa otwarcie nie mogła się pokazać. Czasem jednak „kubański imperializm" nie był na rękę ZSRS, który próbował ograniczać zapędy Castro. Fidel był dla Moskwy trudnym i nieprzewidywalnym sojusznikiem.

Pierwszą bazę wojskową Kubańczycy założyli w 1961 r. na terenie Ghany, blisko granicy z francuską kolonią Górna Wolta (dziś Burkina Faso).

Algiera, Kongo, Ogaden

W Ghanie szkolono działaczy i żołnierzy z różnych części Afryki, którzy mieli później szerzyć rewolucję w swoich rodzinnych stronach. Baza działała ok. pięciu lat, kiedy w wyniku zamachu stanu odsunięto od władzy prezydenta Kwame Nkrumaha.

eprasa.pl ab51039975

Kubański czołg w Luandzie, stolicy Angoli FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Większe kubańskie siły pojawiły się w Afryce pierwszy raz w trakcie konfliktu granicznego między Marokiem a Algierią (wojna piaskowa). We wrześniu 1963 r. Maroko weszło na terytorium Algierii, rozpoczynając wojnę. Kubańskich żołnierzy, doradców i sprzęt (w tym czołgi) pod dowództwem Efigenia Ameijeirasa dostarczono do Algierii miesiąc później, 22 października 1963 r. Nie jest jasne, czy Sowieci aprobowali interwencję Hawany, tym bardziej że sami kilka tygodni wcześniej, po długich negocjacjach, uzbrojenie to przekazali Kubańczykom.

Siły kubańskie, od razu po wylądowaniu w Algierii, przystąpiły do planowania dużej operacji wojskowej. „Zatrzymamy się na Casablance" – twierdzili. Planów nie miały jednak okazji zrealizować. 30 października, w wyniku nacisków m.in. Organizacji Jedności Afrykańskiej, podpisano rozejm, choć napięcia nie ustały, a konflikt położył się cieniem na dalszych relacjach między tymi dwoma państwami.

Kubańczycy, z racji uspokojenia nastrojów, zaczęli rozglądać się za kolejnym państwem, które będzie potrzebowało „pomocy". Baza treningowa dla afrykańskich rewolucjonistów została przez nich utworzona w Tanzanii. W październiku 1964 r. Che Guevara ruszył zaś w trzymiesięczne tournée po Afryce, stwierdzając, że Czarny Ląd to „najważniejsze pole bitwy przeciwko wszelkim formom ucisku".

Jednym z państw, które odwiedził Che, a później wrócił tam i spędził ok. pół roku, była Republika Konga (dziś Demokratyczna Republika Konga). Państwo to, niepodległe od 1960 r., ogarnięte było konfliktem wewnętrznym (pisaliśmy o tym w „HDR" nr 7/2023) pomiędzy proamerykańskim Mobutu Sese Seko i wspieranym przez ZSRS Laurent-Désiré Kabilą.

Guevara był zwolennikiem specyficznej „pracy u podstaw". Uważał m.in, że rewolucja musi zacząć się na wsiach, a bunt mają szerzyć pojedyncze grupki uzbrojonych partyzantów działających w buszu. Kongo było więc wymarzonym miejscem na rozwinięcie takiej działalności rewolucyjnej. Kuba zaczęła w tajemnicy wysyłać do Konga swoje wojska, które dołączały do oddziałów Kabili. Ponadto przebywający na terenie Konga Che Guevara kontaktował się z lewicowymi organizacjami niepodległościowymi m.in. z Gwinei Bissau, Angoli i Mozambiku.

Ostatecznie nie udało się wywołać w Kongu komunistycznej rewolucji. Siły wspieranego przez USA Mobutu pokonały komunistów, a Che po kilku miesiącach zdecydował się opuścić ten kraj. Nie wiadomo dokładnie, co robił później. Być może jeszcze przez jakiś czas przebywał w sąsiednim Kongu-Brazzaville (dziś Republika Konga), gdzie Kubańczycy mieli również swój przyczółek.

W 1966 r. Kubańczycy utracili bazy w Ghanie i Algierii. Nowe centra powstały jednocześnie w Kongu-Brazzaville i Gwinei. Castro, choć nie rezygnował z popierania wszystkich lewicowych ruchów w Afryce, postanowił ukierunkować swoje działania przede wszystkim na wyzwolenie portugalskich kolonii: Angoli i Mozambiku, gdzie w połowie lat 60. prężnie działały już narodowowyzwoleńcze, lewicowe formacje. Zainteresowanie Hawany wzbudzała też Etiopia, gdzie w 1974 r. pozbawiono władzy cesarza Hajle Syllasje, a do władzy doszła komunistyczna junta Derg.

Napięcia pomiędzy Etiopią a Somalią istniały od lat. Somalia rościła sobie prawa do regionu Ogaden (jako części tzw. Wielkiej Somalii), który po drugiej wojnie światowej znalazł się w graniach Etiopii. Relacje pogorszyły się jeszcze, kiedy w wyniku zamachu stanu władzę w Somalii przejęli lewicowcy na czele z Mohammedem Siad Barre.

Początkowo coraz bardziej kruchy pokój próbował ratować sam Castro, który pojawił się w Rogu Afryki w marcu 1977 r. Somalia nie była jednak zainteresowana współpracą z Addis Abebą, a w lipcu zaatakowała Etiopię, chcąc odebrać jej Ogaden. Ten krok spotkał się z krytyką ZSRS i Kuby, które dotąd stały po stronie Mogadiszu. Z chwilą agresji Somalii Moskwa i Hawana wsparły Etiopię. Po stronie Somalii opowiedziały się natomiast USA.

Do Etiopii, pod koniec 1977 r., przybyło ok. 15 tys. kubańskich żołnierzy. Odegrali oni bardzo istotną rolę w całym konflikcie. Szczególnie zasłużonym dowódcą okazał się gen. Arnaldo Ochoa. Ostatecznie to siły etiopsko-kubańskie, pomimo początkowych porażek, odniosły zwycięstwo, miażdżąc, niemal dosłownie, siły przeciwnika, który mógł pożegnać się z marzeniami o Wielkiej Somalii. Wojna zakończyła się w marcu 1979 r., lecz kubańskie wojska stacjonowały tam jeszcze dłuższy czas.

Angola

Najbardziej znaną interwencją Kuby w Afryce był udział w tzw. południowoafrykańskiej wojnie granicznej. Konflikt ten toczył się w latach 1975–1990 na terytorium Angoli i częściowo na obszarze dzisiejszej Namibii.

Po długiej wojnie o niezależność Angola ogłosiła niepodległość 11 listopada 1975 r. Zaledwie kilka dni później na jej terytorium wylądowało kilka tysięcy kubańskich żołnierzy wraz ze sprzętem wojskowym. Nie był to oczywiście przypadek. Kwestię stacjonowania Kubańczyków w Angoli władze w Hawanie już od dłuższego czasu omawiały z komunistyczną partią MPLA, która przejęła w Angoli władzę. Ta z kolei miała się czego obawiać. Przeciwko niej występowała opozycyjna partia UNITA, której militarnego wsparcia udzielały RPA i Stany Zjednoczone. Dla angolskich komunistów jedynym ratunkiem było wsparcie ZSRS i Kuby. Moskwa jednak nie była wówczas specjalnie zaintere-

eprasa.pl ab51039975

sowana zaangażowaniem swoich sił na południu Afryki.

Choć zwykło się twierdzić, że Kuba działała w Angoli jako „ramię" Moskwy, to istnieją wątpliwości, czy Kreml w ogóle wiedział o planach wysłania do Angoli kubańskich żołnierzy. Bardzo możliwe, że był to autorski pomysł Fidela Castro, którego nie konsultował wcale z Kremlem. Biorąc pod uwagę, że przez cały czas trwania konfliktu w Angoli Sowieci zachowywali pewną rezerwę (choć wspierali MPLA finansowo i militarnie), można powiedzieć, że El Comandante postawił ZSRS przed faktem dokonanym, zmuszając go do zdecydowanego zaangażowania na południu Afryki.

W kulminacyjnym momencie wojny na pograniczu angolsko-namibijskim w konflikt zaangażowanych było ok. 40 tys. żołnierzy kubańskich. Ich liczba zwiększała się systematycznie od 1975 do 1988 r. Stany Zjednoczone początkowo niezbyt trafnie oceniły sytuację, sądząc, że za interwencją Kuby w Angoli stoi Moskwa. Waszyngton postanowił więc o wzmożeniu swoich wysiłków na rzecz wsparcia RPA, która zewsząd zagrożona była przez „komunizujących" sąsiadów i lewicowe ruchy. Duża pomoc popłynęła też do angolskiej partii UNITA.

Do pierwszych starć pomiędzy MPLA i UNITA (oficjalnie to te ugrupowania były stronami konfliktu, a wojna w Angoli była wojną domową), w których brali udział Kubańczycy, doszło pod koniec 1975 r. UNITA, wspierana przez wojska RPA, została odepchnięta od stolicy Angoli i ostatecznie zmuszona do ulokowania się w południowo-wschodniej części kraju.

Leonid Breżniew, choć nie był entuzjastą kubańskich awantur w Afryce, musiał ruszyć Angoli na pomoc. Jeżeli ktoś miał nadzorować przebieg wydarzeń, to powinni to być Sowieci, a nie jacyś kubańscy „guerrillas". Moskwa regularnie dostarczała do Angoli niezbędną broń i próbowała narzucić swoją wizję prowadzenia wojny. Koncepcje sowieckich doradców planujących szeroko zakrojone kampanie i dążących do walnych bitew często się jednak nie sprawdzały. Specyfika walki w buszu – walki głównie partyzanckiej – nie była najmocniejszą stroną Sowietów. Przełom nastąpił na początku 1984 r., kiedy kolejna ofensywa zaproponowana przez wysłanników Kremla zakończyła się porażką. Kubańczycy postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Tu znów odznaczył się gen. Ochoa. Sowieccy wojskowi zaczęli być stopniowo odsuwani od podejmowania decyzji. Choć Hawana domagała się od Moskwy dalszej pomocy wojskowej dla MPLA, to na froncie forsowała jednocześnie własne pomysły. A te, nie bez pewnej irytacji Kremla, zaczęły się sprawdzać – komuniści, po dłuższym okresie pata, zaczęli zdobywać przewagę.

Moskwie coraz trudniej było tolerować krnąbrnego sojusznika. Relacje między nią a Kubą zaczęły się ochładzać jeszcze bardziej, kiedy do władzy doszedł Michaił Gorbaczow. W tym czasie zresztą (od 1979 r.) ZSRS był uwikłany w wojnę w Afganistanie. Konflikt w Angoli pochłaniał uwagę i środki, które były potrzebne gdzie indziej. Gorbaczow, choć nie mógł oficjalnie odwrócić się od Kuby i MPLA, miał też coraz mniejszą ochotę na kontynuowanie tej wojny. Od połowy lat 80., kiedy rozpoczęły się sowiecko-amerykańskie negocjacje mające znormalizować relacje pomiędzy dwoma blokami, Gorbaczow rozmawiał z Ronaldem Reaganem m.in. o pokojowym rozwiązaniu na południu Afryki.

Kubańscy żołnierze w Ogadenie (Etiopia) FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Dla Fidela Castro Gorbaczow był zdrajcą. Kubański dyktator nie wierzył, że konflikt w Angoli da się wygrać inaczej niż przy pomocy karabinów. I choć raz po raz słał do Moskwy prośby o dalszą pomoc, to coraz częściej apele te pozostawały bez odpowiedzi.

Przełomową bitwą było starcie pod Cuito Cuanavale (przełom lat 1987 i 1988). Była to największa bitwa w dziejach Afryki po 1945 r. Batalia zakończyła się bez zdecydowanego rozstrzygnięcia, jednak wkrótce po niej armia kubańska (z oddziałami MPLA i namibijską partyzantką) ruszyła w kierunku granicy z Namibią, którą to RPA uznawała za własne terytorium. Pretoria nie wiedziała, czy zdoła zatrzymać ofensywę. Rząd RPA groził więc, że jeśli Kubańczycy przekroczą granicę z Namibią, to oni odpowiedzą użyciem broni jądrowej. Wojska kubańskie zatrzymały się kilkanaście kilometrów przed namibijską granicą. Castro do końca nie ujawnił (nawet Sowietom!), czy zamierza wkroczyć do Namibii, ostatecznie jednak, kiedy podczas trwających negocjacji RPA zgodziła się na usunięcie swoich wojsk z obszaru Angoli, zrezygnował z tego pomysłu, wycofując własne siły na akceptowalną przez RPA odległość.

W końcu, w wyniku trwających pięć lat rozmów (w ich trakcie wyróżniał się szczególnie Jorge Risquet, prawa ręka Castro w południowej Afryce), Kuba wyraziła zgodę na wycofanie swoich żołnierzy z Angoli. Ostatnie oddziały wyjechały 1 lipca 1991 r.

Jak na swoje rozmiary Kuba odegrała znaczącą rolę w historii zimnej wojny. Castro działał w imię marksistowskiej rewolucji, lecz w powszechnej pamięci Afrykanów zapisał się jako bohater, który bezinteresownie pośpieszył im na pomoc, kiedy tego najbardziej potrzebowali.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:

CIA Archive; Wilson Centre Archive; *Gleijeses P.,* ***„Conflicting Missions. Havana, Washington, and Africa 1959–1976";*** *Gleijeses P.,* ***„Visions of Freedom: Havana, Washington, Pretoria, and the Struggle for Southern Africa, 1976–1991".***

eprasa.pl ab51039975

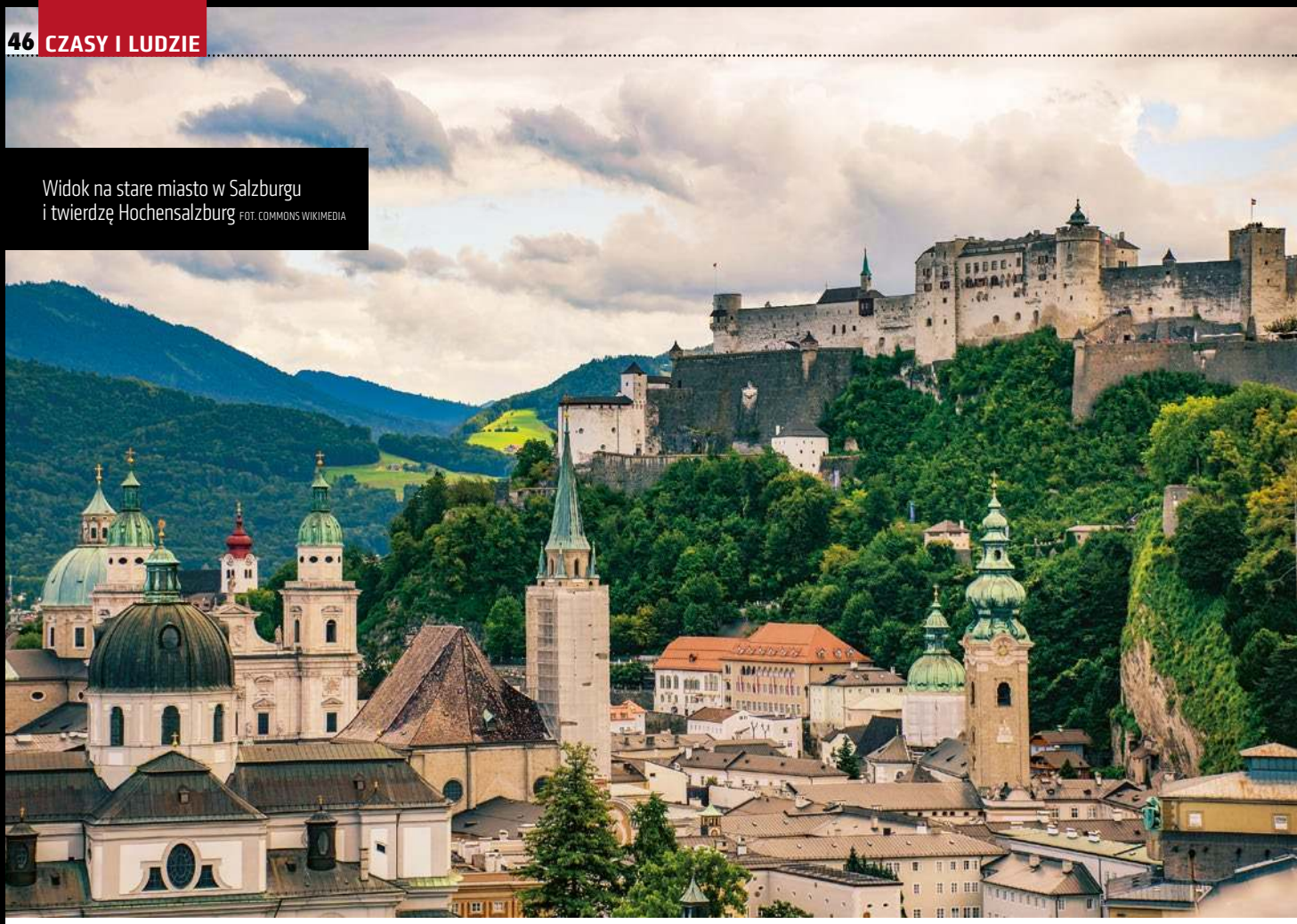

Widok na stare miasto w Salzburgu i twierdzę Hochensalzburg FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Alpejska perła / Z dziejów Salzburga

„Niemiecki Rzym”

Piotr Semka

To niezbyt duże miasto otoczone górami jest niczym włoski sen przeniesiony w krajobraz Alp. Jego historia nie zawsze była jednak tak idylliczna

Pruscy władcy mawiali, że ich jedynymi przyjaciółmi są złote talary w królewskim skarbcu i żołnierze ich gwardii. Odwiecznym przyjacielem Salzburga (po czesku Solohrad), jednego z najbardziej znanych miast Austrii, było natomiast miejscowe bogactwo – sól. To właśnie złoża soli, które otaczają to austriackie miasto, były źródłem potęgi grodu od najdalszych wieków.

Ok. 750 r. p.n.e. rozkwitała w okolicy Salzburga tajemnicza kultura halsztacka. Pierwszym ludem, którego obecność odnotowano na tych ziemiach, byli natomiast Celtowie. Stworzyli oni tam własne państwo, które Rzymianie zwali Noricum. Później, na bazie celtyckiego grodu, Rzymianie założyli miasto Iuvavum, które uważane jest za najstarsze austriackie miasto. Czy Salzburg był jednak w ogóle austriacki? Historycy spierają się, czy używanie takiego określenia jest poprawne. Tak naprawdę ma ono sens dopiero, jeżeli

eprasa.pl ab51039975

mówimy o ostatnich 220 latach dziejów miasta. Wcześniej, do 1803 r., Salzburg był niezależnym księstwem, które korzystało z protekcji władców Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Ta „osobność" Salzburga sprawia m.in. kłopot biografom Amadeusza Wolfganga Mozarta. Gdy w 1756 r. przyszedł on na świat, miasto było niezależnym księstwem, nad którym władzę sprawował miejscowy biskup. Czy Mozart był zatem Austriakiem czy Niemcem? A może był po prostu salzburczykiem?

Wróćmy jednak do dziejów tego niezwykłego skrawka Europy. Za twórców Salzburga uważa się dwóch wczesnośredniowiecznych świętych: Ruperta oraz pochodzącego z Irlandii Wirgiliusza. Za panowania cesarza Karola Wielkiego Salzburg, pod wodzą władz kościelnych, wybił się na niezależność, odrywając się od Bawarii, co było zresztą zaczynem przyszłych napięć pomiędzy sąsiadami. W 798 r. Salzburg, z rozkazu Karola Wielkiego i papieża Leona III, został siedzibą arcybiskupa, a do tego, co stanowiło ujmę dla Bawarii, urzędujący w Salzburgu arcybiskup sprawował władzę także nad Bawarią.

Już w pierwszych wiekach epoki średniowiecza Salzburg rozkwitał gospodarczo (dla przykładu: biskupi bili własne monety), dzięki korzystnemu położeniu na przecięciu szlaków handlowych z północy na południe i z zachodu na wschód. Kościelni władcy miasta przez lata doskonalili zarazem swą sztukę dyplomacji. W sporach o inwestyturę, w zależności od doraźnych korzyści, stawali raz po stronie papieża, innym razem po stronie cesarza. Ale ponieważ biskupi nie zawsze dokonywali właściwych wyborów, gorzko płacili za niekorzystne alianse. Dla Salzburga szczególnie trudnym okresem były wieki IX–XII, kiedy miasto zaangażowane było w liczne następujące po sobie konflikty. Najbardziej pechową datą był 1167 r., gdy wojska cesarza Fryderyka Barbarossy spaliły doszczętnie całe miasto.

Mieszkańcy Salzburga nie poddali się jednak. Odbudowali swój gród i wciąż, mimo kolejnych konfliktów, pozostawali niezależni od Bawarii i Austrii, co stanowiło ich ważny atut. Ostatecznie pod koniec XII w. Salzburg pokonał nawet bawarskiego księcia Henryka Lwa, który zagwarantował mu niepodległość. Tak zaczął się kilkusetletni okres prosperity i pokoju.

Reformacja

Władze Salzburga wybudowały wokół miasta mury obronne, lecz nie miały na razie problemów z sąsiadami. Walki rozgorzały natomiast pomiędzy kolejnymi arcybiskupami a pragnącym się wyemancypować mieszczaństwem. Nic dziwnego więc, że kiedy w 1517 r. Marcin Luter ogłosił swoje tezy, salzburczycy entuzjastycznie przyjęli reformację. Było to dla nich uzasadnienie walki o władzę nad miastem.

Wielu biskupów było zaskoczonych tą religijną rewolucją i pozwalało odebrać sobie władzę. Inaczej było w Salzburgu, gdzie rządził kard. Matthäus Lang von Wellenburg. Duchowny zwerbował tyrolskich bitnych kondotierów i lanck-nechtów, tłumiąc mieszczańskie powstanie w 1525 r. Terror, który później zapanował, doprowadził do śmierci ok. 15 tys. ludzi. Protestantyzm nigdy nie zdobył w Salzburgu przewagi. I tak jest do dzisiaj.

Co więcej, alpejska metropolia skorzystała z luterańskiego zamieszania, a biskupi Salzburga otrzymali od cesarza tytuł prymasów Niemiec, który dzierżyli przez prawie 300 lat.

Bywało, że rządzący Salzburgiem arcybiskupi władali żelazną ręką i stawali na czele armii. Jednocześnie byli mecenasami sztuki z całkiem niezłym gustem. Ten sam Lang, który walczył z reformacją, roztoczył nad naukowcami i artystami prężnie działający mecenat, który uczynił z Salzburga jedną z artystycznych stolic Europy. Kolejni trzej arcybiskupi podnieśli jeszcze rangę miasta, które w XVII w. nazywano „niemieckim Rzymem".

Pierwszym z triady arcybiskupów mecenasów Salzburga był Wolf Dietrich von Raitenau (1559–1617). Kształcił się on w Collegium Germanicum w Rzymie i posługiwał się sześcioma językami. Nie wywodził się z potężnego rodu, choć – co dla jego losów najważniejsze – poprzez swoją matkę, Helenę von Hohenems, był spowinowacony ze Stolicą Apostolską. Helena bowiem była siostrzenicą Giovanniego Angelo de Medici, późniejszego papieża Piusa IV. Raitenau był, także poprzez matkę, spokrewniony z kard. Karolem Boromeuszem, który przez niektórych uważany był za świętego już za życia.

Te koneksje sprawiły, że Raitenau był mentalnie Włochem. W drugiej połowie lat 80. XVI w. nastał jego czas. O fotel arcybiskupa Salzburga walczyły dwie potężne koterie. Cesarz, rozdrażniony coraz ostrzejszym konfliktem pomiędzy adwersarzami, sięgnął wtedy po Wolfa Dietricha jako kandydata nie tylko kompromisowego, lecz także mającego silne poparcie ze strony Stolicy Apostolskiej. Raitenau został konsekrowany na arcybiskupa Salzburga

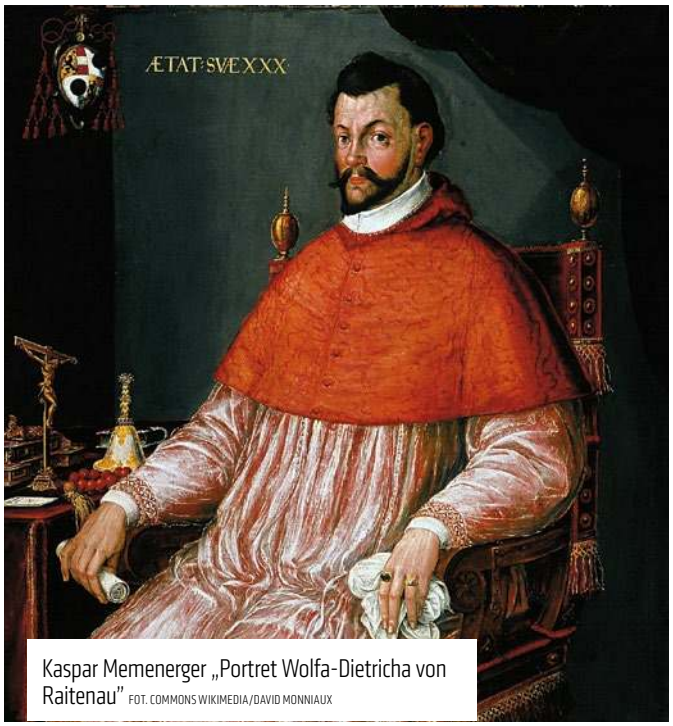

Kaspar Memenerger „Portret Wolfa-Dietricha von Raitenau" FOT. COMMONS WIKIMEDIA/DAVID MONNIAUX

eprasa.pl ab51039975

Salzburg na starej grafice
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

w maju 1587 r. i od razu rozprawił się z sympatykami protestantyzmu, którzy ponownie podnieśli głowy w niepewnym okresie poprzedzającym jego wybór. Dwa lata później zarządził wygnanie z miasta wszystkich protestantów, a chcąc przeprowadzić skuteczną „rekatolicyzację" swojego państewka, ściągnął do Salzburga dwa zakony: kapucynów i pustelników augustianów, którzy mieli dotrzeć do serc i sumień wiernych.

Drugi Watykan

Choć Raitenau obrał ostry, antyreformacyjny kurs, to dbał jednocześnie, aby sam splendor katolicyzmu oddziaływał na wiernych i przyciągał ich do Kościoła. Był on oświeconym biskupem, który korespondował z wieloma wybitnymi umysłami swojej epoki, np. duńskim astronomem Tycho Brahem. Raitenau rozpoczął też przebudowę miasta w stylu barokowym. Czyniąc plany, miał w pamięci wspaniałe rozwiązania miejskie, które poznał w czasie licznych podróży, m.in. po Hiszpanii. Nie żałował pieniędzy na ściągnięcie do Salzburga najlepszych architektów, malarzy i rzeźbiarzy. W 1595 r. rozpoczął budowę Rezydencji – imponującego pałacu dorównującego najpiękniejszym siedzibom rzymskich kardynałów. Pamiętał też o wybudowaniu kaplicy na cmentarzu św. Sebastiana, gdzie miały zostać złożone po śmierci jego doczesne szczątki.

Dziełem życia Raitenaua była jednak budowa katedry, którą trzeba było wznieść po pożarze, który dotknął poprzednią świątynię w 1598 r. Plany nowej katedry przygotował nadworny architekt arcybiskupa, Włoch Santino Solari, który skorygował plany innego włoskiego architekta, Vincenza Scamozziego. Ten ostatni uroił sobie, że na terenie zgliszcz wybuduje ogromne gmaszysko przypominające rzymską bazylikę św. Piotra. Solari przekonał wówczas Raitenaua, że większy kościół nie oznacza wcale, że będzie on lepszy, a poza tym kopiowanie rzymskiej bazyliki na pewno nie spodoba się papiestwu. Solari zaproponował w zamian, że stworzy katedrę przypominającą kościół Il Gesú, jedną z pierwszych świątyń barokowych w Rzymie.

Gigantyczne wydatki, które wiązały się z przebudową miasta, miały jednak swoje polityczne konsekwencje. Mniejszym problemem były protesty mieszczan, którzy burzyli się przeciwko podwyżce podatków. Te stłumiono brutalnymi metodami w 1611 r. Większy błąd Raitenau popełnił, wchodząc w konflikt z Bawarią. Dotyczył on wysokości cła na sól. Co więcej, lekceważąc księcia bawarskiego Maksymiliana I, wojowniczy arcybiskup zażądał oddania Salzburgowi rejonu Berchtesgaden. Doszło do wojny, a pyszny prymas Niemiec poniósł sromotną klęskę. Kiedy został wzięty do niewoli przez żołnierzy Maksymiliana, zmuszono go do rezygnacji z urzędu. Przez kolejnych sześć lat „wilk w purpurze" trzymany był w najmroczniejszym i najbardziej wilgotnym lochu twierdzy Hohensalzburg. Nic dziwnego, że w 1617 r. nie wytrzymał chłodu oraz upokorzeń i wyzionął ducha.

> Raitenau przeszedł do historii nie tylko jako przeciwnik reformacji i budowniczy. **Legendarny był też jego związek z Salome Alt, córką salzburskiego mieszczanina**

Raitenau przeszedł do historii nie tylko jako przeciwnik reformacji i budowniczy. Legendarny był też jego związek z Salome Alt, córką salzburskiego mieszczanina, dla której biskup wybudował pałacyk Altenau i miał z nią podobno 15 dzieci. Do końca swych ziemskich dni biskup wzdychał do ukochanej. W 1905 r., w trakcie prac w twierdzy Hohensalzburg, odkryto wydrapany napis na ścianie jego lochu: „Jest mnóstwo oszustwa na świecie, czyń dobrze i bój się kłamstw. Postąpiłem słusznie i zostałem okłamany. Miłość to początek cierpień – prędzej czy później" – przedostatnie zdanie to być może nawiązanie do obietnicy, że kiedy zrzeknie się tytułu, zostanie uwolniony.

Podobno u schyłku życia arcybiskup zaakceptował swój los jako wolę Bożą. Fryzjerzy, którzy dopuszczani byli do niego, twierdzili, że były arcybiskup nie prosił o nic poza możliwością ujrzenia swych dzieci. Życzenia tego nigdy nie spełniono.

„Lis" biskupem

Po uwięzieniu Raitenaua na tron arcybiskupa Salzburga książę bawarski Maksymilian zaproponował kuzyna obalonego hierarchy, Markusa Sittikusa von Hohenemsa, który wyświęcony został 7 października 1612 r. (zaledwie kilka dni wcześniej przyjął święcenia kapłańskie). Ta ekspresowa kariera była powodem kpin ze strony sąsiadów salzburskiego księstwa. Przedstawienie związane z osadzeniem na biskupim tronie Hohenemsa miało wzmocnić Maksymiliana I. Książę srogo się jednak pomylił, sądząc, że uzależnia Salzburg od Bawarii. Hohenems zaczął głosić konieczność suwerenności księstwa salzburskiego. W 1617 r., chcąc podkreślić

eprasa.pl ab51039975

swoją niezależność, wyprawił uroczysty pogrzeb swojemu poprzednikowi, choć pośrednio to on skazał go na przedwczesną śmierć w lochach Hohensalzburga.

Hohenems energicznie zabrał się do wprowadzania reform, które miały osłabić, wciąż istniejące, ciągoty reformacyjne w Salzburgu. Powołał też specjalną komisję, która ustaliła, że większość wiejskich księży żyje w konkubinacie i ma dzieci. Takie praktyki postanowiono natychmiast ukrócić, wprowadzając surową dyscyplinę.

Pod względem artystycznego gustu Hohenems przypominał Raitenaua. Ponieważ spędził w Italii wiele czasu, po włosku mówił nawet lepiej niż po niemiecku. Do Salzburga przeniósł wzorce bractw Bożego Ciała z Hiszpanii i Włoch. Co miesiąc przez miasto maszerowały kolorowe parady, zachwycając zgromadzoną gawiedź. Hohenems kontynuował ponadto prace nad budową katedry i ufundował w Salzburgu dwa nowe kościoły: św. Marka i Bożego Ciała. Nie chcąc skandalu, unikał kontaktów z kobietami. Wypoczywał w pałacu Hellbrunn, który zaprojektował dla niego architekt Santino Solari. Hohenems był też inicjatorem wystawienia pierwszej opery na północ od Alp, co miało miejsce w czasie karnawału w 1614 r. w rezydencji arcybiskupiej. Wystawiono wówczas „Orfeusza" Claudia Monteverdiego. Markus Sittikus von Hohenems zmarł w 1619 r., pozostawiając Salzburg na kolejnym etapie barokowej rozbudowy.

Kolejny arcybiskup Salzburga objął stanowisko w chwili, gdy trwał już wielki konflikt obozu protestanckiego z katolickim, czyli wojna trzydziestoletnia (1618–1648). Jeśli Paris von Lodron jest wspominany z wdzięcznością w Salzburgu, to przede wszystkim dlatego, że potrafił utrzymać swoje księstwo z dala od konfliktu dzięki niezwykle umiejętnej dyplomacji. Jak wiemy z perspektywy czasu, sztuka ta nie była łatwa, biorąc pod uwagę to, że w czasie wojny trzydziestoletniej zginęła jedna trzecia populacji zamieszkującej tereny niemieckojęzyczne.

Von Lodron, tak jak jego poprzednicy, też bardziej przypominał Włocha niż Niemca, choć pochodził z niemieckiej rodziny. Wpływami cieszył się dzięki koneksjom z familiami Liechtensteinów i von Thun und Hohenstein (nazwisko to znane jest Polakom głównie poprzez eurodeputowaną Różę Woźniakowską).

Von Lodron studiował teologię w Trydencie, a później w Bolonii. W Italii kształtował się też jego artystyczny gust. Na następcę Hohenemsa został wybrany jeszcze za jego życia. Znał Salzburg. Zanim został arcybiskupem, był rektorem katedry i prezesem izby dworskiej.

O ile poprzednicy nie szczędzili pieniędzy na barokową przebudowę Salzburga, o tyle von Lodron postawił na wzmocnienie fortyfikacji miasta. „Solny gród" został otoczony nowoczesnymi liniami obronnymi wzorowanymi na tych, które wojskowi inżynierowie wznosili w Wenecji.

W 1622 r., gdy uznał, że miasto jest już odpowiednio zabezpieczone, arcybiskup założył w Salzburgu uniwersytet. Zyskał też wdzięczność okolicznych chłopów, osuszając bagna Itzlinger, które uważano za źródła kolejnych epidemii. To von Lodron wreszcie zakończył budowę katedry i osobiście zadbał o jej wspaniały wystrój. Rządził Salzburgiem aż do 1653 r., doprowadzając do końca przebudowę miasta na modłę baroku. Gdy w 1653 r. chowano go w krypcie salzburskiej katedry, miasto miało już za sobą groźbę wplątania się w wojnę trzydziestoletnią, która tak wyniszczyła sąsiednią Bawarię. To osłabienie agresywnego sąsiada, który nie przestawał nigdy myśleć o podbiciu kościelnego księstewka, sprawiło, że Salzburg mógł czuć się bezpieczny przez kolejne dwa wieki.

Włoski sen

Kolejni arcybiskupi rządzący Salzburgiem nie wnieśli już aż tak wiele do koncepcji przebudowy miasta. Jedyną nowością była rezygnacja z usług włoskich mistrzów na rzecz budowniczych pochodzących ze świata niemieckiego. Arcybiskup Johann Ernst von Thun (1643–1709) zatrudnił do budowania nowych kościołów Johanna Fischera von Erlacha i drugiego znamienitego architekta, Johanna Lucasa von Hildebrandta. W XVIII w. przerabiano tylko i dobudowywano nowe elementy do dawnych budowli.

Zwiastunem nowej specjalizacji Salzburga, czyli wysokiej kultury muzycznej, było pojawienie się rodu Mozartów: Leopolda Mozarta i jego genialnego syna, Wolfganga Amadeusza. Patronem ojca i syna był ostatni kościelny władca Salzburga, abp Hieronymus von Colloredo (1732–1812).

W 1803 r., pod wpływem nacisków Napoleona Bonaparte, zlikwidowano kościelne państwo arcybiskupie, a po wielu dyplomatycznych perturbacjach Salzburg, w 1815 r., dołączono do Austrii. Dziś alpejska metropolia żyje dawną chwałą i słynie z muzycznych festiwali. Mieszkańcy tego miasta, podobno jako jedyni w Austrii, zadzierają nosa wyżej niż wiedeńczycy. Nieliczne skutki bombardowań z czasów drugiej wojny światowej dawno zaleczono. Jedyny większy ubytek, w postaci zburzonej od amerykańskich bomb kopuły katedry, odbudowano za pieniądze amerykańskich podatników. Ameryka wstydziła się, że jej samoloty zniszczyły przepiękną katedrę św. Ruperta. A sam Salzburg pozostał jedyną w swoim rodzaju syntezą włoskich wzorców miasta idealnego połączoną z solidnością niemieckich mistrzów budowlanych. Ten sen o pięknie Italii przeniesiony w krajobraz alpejskich szczytów zachwyca do dziś.

Johann Nepomuk della Croce „Rodzina Mozartów" FOT. WIKIPEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ab51039975

Bitwa pomiędzy krzyżowcami a muzułmanami FOT. COMMONS WIKIMEDIA

XI–XIII w. / Chrześcijańska chwała

Zapomniana epopeja krucjat

Piotr Tylus

Dzięki krucjatom zdobycie Konstantynopola zostało opóźnione o mniej więcej 350 lat. Nikt zatem nie chciał nikogo nawracać mieczem, a jedynym celem była ochrona chrześcijaństwa – zarówno tam, jak i tutaj

Wyprawy krzyżowe oraz inkwizycja – oto dwa główne tytuły winy, z powodu których współcześni katolicy tak jakby oblewali się rumieńcem wstydu. Niektórzy hierarchowie przepraszają za inkwizycję i krucjaty. Czy słusznie? Zostawmy tutaj w spokoju inkwizycję, której warto by poświęcić odrębny artykuł, a skupmy się na krucjatach.

Warto zastanowić się, jaki cel przyświecał Urbanowi II, gdy w roku 1095, na synodzie w Clermont, wzywał do krucjaty, i czy rzeczywiście chodziło mu o nawracanie „niewiernych", o nawracanie mieczem – jakże haniebne! Otóż Cesarstwo Bizantyńskie kurczyło się w szybkim tempie pod naporem islamskim, a na Zachodzie zapanowała głęboka świadomość, że Europa jest zagrożona w sposób bezpośredni i że narody zachodnie powinny zbrojnie interweniować, by ją chronić. Przypomnijmy, że już w roku 711 muzułmanie przeprawili się przez Cieśninę Gibraltarską na stronę europejską i zaczęli podbój Hiszpanii (niektórzy historycy uważają, że ich wyprawy na Półwysep Iberyjski miały miejsce wcześniej), a w roku 732 zaatakowali państwo Franków, lecz zostali powstrzymani przez Karola Młota dzięki wygranej przez niego bitwie pod Poitiers. Papież Urban II zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które niósł ze sobą islam. Dzięki krucjatom zdobycie Konstantynopola zostało opóźnione o mniej więcej 350 lat. Nikt zatem nie chciał nikogo nawracać mieczem, a jedynym celem była ochrona chrześcijaństwa – zarówno tam, jak i tutaj.

Przeciw Turkom

W kwestii krucjat panują obecnie pewne utarte, nieuzasadnione prze-

eprasa.pl ab51039975

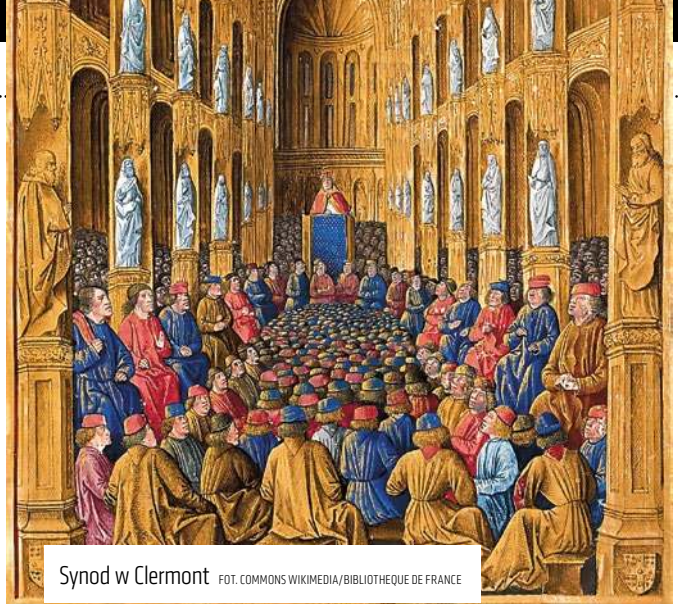
Synod w Clermont FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BIBLIOTHEQUE DE FRANCE

konania – o których warto na samym początku tutaj wspomnieć – nie tylko w kwestii rzekomego nawracania mieczem. Przede wszystkim byłoby dobrze nie osądzać wypraw krzyżowych z dzisiejszego punktu widzenia i spojrzeć na tamte wydarzenia z perspektywy ludzi żyjących w średniowieczu; warto spróbować zrozumieć ich sposób myślenia, ich mentalność. Otóż dla nich było rzeczą całkowicie naturalną, że należy troszczyć się o miejsca święte, a szczególnie o to miejsce, gdzie dokonało się ich Odkupienie, i że należy troszczyć się o bezpieczeństwo pielgrzymów, którzy tam podążali, oraz o rdzennych chrześcijan zamieszkujących tereny niegdyś wyrwane przez islam cesarstwu wschodniorzymskiemu. Bo przecież oni byli ludźmi autentycznie wierzącymi, nie tylko sercem (w zasadzie „nie pracowali na emocjach"), lecz także rozumem. I niewykluczone, że nasze obecne skrupuły w kwestii krucjat byłyby dla tych ludzi najzwyczajniej w świecie niezrozumiałe.

Poza tym często można dzisiaj spotkać się z poglądem, że krzyżowcy walczyli z Arabami. Otóż nie tyle z Arabami, ile z Turkami, a nawiasem mówiąc – wielki Saladyn był z pochodzenia Kurdem. Jeśli chodzi o Arabów, to bardzo szybko zaczęli utrzymywać z nimi również pozytywne relacje, zawiązywały się przyjaźnie itd. Zresztą układali się nie tylko z Arabami, lecz także z Turkami. Rzeczywistość była bardzo złożona. Różnie bywało w różnych okresach. Przytoczmy przy tej okazji pewną anegdotkę. Emir Osama, przebywający w roku 1140 w Jerozolimie, gdzie zaprzyjaźnił się z templariuszami, tak oto napisał w swojej relacji: „Gdy zwiedzałem Jerozolimę, zaszedłem do meczetu Al-Aksa, który zajmowali moi przyjaciele Templariusze. Obok znajdował się niewielki meczet, który Frankowie przekształcili w kościół. Templariusze oddali mi ten mały meczet do dyspozycji, bym mógł w nim się modlić". Pewnego razu jakiś nowo przybyły krzyżowiec doznał autentycznego szoku, gdy zobaczył muzułmanina odprawiającego swoje modły w kościele, i próbował skutecznie mu w tym przeszkodzić.

Papież Urban II FOT.COMMONS WIKIMEDIA

Wówczas nadbiegli Templariusze, ostudzili zapał tego nadgorliwca, wypchnęli go z kościoła, a przed Osamą złożyli stosowne wyjaśnienie: „To obcokrajowiec. Nie zna zwyczajów panujących w tym kraju!". Być może owa anegdotka o niczym znamiennym nie świadczy, a jedynie o indywidualnych relacjach pewnego muzułmanina z Rycerzami Świątyni; jednak prawdą jest, że między światem chrześcijańskim a światem islamskim panowała nie tylko wrogość, lecz także często przyjaźń, a państwa założone przez krzyżowców przez długi czas w podzielonym świecie islamskim pełniły rolę stabilizatora.

Panuje też przekonanie, że w okresie wypraw krzyżowych Zachód rozwinął się cywilizacyjnie, skorzystał pod tym względem, czerpiąc od rzekomo bardziej rozwiniętego świata islamskiego. Rzeczywiście Europejczycy są wówczas olśnieni Orientem, zachwyceni egzotycznymi owocami, drogocennymi tkaninami, mocnymi wonnościami i pięknymi strojami. Bo przecież średniowiecze było zakochane w kolorach i w światłości, skąpane w blasku. Orient przyciągał tych ludzi jak magnes. Jednak oni sami pod względem cywilizacyjnym jednocześnie dokonywali tam rzeczy wielkich. Wystarczy wspomnieć kupieckie faktorie, które były ich dziełem, czy ogromne twierdze, takie jak słynny Krak des Chevaliers – siedziba joannitów w Syrii. Poza tym krzyżowcy wprowadzali na Wschodzie produkcję europejską: wyroby ze szkła, włókiennictwo, barwienie tkanin. Tworzyli też kodeksy praw. Byli ludźmi potrafiącymi racjonalnie myśleć. Warto zacytować przy tej okazji współczesnego francuskiego historyka Lavisse'a: „Nasi rycerze okrywali się chwałą nie tylko dlatego, że podbijali, ale także dlatego, że umieli, w razie potrzeby, uporządkować swoje podboje oraz ustanawiać rządy. Ale być może nie odnieśliby takiego sukcesu, gdyby Kościół nie współpracował przy ich dziele".

Rycerskie eposy

Dlaczego „epopeja krucjat"? Otóż gdy w średniowieczu mówiono o krucjatach, używano właśnie słowa „epopeja". A ówczesne teksty opowiadające o tych wydarzeniach niejednokrotnie urastały, pod względem literackim, do rangi rycerskich eposów.

Krucjatom towarzyszyła niezwykle intensywna działalność pisarska. Otóż zadziwia bogactwo źródeł pisanych, a przecież chodzi o wydarzenia, które miały miejsce od końca XI do końca XIII w. Są to teksty współczesne tym wydarzeniom lub niewiele późniejsze. Kronikarze i poeci (bo chodzi też o utwory literackie, niekiedy wierszowane, opowiadające o krucjatach) towarzyszyli krzyżowcom, a czasem władali nie tylko piórem,

eprasa.pl ab51039975

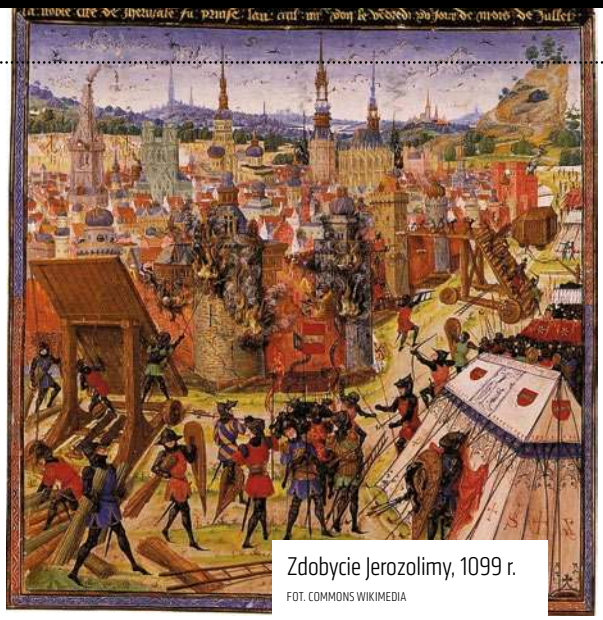

Zdobycie Jerozolimy, 1099 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

lecz także mieczem – wystarczy wspomnieć tutaj o Janie de Joinville, seneszalu Szampanii i znamienitym rycerzu, który towarzyszył Ludwikowi IX w jego dwóch wyprawach krzyżowych. Szczególnie znany jako autor „Czynów Ludwika świętego, Króla Francji" („Le livre des saintes paroles et des bons faiz nostre saint roy Looÿs") – dzieło napisane językiem mistrza felietonu (przypomnijmy, że w tamtym czasie literatura francuska posiada już wielowiekową tradycję). Choć mamy tutaj do czynienia z prozą, to ów tekst tchnie poezją, jest epopeją… krucjat.

„Kroniki" krucjatowe – choć niejednokrotnie były one czymś więcej niż kronikami, czymś więcej niż zwykłym zapisem wydarzeń, faktów, ponieważ przedstawiały wysokie walory literackie i były „wciągające" dla ówczesnych czytelników i słuchaczy – powstawały głównie w językach łacińskim i francuskim (choć nie tylko), bo – prawdę powiedziawszy – w państwach założonych przez krzyżowców (Królestwie Jerozolimskim, Księstwie Antiochii, Hrabstwie Edessy, Hrabstwie Trypolisu) rozkwitała kultura francuska. Owe państwa w pewnym sensie stanowiły francuskie terytoria zamorskie, przedłużenie Francji: Outremer – taka była powszechnie stosowana nazwa, używana również w polskiej literaturze przedmiotu. Nie tylko Jan de Joinville władał mieczem i jednocześnie uwiecznił epopeję krucjat. Przypomnijmy przy tej okazji postać Filipa de Novare, rycerza i poety, autora historii wojny toczącej się w latach 1228–1243 między Królestwem Cypru a cesarzem Fryderykiem II – prekursorem libertynizmu i indyferentyzmu religijnego, niefortunnie angażującym się w epopeję krucjat; jak również osobę Gerarda de Montréal, autora historii państw Outremer od roku 1243 do początku XIV w. – tekst znany jako „Kronika Templariusza z Tyru" (ów Gerard był cypryjskim rycerzem i świadkiem opowiadanych wydarzeń od roku 1269). Te dwa teksty wraz z kroniką Królestwa Jerozolimskiego i Królestwa Cypru, od roku 1132 do 1224 (pierwsza część, która przedstawiała historię Królestwa Jerozolimskiego od początku jego istnienia, zaginęła), tworzą tzw. Geste des Chiprois.

Wśród tekstów o wysokich walorach poetyckich, opowiadających o krucjatach, należy przede wszystkim wymienić „Historię wojny świętej" („Estoire de la guerre sainte"), składającą się z 12 353 wersów, podzielonych na lessy (zupełnie jak w starofrancuskich eposach rycerskich), napisaną przez niejakiego Ambrożego, anglo-normandzkiego żonglera i truwera, który towarzyszył królowi Ryszardowi Lwie Serce podczas trzeciej krucjaty (1189–1192). Jednak najważniejszym źródłem informacji o krucjatach i o losach państw założonych przez krzyżowców, a głównie Królestwa Jerozolimskiego, jest kronika Wilhelma z Tyru (biskupa tego miasta i m.in. preceptora Baldwina IV, znanego jako Król Trędowaty): „Historia rerum in partibus transmarinis gestarum" – historia Królestwa Jerozolimskiego do roku 1184, przetłumaczona na język starofrancuski; z kolei jej późniejsze kontynuacje, będące dziełem różnych autorów, zostały bezpośrednio napisane w języku starofrancuskim. I również w tym języku opisano upadek Królestwa Jerozolimskiego oraz jego konsekwencje: „Chronique d'Ernoul et de Bernard le Trésorier" – tekst niejakiego Ernoula, nieco przerobiony przez Bernarda le Trésorier.

Owe teksty urastały do rangi eposów rycerskich – epopeje… krucjat – ale pojawiły się również utwory, które były eposami rycerskimi (chansons de geste) w dosłownym tego słowa znaczeniu. Otóż wśród setki starofrancuskich epopei rycerskich możemy wyróżnić kilka utworów ściśle związanych z tematyką krucjatową: „Pieśń o Antiochii" („La Chanson d'Antioche") i „Pieśń o Jerozolimie" („La Chanson de Jérusalem"), ponadto pieśni poświęcone Gotfrydowi z Bouillon, uczestnikowi pierwszej wyprawy i pierwszemu królowi Królestwa Jerozolimskiego, który nie zgodził się nosić złotej korony w Jerozolimie, gdzie Chrystus przyjął jedynie koronę cierniową, i który nie obnosił się jako król, a zadowolił się tytułem Obrońcy Grobu Świętego. Owe epopeje krucjatowe, wraz z „Pieśnią o wyprawie przeciw albigensom" („La Chanson de la croisade albigeoise"), były jedynymi przedstawicielami gatunku chansons de geste, poruszającymi tematykę współczesną.

Cel ostateczny

Skoro mówimy o tego rodzaju literaturze, to nie sposób nie wspomnieć o krótkich pieśniach krucjatowych, wśród których dominującą rolę odgrywały utwory wzywające do uczestnictwa w wyprawach krzyżowych, śpiewane wówczas wszędzie, bardzo piękne i poruszające. Z tym że autorzy owych pieśni, nawołujący do przyjęcia zamorskiego krzyża, nie oczekiwali ślepego posłuszeństwa, nie próbowali grać na ślepych emocjach – ponieważ w średniowieczu wystrzegano się popełniania czynów bezmyślnych – a starali się przekonywać, proponując miłowanie Boga jako cel ostateczny.

Historia i poezja tworzyły epopeję krucjat. W średniowieczu życie tętniło poezją i tętniło nią wszędzie – żonglerzy przemieszczali się z miejsca na miejsce, śpiewając przed zgromadzoną publicznością epopeje rycerskie, pieśni krucjatowe, pieśni religijne: na placach publicznych, na jarmarkach, w zamkach itd. – a poezja tętniła życiem. Poezja jawiła się, nawet w oczach najprostszych ludzi, jako coś niesłychanie ważnego. Była królową życia, wielką namiętnością. Bez poezji nie mogło odbyć się żadne święto. Każdy odczuwał głód poezji. Obecnie mało kto interesuje się poezją, która jest postrzegana jako coś elitarnego. Natomiast, jak stwierdza znana francuska mediewistka Régine Pernoud, w swojej książce „Blask

eprasa.pl ab51039975

średniowiecza": „Średniowiecze nie znało żadnych elit jako takich, zarówno w sferze intelektualnej, jak i gdzie indziej, bowiem każdy w swojej dziedzinie, w swojej społeczności mógł stać się kimś wyjątkowym, kimś elitarnym. Uciechy ducha nie były zarezerwowane jedynie dla ludzi uprzywilejowanych i wykształconych, i nawet nie umiejąc czytać ani pisać, można było mieć dostęp do największych rozkoszy poezji". I jak dalej zauważa: „Wszystko, co wówczas pochłaniało ludzką uwagę […] – wszystko było przekuwane w rymy i w rytm wiersza, ubogacane w wymyślone treści, wprowadzone do wielkiego poetyckiego ogrodu ludzkości dzięki tym niezmordowanym pieśniarzom oraz ich słuchaczom spragnionym poezji".

Poezja modelowała ludzkie zachowania, także, rzecz jasna, zachowania bohaterów krucjat. Przytoczmy w celach ilustracyjnych jeden tylko przypadek. Gdy Ludwik IX poniósł klęskę podczas swojej pierwszej wyprawy krzyżowej i był wyczerpany z powodu tyfusu, pewnego dnia przybył do małej wioski o nazwie Munjat Abu-Abdallah, gdzie Gotfryd de Sergines pomógł mu położyć się do łóżka w jakimś zrujnowanym domku, gdyż nie mógł już dłużej utrzymać się na koniu i był na granicy śmierci. Jeden z jego rycerzy, Gaucher de Châtillon, sam jeden go bronił, pilnując drogi, która przebiegała przez tę wioskę. Jak czytamy u Jana de Joinville: „Gaucher z Châtillon ustawił się tam z mieczem w dłoni. Gdy widział zbliżających się Turków, ruszał na nich i ich przepędzał. Potem wracał, wyjmował liczne strzały ze swej zbroi, stawał w strzemionach i krzyczał: Oto ja, rycerz Châtillon, chodźcie do mnie, moi mili! I kiedy widział, że Turcy nadciągają z drugiej strony drogi, znowu chwytał za miecz i na nowo rozpoczynał pościg". Później, gdy jakiś Turek z szacunku dla tego rycerza odprowadził Frankom jego konia i gdy ujrzano grubą tkaninę, okrywającą zad zwierzęcia, całą we krwi, nikt nie miał wątpliwości, jaki los spotkał Gauchera.

Toż to Roland, można by powiedzieć, albo arcybiskup Turpin czy inny z 12 parów Francji – chodzi o bohaterów słynnej „Pieśni o Rolandzie" („La Chanson de Roland"); albo Wilhelm z Orange, albo jego siostrzan Wiwian – bohaterowie starofrancuskiego, epickiego cyklu

RENÉ GROUSSET
„EPOPEJA KRUCJAT"
ANDEGAVENUM

o Wilhelmie etc. Rycerze krucjatowi żyli poezją, która w nich tętniła z mocą, ponieważ mówimy o czasach, gdy poezja była życiem…

Spoiwo

W tym świetle na uwagę zasługuje książka opublikowana przez wydawnictwo Andegavenum, nie tylko poświęcona epopei krucjat, lecz także napisana językiem epopei. Chodzi o „Epopeję krucjat" autorstwa René Grousset, znamienitego francuskiego historyka, wybitnego znawcę tego tematu, członka Akademii Francuskiej. A jednocześnie człowieka, który nie pomijał aspektu duchowego. Z jego książki wyłania się pewna interesująca prawidłowość. Otóż dopóki bohaterom krucjat przyświecał ideał duchowy, dopóty odnosili zwycięstwa. Jednak kiedy zagościły wśród nich ludzkie namiętności, podszyte zawiścią, nienawiścią, niezdrową rywalizacją, pychą, wówczas epopeja krucjat zakończyła się klęską oraz śmiercią zadaną chrześcijańskiej ludności cywilnej z wyjątkowym okrucieństwem.

Książka opowiada m.in. o mistycznych władcach Królestwa Jerozolimskiego: Gotfrydzie z Bouillon i Królu Trędowatym. Opowiada o zakonach rycerskich zrodzonych przez krucjaty i powstałych w Ziemi Świętej: Templariuszach i szpitalnikach – niemal już od samego początku zapewniali oni Królestwu Jerozolimskiemu permanentną i bardzo skuteczną armię (odpowiednik współczesnych komandosów), której w żadnym razie nie mogło się równać pospolite ruszenie baronów, i wyświadczyli ogromne przysługi sprawie Franków; pojawiają się w niej także znani nam skądinąd Krzyżacy, którzy w Ziemi Świętej mieli świetlane początki. Książka opowiada historię krucjat począwszy od 27 listopada 1095 r., gdy na synodzie w Clermont Urban II wezwał cały świat chrześcijański do chwycenia za broń, a skończywszy na ostatecznym upadku Akki, zdobytej 18 maja 1291 r. przez mameluków. Czyli niemal 200 lat historii cywilizacji chrześcijańskiej, cywilizacji zachodniej, łacińskiej, do której należą także Polska, i przecież także rycerstwo polskie brało w krucjatach aktywny udział. Historia władców, którzy przyjmowali zamorski krzyż, zostawiali swoje królestwa i ruszali w drogę; a jeśli panowały między nimi jakieś spory, to pragnęli, by zostały one rozsądzone pokojowo, nie mieczem. Poznajemy historię przeróżnych ludów, które się jednoczyły i tworzyły jedną armię, ponieważ Europa z entuzjazmem podrywała się na słowa Urbana II czy św. Bernarda z Clairvaux. Ten exodus ludów… A przede wszystkim widzimy Europę, która stawała się jednym organizmem – ale nie stawała się nim jako cesarstwo czy jako federacja, lecz jako chrześcijaństwo, i tego właśnie spoiwa tak bardzo dzisiaj brakuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Zamek Krak de Chevaliers
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/VYACHESLAV ARGENBERG

eprasa.pl ab51039975

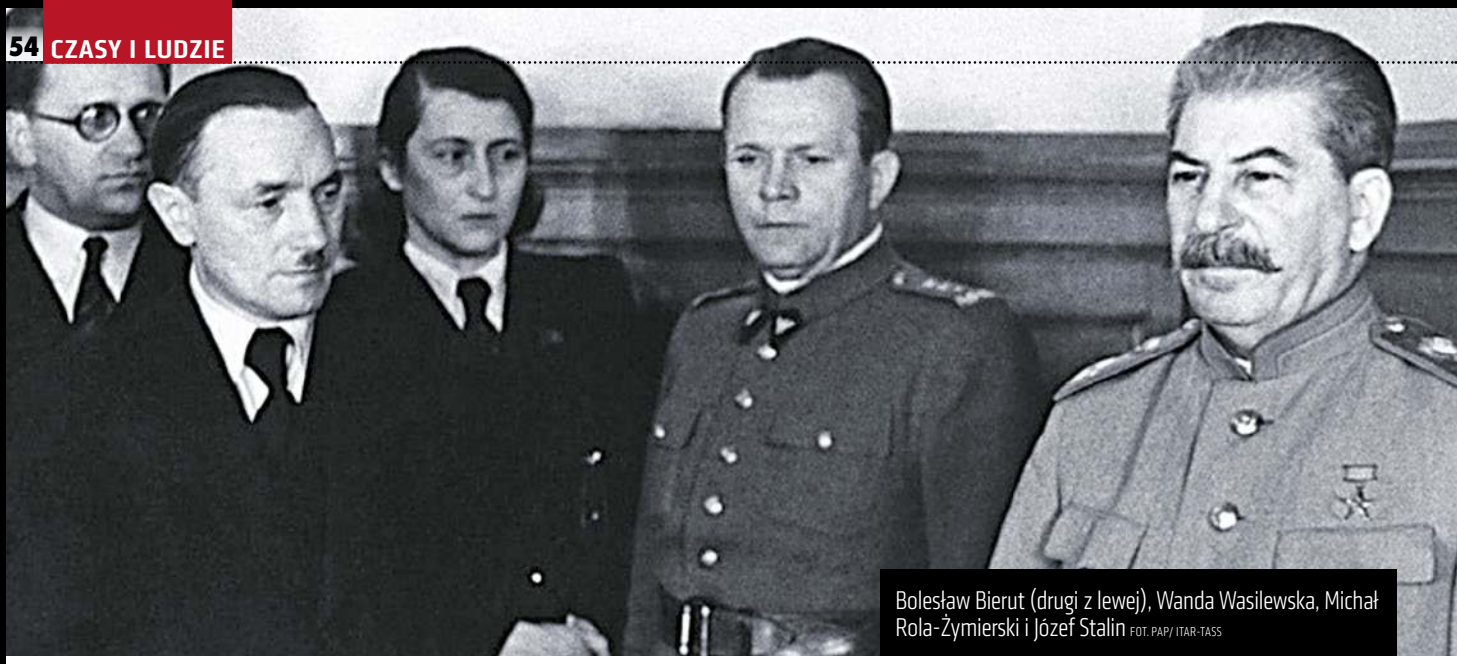

Bolesław Bierut (drugi z lewej), Wanda Wasilewska, Michał Rola-Żymierski i Józef Stalin FOT. PAP/ ITAR-TASS

Wywiad / Z Piotrem Lipińskim, autorem książki „Wasilewska. Czarno-biała"

rozmawia Piotr Włoczyk

Polska Sowietka

– Jej kariera potoczyła się po wrześniu 1939 r. w tempie, które dla wszystkich musiało być wielkim zaskoczeniem, również dla niej samej. Wasilewska musiała czekać na audiencję ze Stalinem jedynie trzy dni, co było bardzo zastanawiające. Nikt inny z Polski nie spotykał się z nim równie często – mówi Piotr Lipiński

PIOTR WŁOCZYK: Możemy raz na zawsze przeciąć te wszystkie spekulacje? Czy Wanda Wasilewska była kochanką Stalina?

PIOTR LIPIŃSKI: Mnóstwo ludzi podejrzewało ją o romans ze Stalinem. W tych plotkach pobrzmiewał stereotyp, że kobieta jest w stanie zrobić karierę tylko przez łóżko odpowiednio ustosunkowanego mężczyzny. Stalin był od niej o ćwierć wieku starszy i wszystko wskazuje na to, że był dla niej kimś w rodzaju mentora, wręcz idola, a nie kochanka.

Ale przecież duża różnica wieku to często jeden z lepszych „argumentów" przy wyborze kochanki...

Oczywiście, tego nie da się zupełnie wykluczyć, ale też nie mamy żadnego konkretnego dowodu. Sama Wasilewska nigdy nie opowiadała o prywatnej stronie Stalina, a przecież nieźle go poznała. Nikt inny z Polski nie spotykał się z nim równie często. W każdym razie na pewno ewentualnemu romansowi nie pomagałaby wielka różnica wzrostu – Wasilewska miała ok. 180 cm wzrostu, czyli ok. 20 cm więcej niż Stalin...

Na podstawie tego, jak wyglądały ich kontakty, wyobrażam sobie, że ich relacja była natury mentorskiej, niepodszyta erotyzmem. Wasilewska miała trzech takich mentorów. Pierwszym był jej ojciec Leon, bardzo ważny polityk w czasach II RP, potem pojawił się Adam Ciołkosz, a w końcu Stalin, który też stworzył legendę sowieckiej Wandy Wasilewskiej.

W każdym razie plotek o ich rzekomym romansie była cała masa.

Tak. I w przecięciu tych spekulacji nie pomogła nawet Ewa, córka Wandy Wasilewskiej, która kiedyś zapytana o naturę relacji jej matki ze Stalinem, powiedziała zastanawiające słowa: „Kto wie, może coś tam było...". Przyznała też, że podsłuchiwała jako nastolatka rozmowy matki z „mężczyzną, który był kimś znacznie więcej niż dyktatorem".

eprasa.pl ab51039975

No to może jednak więcej poszlak przemawia za tym, że faktycznie była jego kochanką?

Nie mamy tu żadnych konkretnych argumentów poza plotkami i spekulacjami. Odpowiedzmy sobie też na pytanie, kto przede wszystkim rozsiewał te plotki? Z jednej strony był to Zygmunt Berling, który szczerze nie znosił Wasilewskiej, a z drugiej strony polscy emigranci na Zachodzie.

Ja się jednak zdecydowanie skłaniam ku tezie, że tego romansu nie było. Ale na pewno Wasilewska miała wiele innych romansów, i to mimo że generalnie była uważana za niezbyt urodziwą kobietę.

Powiedzmy wprost: powszechnie uważano ją za tzw. babochłopa.

Tak. I w zasadzie tylko Józef Cyrankiewicz stwierdził, że była piękną kobietą. Wasilewska miała na swoim koncie sporo romansów, i to potwierdzonych, choćby z Jakubem Bermanem. Musiała mieć w sobie jakiś magnetyzm, który przyciągał mężczyzn.

Plotkom o romansie sprzyjało też zapewne to, że jej kariera u boku Stalina wystrzeliła w nieprawdopodobnym tempie. Świadczy o tym najlepiej jej pierwsza audiencja na Kremlu...

Szczególnie uderzające jest jej pierwsze spotkanie ze Stalinem na tle późniejszej pierwszej rozmowy Gomułki z sowieckim dyktatorem. Audiencja Gomułki trwała kwadrans i odbyła się na stojąco. A to był przecież szef PPR! Tymczasem Wasilewska, działaczka socjalistyczna, a nie komunistyczna, w dodatku bez żadnej funkcji, rozmawiała ze Stalinem na siedząco przez godzinę!

Chyba można wręcz powiedzieć, że kariera komunistyczna została jej w ZSRS podana na tacy?

Tak, jej kariera potoczyła się po wrześniu 1939 r. w tempie, które dla wszystkich musiało być wielkim zaskoczeniem, również dla niej samej. To bolszewicy ją wybrali i wezwali w październiku 1939 r. do Lwowa na spotkanie z lokalnymi władzami. Niedługo potem doszło do pierwszej rozmowy ze Stalinem. Wasilewska musiała czekać na audiencję jedynie trzy dni, co było bardzo zastanawiające.

Jak dobrze Stalin kojarzył to nazwisko?

Jej ojcem był Leon Wasilewski, wybitny polityk socjalistyczny, niepodległościowy, minister po 1918 r. Wasilewski działał w obszarze polityki wschodniej, pisał o tym bardzo dużo, zresztą uczestniczył w rozmowach, których efektem był traktat ryski. Stalin go kojarzył. W czasie pierwszego spotkania z Wandą Wasilewską Stalin powiedział z satysfakcją: „Wasz ojciec był przeciwko nam, a wy jesteście ze mną, oto dialektyka". Stalin na pewno odczuwał dużą satysfakcję, że oto córka jego wroga – ojciec Wandy nienawidził Rosji z całego serca, czy to białej, czy czerwonej – przeszła na stronę komunistów.

Wanda Wasilewska FOT.WIKIPEDIA

Ale Stalin znał też samą Wandę jako ciekawą autorkę. Czytał jej książki, które były przetłumaczone jeszcze przed wojną na rosyjski. Mamy relacje potwierdzające, że podobały mu się jej dzieła. Książki Wasilewskiej przed wojną wychodziły w Związku Sowieckim w nakładzie 50–100 tys. egzemplarzy, więc Wasilewska była tam dość znanym nazwiskiem.

Jeszcze lepiej sprzedawały się jej książki pisane w czasie wojny w ZSRS, jej sowieccy czytelnicy naprawdę byli przejęci lekturą jej powieści na temat wojny. Po tym kątem wybór Wasilewskiej był logiczny. Stalin postawił w przejętym przez siebie Lwowie w znacznej mierze na środowisko polskich, lewicujących pisarzy. Sowiecki dyktator był przecież bardzo przywiązany do swojej tezy o inżynierii dusz. Jak stwierdził jeszcze przed wojną, czołgi z grubymi pancerzami na nic się zdadzą, jeżeli będą nimi kierowali ludzie o strachliwych duszach. Tą inżynierią dusz mieli się zajmować właśnie pisarze.

PIOTR LIPIŃSKI „WASILEWSKA. CZARNO-BIAŁA" CZARNE

Wydawałoby się, że Stalin w kwestii organizowania polskiego żywiołu w Związku Sowieckim i projektowania przyszłej czerwonej Polski powinien postawić na sprawdzonego człowieka – polskiego komunistę.

A tymczasem Stalin wybrał kobietę, i to socjalistkę. Wasilewska zresztą sama mówiła, że początkowo czuła się nie do końca swojo w bolszewickim towarzystwie. Ale właśnie to była jej przewaga – Wasilewska wyglądała korzystnie na tle polskich komunistów, którzy w 1939 r. wciąż byli podejrzani w oczach Stalina. To było przecież zaledwie dwa lata po rozwiązaniu KPP i wymordowaniu czołowych polskich komunistów. Przeżyli tylko ci, którzy siedzieli w więzieniach II RP.

Niezwykle ciekawa jest jej przemiana z „mainstreamowej" socjalistki w komunistkę. Kiedy Wasilewska na dobre pokochała Kraj Rad?

Jeszcze przed wojną podejrzewano ją o kryptokomunizm, choć zasiadała we władzach PPS. Słynna była awantura wokół przygotowanego przez nią numeru pisma „Płomyk" na temat Związku Sowieckiego, który był w zasadzie jedną wielką laurką dla Moskwy.

Wygląda na to, że Wasilewska zakochała się w Sowietach jeszcze w II RP. Przez cały okres przedwojenny Wasilewska przesuwała się powoli od „miękkiego" socjalizmu w stronę komunizmu. W latach 30. nie dopuszczała już do siebie jakiejkolwiek krytyki komunizmu. To zastanawiający mechanizm. Jak taka wrażliwa na wszelką niesprawiedliwość osoba była w stanie wytłumaczyć sobie np. procesy moskiewskie czy ludobójczy głód na sowieckiej Ukrainie? Wszystkie głosy krytyczne wobec Moskwy Wasilewska i jej podobni działacze uważali za bezpodstawne ataki wrogów komunizmu. To jest fascynujący proces psychologiczny. Jednym z moich ulubionych przykładów jest historia Gomułki, który pojechał na szkolenie do Związku Sowieckiego pociągiem nocnym i jako jedyny nie dostał pościeli. Potem się wyjaśniło, że aby dostać pościel, trzeba

eprasa.pl ab51039975

Wanda Wasilewska, Alfred Lampe, Zygmunt Berling w Sielcach nad Oką FOT. PAP

było dać konduktorowi łapówkę. To był dla niego szok. Gomułka nie dał łapówki, bo przyznałby w ten sposób, że w ZSRS wciąż są łapówkarze, czyli nie udało się stworzyć człowieka sowieckiego. Dając łapówkę, zaprzeczyłby wszystkiemu, w co wierzył. Podobnie musiało być z Wasilewską.

Nic nie było w stanie zmienić jej uwielbienia dla sowieckiego komunizmu?

Wygląda na to, że nie. Bardzo interesująca jest dla mnie podróż do Kijowa, którą Wasilewska odbyła w 1940 r. ze swoim drugim mężem Marianem Bogatką. Przywieźli oni z tej podróży skrajnie różne wspomnienia. Wasilewska opowiadała potem na wiecach, jak wspaniałe jest to miasto, jak niesamowicie wyrosło dzięki komunizmowi. Z kolei Bogatko, włócząc się po knajpach z Władysławem Broniewskim, opowiadał mu o nędzy kijowskich robotników, którzy mówili mu, żeby uciekał z ZSRS. A przecież oni odwiedzali wtedy dokładnie to samo miasto!

Być może jednak zaczęła się już wtedy u Wasilewskiej fascynacja Ołeksandrem Kornijczukiem, pisarzem i ważnym politykiem sowieckiej Ukrainy. Kornijczuk był pierwszym sowieckim politykiem, z którym Wasilewska spotkała się we Lwowie po wybuchu wojny. Niewykluczone, że już wtedy w nim się zakochała. To uczucie tylko wzmacniałoby jej fascynację Krajem Rad. Wydaje mi się, że Wasilewska zaczęła widzieć świat w kontrze do swojego dotychczasowego męża. Jeżeli Bogatko widział w ZSRS coś negatywnego, to ona być może automatycznie kierowała myśli w przeciwną stronę.

Ołeksandr Kornijczuk, mąż Wandy Wasilewskiej FOT. WIKIPEDIA

To może jednak Sowieci postanowili go zlikwidować? Bogatko został zastrzelony w niejasnych okolicznościach nocą 25 kwietnia 1940 r. we Lwowie, w domu, w którym mieszkał z Wasilewską.

Nie da się wykluczyć, że Sowieci, widząc w Bogatce krnąbrnego człowieka, który sieje zamęt w otoczeniu Wasilewskiej, nie jest zafascynowany czerwonym systemem, postanowili go zlikwidować. Co ciekawe, śmierć Bogatki jeszcze bardziej utwierdziła Stalina w przekonaniu, że Wasilewska jest mu bezgranicznie oddana. Chruszczow przekazał mu potem, że Wasilewska była niewzruszona, gdy powiedział jej, że zabójstwo Bogatki było pomyłką enkawudzistów. To by potwierdzało tezę, że już wtedy była zakochana w Kornijczuku. Śmierć pierwszego męża, Romana Szymańskiego, bardzo przeżywała, wpadła w kilkumiesięczną depresję, a po śmierci Bogatki nie ma u niej śladu żałoby. Czy to nie jest dziwne?

Na ile Wasilewska była w stanie kształtować spojrzenie Stalina na Polskę? W jakim stopniu była sprawcza, jeżeli chodzi o wpływ na Kreml?

Stalin akceptował właściwie wszystkie jej pomysły. Pytanie, czy ona tak dobrze czuła politykę Kremla, że wysuwała te postulaty, które na danym etapie były pożądane, czy może ktoś jej podsuwał te pomysły? Mam wrażenie, że jej trzeci mąż, Kornijczuk, mocno nią kierował pod względem politycznym.

Charakterystyczne, że Wasilewska w czasie pierwszego spotkania ze Stalinem wymienia trzy sprawy dotyczące Polaków we Lwowie i Stalin zgadza się ze wszystkimi jej koncepcjami. Jednak były to raczej problemy marginalne, takie jak opłaty za studia czy język polski jako wykładowy na tamtejszym uniwersytecie.

Wasilewska razem z Alfredem Lampem zaproponowali, żeby przyjmować polskich komunistów do sowieckiej partii. Stalin przychylił się do tej prośby, ponieważ było to wówczas w interesie ZSRS. Stalin musiał w końcu zacząć „zatrudniać" polskich komunistów, żeby przyszykować kadry na czasy powojenne. Wasilewska wyczuwała, co było w interesie Związku Sowieckiego.

Przedstawiona przez nią propozycja założenia Związku Patriotów Polskich również była odpowiedzią na zapotrzebowanie Kremla?

Ta inicjatywa Wasilewskiej idealnie wpisywała się w nową politykę Stalina, który zaczął stawiać na patriotyzm, mający być narzędziem do prowadzenia sowietyzacji Polski.

Chociaż zapewne samą Wasilewską mierziło takie odwoływanie się do nacjonalizmu...

Możliwe. Gdy Stalin zarządził, że nowo powołana partia komunistyczna w okupowanej Polsce ma nazywać się Polska Partia Robotnicza, wielu przedwojennych działaczy się oburzało. Dla nich ta nazwa była krokiem wstecz i nawiązywaniem do znienawidzonego nacjonalizmu. Moskwa chciała jednak zdobyć poparcie w polskim społeczeństwie i bolszewicy postanowili wykorzystać do tego uczucia patriotyczne i chęć rewanżu na Niemcach. Stalin nie był zaczadzony ideologią komunistyczną. Ewidentnie był pragmatykiem, który potrafił odstawić na bok komunistyczny internacjonalizm, gdy wymagała tego sytuacja.

Wasilewska była zwolenniczką utworzenia 17. republiki?

Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Bardzo wiele osób twierdziło, że tak – zarówno działacze niepodległościowi na Zachodzie, jak i sam Berling. Ale wspo-

eprasa.pl ab51039975

mnieliśmy już, że Berling jej nienawidził, rywalizował z nią o względy Stalina i był w stanie powiedzieć o niej samej najgorsze rzeczy. Dodatkowo stawiał się tu w roli obrońcy polskości.

Wasielewska w żadnym ze swoich tekstów nie napisała, że była zwolenniczką przekształcenia Polski w 17. republikę. I choć nie stawiała tej sprawy publicznie, to niewykluczone, że faktycznie tak sobie w czasie wojny wyobrażała przyszłość Polski. Jeżeli tak było, to nie ma co oczekiwać, że jej współpracownicy przyznaliby to w swoich powojennych wspomnieniach. Taka informacja mocno nadszarpnęłaby wizerunek założycielki Związku Patriotów Polskich.

Jednak patrząc na jej życiorys, nie powinniśmy być chyba zaskoczeni, gdyby się jednak okazało, że Wasilewska chciała, by ZSRS wchłonął Polskę?

Oczywiście, że nie. Wasilewska w sensie mentalnym zamieszkała nawet w tej 17. republice, nie wracając po wojnie do Polski. Z wielu powodów Kraj Rad był dla niej lepszym wyborem. Po pierwsze, nie chciała porzucać ZSRS, swojej wielkiej miłości, gdzie jej mąż robił jeszcze większą karierę niż ona. Gdyby wyjechali do Polski, ich status na pewno by ucierpiał. Po drugie, po wojnie zorientowała się, że nie cieszy się w Polsce wielką popularnością. W Związku Sowieckim wielu Polaków z armii Berlinga czy podopiecznych ZPP widziało w niej zbawicielkę, dzięki której dostali pomoc materialną i mogli wrócić do Polski. Ale większość Polaków czuła do niej głęboką niechęć, bo przecież stała się jednym z symboli stalinizmu.

Wróćmy do jej twórczości literackiej. Jaką była pisarką?

Wasilewska właściwie przez całe życie była na równi działaczką i pisarką. Mam wrażenie, że dla niej działalność polityczna była zawsze ważniejsza, a pisarstwo było tylko narzędziem. Jej dzieła miały zmieniać rzeczywistość. Stąd jej książki nie są szczególnie wyrafinowane literacko. Narracja jest w nich dość prosta, postaci jednowymiarowe – robotnik jest zawsze dobry, ale wykorzystywany, a „burżuj" to zawsze potwór. Wydaje mi się, że jej najbardziej poruszającą książką był „Pokój na poddaszu", opowiadający o tragicznej sytuacji dzieci z robotniczej rodziny. Ta książka chwytała za serce wielu czytelników, a zwłaszcza czytelniczek.

Pomnik nagrobny Wandy Wasilewskiej na cmentarzu Bajkowa w Kijowie
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/KAMELOT

Dla mnie, jako reportera, największym odkryciem są jednak jej reportaże. Uważam, że to najlepsza część jej twórczości. Czytając u niej opis pracy murarzy, widzimy, że znała fachowe słownictwo i wiedziała, o co w tym chodziło. W reportażu ten słuch językowy jest bardzo istotny, bo oddaje język bohaterów. Jej dwóch pierwszych mężów było robotnikami, więc pod tym kątem było jej łatwiej. Jej przedwojenne reportaże są bardzo dobre, ale powojenne to tragedia. Wasielewska wydała dwie książki reporterskie – o Chinach i o Francji. Obie są po prostu żenujące. Dopóki próbowała się zmagać z rzeczywistością, dopóty jej literatura była dobra. Gdy jednak miała chwalić tę rzeczywistość, jak choćby „wyzwolenie" Tybetu przez chińskich komunistów, to wyglądało to już tragicznie.

Nic chyba jednak nie przebije tego, co pisała na temat Katynia...

To bez wątpienia najczarniejszy rozdział jej twórczości. W czasie wojny można było to jeszcze do pewnego stopnia zrozumieć. Wiele osób było w stanie uwierzyć, że Katyń był po prostu kolejną niemiecką zbrodnią. Ale po wojnie, gdy wszyscy już doskonale rozumieli, również działacze komunistyczni, że była to zbrodnia sowiecka, ona nigdy nie przyznała, że stali za tym Niemcy. Niepojęte jest to jej zaślepienie.

Jak Wasilewska przeżyła to, że pod koniec wojny została przez Stalina odepchnięta na bok?

Jej kariera zatrzymuje się w momencie, gdy Stalin coraz mocniej stawia na innych polskich komunistów działających w ZSRS, a potem skupia się na swoich ludziach z PPR w okupowanej Polsce. Wasilewska obraziła się na niego na pewien czas, gdy zrozumiała, że przestała mu być potrzebna i nie miała już szans na większą karierę polityczną.

Tym bardziej że była kobietą, a przecież nawet w „postępowym" systemie komunistycznym kobiety nie miały szans znaleźć się na szczytach władzy.

To prawda, komunizm, mimo że głosił postęp, w tej kwestii był bardzo patriarchalny. Kobiety nie odgrywały wielkiej roli w świecie sowieckiej polityki. Z wielkim zdumieniem odkryłem kiedyś, że w PRL w całej historii biura politycznego na 90 członków były tylko cztery kobiety i wszystkie one pojawiły się dopiero w latach 80.!

Jak Wasilewska odnajdywała się w powojennym Związku Sowieckim?

Do 1953 r. zapewne czuła się jak w domu, była deputowaną do Rady Najwyższej ZSRS, jeździła po świecie i oddawała się pracy pisarskiej. Ale po śmierci Stalina Związek Sowiecki nie był już dla niej tym samym krajem. Myślę, że miała problem, żeby odnaleźć się w nowej, Chruszczowowskiej rzeczywistości. Wasilewska była Sowietką, ale przede wszystkim stalinowską Sowietką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Lipiński
jest reportażystą, autorem wielu tekstów i książek na temat ciemnych kart historii PRL, m.in. „Bicia nie trzeba było ich uczyć. Proces Humera i oficerów śledczych Urzędu Bezpieczeństwa", „Bierut. Kiedy partia była bogiem", „Gomułka. Władzy nie oddamy". W sierpniu ukazała się jego najnowsza książka pt. „Wasilewska. Czarno-biała".

eprasa.pl ab51039975

FOT. NAC

1911–1983 / Hanna Malewska

Arystokratka ducha

eprasa.pl ab51039975

Krzysztof Masłoń

„Malewskiej nie widać, ale to nie znaczy, że jej dzieło nie żyje, nie owocuje. Pamięć bywa wybiórcza, niesprawiedliwa, często nie wiemy, co komu naprawdę zawdzięczamy. Jest jednym z tych olbrzymów, na barkach których stoją dzisiejsze pokolenia" – pisał o niej Wojciech Bonowicz

W ciężkich nie tylko dla literatury, lecz także dla niej czasach powojennych mieliśmy interesujących pisarzy historycznych, w tym kilku wybitnych. Co ciekawe, w większości katolickich, że wymienię Antoniego Gołubiewa z „Bolesławem Chrobrym", Teodora Parnickiego ze „Srebrnymi orłami", a także Władysława Jana Grabskiego, Karola Bunscha, Zofię Kossak, jak również Hannę Malewską, autorkę takich książek jak „Kamienie wołać będą" i „Przemija postać świata". Od śmierci pisarki minęło 40 lat i na pozór odnieść można wrażenie, że i ona, i jej twórczość przynależą do świata, który odszedł w przeszłość, a z niej powrotu już nie ma.

Wojciech Bonowicz pisał jednak: „Malewskiej nie widać, ale to nie znaczy, że jej dzieło nie żyje, nie owocuje. Pamięć bywa wybiórcza, niesprawiedliwa, często nie wiemy, co komu naprawdę zawdzięczamy. Jest jednym z tych olbrzymów, na barkach których stoją dzisiejsze pokolenia. Jako pierwsza wpuściła na łamy »Znaku« autorów, bez znajomości których nadal trudno wyobrazić sobie poważną dyskusję intelektualną. Uformowała cząstkę polskiego Kościoła, ważną cząstkę, skoro wśród osób liczących się z jej zdaniem był Karol Wojtyła. Zostawiła wzór literackiego pisania o przeszłości, który dziś wydaje się nawet bardziej nowoczesny niż kiedyś".

A sprawy wiary? „U mnie? Wszędzie jest Bóg" – wyznawała. I pisała: „Jednym z wielkich życiodajnych paradoksów chrześcijaństwa jest połączenie niezłomności i niezmienności zasad z największym, dostępnym nam po ludzku, wyrozumieniem poszczególnych sytuacji i ludzi". Sama była wcieleniem tego paradoksu.

Krew na bruku

Wtopiona w środowisko „Tygodnika Powszechnego" wydawała się krakowska w każdym calu, co nie do końca było prawdą. Urodziła się przecież 21 czerwca 1911 r. w Jordanowicach, będących dziś częścią Grodziska Mazowieckiego. Gimnazjum ukończyła w Lublinie, tam też studiowała na KUL, zdobywając w 1933 r. magisterium z historii. Właśnie na studiach zaczęła pisać i publikować, za nowelę „Cabrera" otrzymując pierwszą nagrodę w konkursie „Żołnierza Polskiego". Tu należy wspomnieć, że jej ojcem był Bronisław Malewski, lekarz, generał Wojska Polskiego, działacz Narodowej Demokracji, poseł na Sejm Ustawodawczy RP (zginął w wypadku samochodowym w roku 1920); matką była Jadwiga z Ciświckich.

Tak jak debiut zauważona też została pierwsza powieść młodziutkiej Hanny Malewskiej – opowiadająca o Platonie „Wiosna grecka", wyróżniona przez Ministerstwo Wyznań i Oświecenia Publicznego. A w 1936 r. Polska Akademia Literatury nagrodziła następną jej powieść, „Żelazną koronę", której bohaterem był cesarz Karol V Habsburg. I pomyśleć, że autorka miała wtedy zaledwie 25 lat!

Przed wojną zdążyła jeszcze napisać ważną, jak miało się okazać, książkę „Kamienie wołać będą", o budowie katedry w Beauvais, ale wyda ją dopiero w 1946 r. Podobnie na koniec wojny poczekać będzie musiała jej rzecz o Norwidzie – „Żniwo na sierpie".

Sama autorka okupację przeżyła w Warszawie. Należała do Służby Zwycięstwa Polsce, a potem Armii Krajowej, w której w stopniu kapitana kierowała Biurem Szyfrów Zagranicznych w Wydziale Łączności Konspiracyjnej Oddziału V (Dowodzenia i Łączności) Komendy Głównej AK. Za udział w powstaniu warszawskim odznaczona została Krzyżem Walecznych, ale podkreślała, że „takiej krwi nie wolno światu raz jeszcze wytoczyć na bruk, bo zginiemy".

Zaczynamy od początku

Po wojnie definitywnie już zamieszkała Malewska w Krakowie, który już wcześniej poznała, pracując jako nauczycielka w szkołach w Niepołomicach i Krakowie właśnie. Jednak w 1935 r. przeniosła się do Warszawy, gdzie uczyła historii i propedeutyki filozofii w szkołach średnich, m.in. w gimnazjum Krystyny Malczewskiej. Po wojnie powróciła do pracy pedagogicznej i dydaktycznej jako nauczycielka historii w Państwowym Liceum Handlowym w Krakowie. Jednocześnie w tych pierwszych latach powojennych sporo publikowała, związując się z „Tygodnikiem Powszechnym" i redagując (od trzeciego numeru jako redaktor naczelna, wraz ze Stanisławem Stommą) miesięcznik „Znak".

Gdy w 1953 r. władze zlikwidowały „Znak", oddając zarazem „Tygodnik Powszechny" PAX, Hanna Malewska podjęła pracę archiwistki w Bibliotece Kórnickiej PAN, gdzie opracowała inwentarz miscellaneów historycznych XVII w. Efektem tego „zesłania" do Kórnika były wydane w 1959 r. smakowite, rzec można, „Listy staropolskie z epoki Wazów". A pewnie i „Panów Leszczyńskich" nie napisałaby, gdyby nie spoglądający na nią – jak pisała – „portret zawieszony nad szafami starodruków w Bibliotece Kórnickiej. Doskonałości nieznanego pędzla nie zdoła tu zatrzymać patyna ciemniejących z wiekiem werniksów. Pomiędzy lichym Zygmuntem III a kimś, kto zapewne ma być Władysławem IV, napotykamy spojrzenie, od którego robi nam się nieswojo bez względu na to, czy wiemy mało czy wiele o zniszczonym człowieku w czarnej peruce".

Ten człowiek to oczywiście Jan Kazimierz, który w trakcie spowiedzi

eprasa.pl ab51039975

Katedra w Beauvais, opisana w książce „Kamienie wołać będą"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/DILIFF

w Saint-Germain-des-Prés będzie o Polsce, opuszczonej przez niego po abdykacji, mówił: „W tym kraju robi się czasem więcej niż możliwe, potem zaś mniej niż niezbędne. Byłem głupi, powtarzam: jest to kraj, o jakim nie śniło się panu Rasynowi [Jean Baptiste Racine, francuski dramaturg – przyp. red.], a to ja przecież wiedziałem. Jeżeli cokolwiek się tam dzieje, to tylko dobrowolnie. Jednomyślnie także… une absurdite. Widzę, że mnie nie rozumiecie albo nie wierzycie. Jest to wspaniały kraj, który w teorii nie powinien istnieć ani dziesiątka lat. Na stałe spróbowano tam niemożliwości…".

W wielokrotnie od 1954 r. wznawianej powieści „Przemija postać świata" Hanna Malewska, ukazując Rzym w gruzach i triumfujących barbarzyńców, krzepi czytelnika obrazem benedyktyńskich skrybów w Casinum, zabierając się do „Ortografii", napisanej na ich prośbę przez 93-letniego Kasjodora. Cóż, „zaczynamy od początku"…

A że nie było wtedy pewne, co stanie się z chrześcijaństwem? „Gdy walczą i upadają państwa ludzkie – pisała w tej samej książce Malewska – cóż wiemy o Państwie Bożym? Może zakwita ono właśnie wśród pożogi – albo gnije w pomyślności?".

Piękno warte trudu

Tuż po wojnie w „Odrodzeniu" w artykule „Do kogo mówimy" Hanna Malewska – co przypomniała Anna Głąb, autorka „Ostrygi i łaski. Rzeczy o Hannie Malewskiej" – pisała: „Mohikanie będą odchodzić. Zagadnienia stylu Prousta czy poesie pure, czy, powiedzmy, istotnego sensu »Pana Jowialskiego« – bodaj że z nimi zejdą do grobu. Ale nadchodzącym Siuksom trzeba przynajmniej ukazać drogę do Krainy Wielkich Łowów. Ze starym Sokratesem stanąć w Keramejku, czy na A-B i po półgodzinnej rozmowie doprowadzić młodego Glaukona czy Fajdrosa do przeświadczenia, że piękno jest rzeczą trudną, ale wartą trudu; że literatura jest jedna od początku świata, a jeśli krzyczy, co pokolenie, że jest całkiem nowa, to dlatego, ponieważ wszystkim pięknym ptaszkom co wiosna także wydaje się, że kochają i śpiewają, jak nikt jeszcze od początku świata".

Słowa te autorka „Ostrygi i łaski" tak spuentowała: „Mohikanie odchodzą, krytyczny głos współczesnych Sokratesów, akuszerów prawdy, zanika. Ich praca bywa przez społeczeństwa Siuksów deprecjonowana albo i zapomniana, Glaukon wzrusza ramionami, Fajdros nie dowierza. Ale to, co pozostawiają – trwa wiecznie. Pytania, które stawiają, niepokój, który wzbudzają, świadomość, którą pomagają w bólach zrodzić, także u Siuksów są trwalsze niż śmierć".

eprasa.pl ab51039975

Po wznowieniu „Znaku" (kierowała tym pismem w latach 1960–1973) aktywny udział brała też w redagowaniu „Tygodnika Powszechnego", zamieszczając w nim liczne eseje, artykuły i felietony. Redaktorką była skrupulatną, czytała wszystkie teksty nadchodzące do redakcji „Znaku", dbając o ich wysoki poziom. Nie mając właściwie swojego życia osobistego i rodzinnego, poświęcała się wyłącznie pracy i pisaniu, zupełnie nie dbając o sprawy materialne, znajdując za to czas, środki i ochotę na pomoc potrzebującym.

Ale też uważnie śledziła wydarzenia społeczne i polityczne, protestując np. w 1976 r. przeciwko planowanym przez komunistyczne władze zmianom w Konstytucji PRL czy podpisując w tym samym roku apel do Sejmu o powołanie komisji do zbadania przebiegu strajków i metod represji wobec robotników. Jej nazwisko znaleźć też można na liście członków uznawanego za nielegalne Towarzystwa Kursów Naukowych.

Arcybiskup Józef Życiński uważał, że pisarka „tworzyła środowisko, którego istotę można wyrazić określeniem Henryka Elzenberga: arystokracja ducha". Jeśli tak, to duch ten – przynajmniej w kwestiach zasadniczych – mocno trzymał się ziemi.

Dyskrecja i erudycja

W 2011 r. o tym, dlaczego Hanna Malewska nie jest obecna w pamięci społecznej i na półkach księgarskich, dyskutowali na łamach „Tygodnika Powszechnego" Józefa Hennelowa, Władysław Stróżewski i Tomasz Fiałkowski, który tak podsumował twórczość autorki „Panów Leszczyńskich": „Tajemnica książek Malewskiej tkwi dla mnie w tym, że w jej ujęciu historia bywa, owszem, nauczycielką życia, ale w sensie znacznie głębszym niż w powieściach z kluczem, w których sztafaż historyczny stanowi jedynie zasłonę dla rozliczeń ze współczesnością. Historia nie jest dla niej narzędziem, ale środkiem do zrozumienia człowieka. Malewska prowadzi nas od zarania cywilizacji europejskiej (»Labirynt«) po niezbyt wesołą przyszłość (»LLW«, które jest klasyczną antyutopią). Po drodze mamy starożytną Grecję (»Opowieść o siedmiu mędrcach«), republikański Rzym (opowiadanie »Rodzina« z tomu »Stanica«), upadek Cesarstwa (»Przemija postać świata«), średniowiecze katedr (»Kamienie wołać będą«), renesans (»Żelazna korona«), polski wiek XVII (»Panowie Leszczyńscy«, »Listy staropolskie z epoki Wazów«). Na dokładkę genealogia nowoczesnej inteligencji polskiej w »Apokryfie rodzinnym« i biografia Norwida (»Żniwo na sierpie«).

Każda z tych wizji historycznych jest próbą głębokiego wniknięcia w epokę i sposób rozumienia świata przez tamtych ludzi. A jednocześnie autorka myśli o współczesnym czytelniku, pokazując mu rozmaite tradycje, które jej samej są bliskie. Jakże różna jest jej Polska XVII wieku od wizji Sienkiewicza! U autora »Trylogii« króluje działanie, tradycja myślenia ogranicza się do sławetnej książki, którą posiada – jako jedyną! – Zagłoba. Autorzy wybranych przez Malewską »Listów staropolskich z epoki Wazów« czy bohaterowie »Panów Leszczyńskich« to ludzie zupełnie inni: nie kierują się tylko emocjami, czytają, myślą".

Jako epilog „Panów Leszczyńskich" publikowane było w 1956 r. w „Twórczości" opowiadanie „Spowiedź w Saint-Germain-des-Prés", które ostatecznie znalazło miejsce w tomie „Sir Tomasz More odmawia". Stary król Jan Kazimierz, skądinąd opat tytularny jednego z klasztorów benedyktyńskich we Francji, mówi z przekonaniem przypadkowemu zresztą księdzu, niemającemu pojęcia o Polsce i Polakach: „Poddanych, mon abbe, tam w Polsce nie ma: sami królowie". A pytany o wojny, które prowadził, w których śmierć poniosły tysiące ludzi, odpowiadał, że „były nie tylko konieczne, ale bardzo spóźnione. Ta republika prowadzi tylko wojny spóźnione i absolutnie niezbędne. Nie wiecie, zdaje mi się nawet, że byłem królem r z e c z y p o s p o l i t e j? Za to jedno powinien mi być darowany cały czyściec".

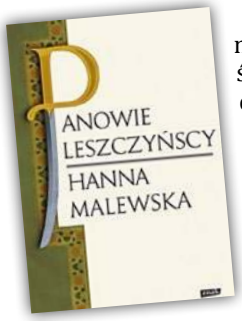

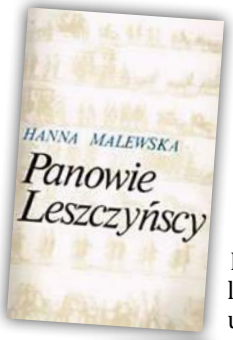

Jana Kazimierza postrzegamy często przez pryzmat sienkiewiczowski, a nasz świetny pisarz niewątpliwie przeceniał tego władcę, wnikliwie i wszechstronnie opisanego przez prof. Andrzeja Nowaka w wydanym dosłownie w tych dniach szóstym tomie jego „Dziejów Polski". Tym większe znaczenie ma udzielona w tej książce rekomendacja znakomitego historyka dla „Panów Leszczyńskich", niesłusznie zapomnianych, jak zresztą cały dorobek literacki Hanny Malewskiej.

Warto wiedzieć, że to pod jej redaktorskim okiem szlifował swoje publicystyczne teksty ks. Józef Tischner. Kisiel w 1960 r. tak ją charakteryzował: „Przystojna, elegancka, bardzo wysoka i bardzo dystyngowana […]. Opanowana, jasna, logiczna […]. Dyskrecja i erudycja, inteligencja i umiar idą tu w parze". Czytała kryminały, lubiła grać w brydża. Paliła papierosy, jednego za drugim. Czy dlatego zachorowała i zmarła na gruźlicę? Niemal do samego końca leczono ją na astmę, na serce, usiłowano złagodzić nękające ją silne migreny. Ale gruźlica, choroba jakby z innej, zamierzchłej epoki? Gdy ktoś wreszcie wpadł na ten pomysł, że to właśnie – jak kiedyś mawiano – suchoty, było już za późno. Hanna Malewska zmarła 27 marca 1983 r. w Krakowie. Pochowano ją na cmentarzu w Tyńcu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ab51039975

January Suchodolski „Obrona Jasnej Góry 1655"
FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Książka miesiąca / „Dzieje Polski", t. 6

Koniec marzeń o potędze

Pewne rzeczy są tak oczywiste i naturalne, że szkoda słów, by je wyjaśniać. Rosja zawsze będzie wroga niepodległej Polsce, czas nie biegnie do tyłu, a każdy nowy tom „Dziejów Polski" musi dostać najważniejsze miejsce w naszym dziale recenzji. Nie chciałbym przez to umniejszyć znaczenia innych książek, które recenzujemy na naszych łamach – wszystkie te pozycje są jak najbardziej godne polecenia i arcyciekawe (inaczej nie angażowalibyśmy uwagi czytelników), ale jednak... „Dzieje Polski" to „Dzieje Polski".

Po lekturze poprzednich tomów śmiało możemy już dziś powiedzieć, że jesteśmy świadkami powstawania legendarnej serii historycznej, która na stałe weszła do kanonu naszej historycznej (książkowej) ekstraklasy.

Połowa XVII w. to w polskiej historii czas potopu i ognia. I tak właśnie brzmi podtytuł szóstego już tomu dzieła życia prof. Andrzeja Nowaka. Opisując lata 1632–1673, profesor prześwietla stan Rzeczypospolitej jako państwa, a także bierze pod lupę jej społeczeństwo. Widzimy, jak państwo, które jeszcze nie tak dawno temu miało widoki na niemal imperialną przyszłość na wschodzie, wytraca siły, aż wreszcie – gdy pojawia się bardzo niekorzystna koniunktura międzynarodowa, a także wewnętrzna – załamuje się niemal kompletnie. Z tego upadku już nigdy się w pełni nie podniesie, choć jeszcze pod koniec XVII w. będzie w stanie dokonać, pod mądrym i silnym przywództwem, wielkich rzeczy. Wszystko to będą jednak chwilowe triumfy, które nie zmienią w sposób zasadniczy niebezpiecznego kierunku, w jakim zmierzała Rzeczpospolita.

Tych kilka dekad w XVII w. zakończyło marzenia o potędze Rzeczypospolitej. Państwo najpierw wykrwawione przez kozacki bunt Chmielnickiego zostało wkrótce zalane potopem. Najpierw moskiewskim, potem szwedzkim i siedmiogrodzkim. Wykrwawiony kraj został w ciągu kilku lat w wielu miejscach po prostu wyludniony. Miejmy przy tym świadomość, że szwedzką nawałę, która spadła wtedy na Rzeczpospolitą, Polacy mogą porównywać – pod względem strat ludnościowych – jedynie z drugą wojną światową. A mimo to Rzeczpospolita próbowała jeszcze po tym knock-oucie wstać. Na powrót do złotego wieku nie pozwoliła już jednak zarówno „zagranica", jak i „ulica", czyli ta część szlachty i magnaterii, której opłacało się żyć w słabym państwie.

W 2014 r., gdy prof. Nowak promował pierwszy tom swojego dzieła, dostaliśmy harmonogram premier kolejnych tomów. Całe dzieje Polski krakowski historyk miał zamknąć w sześciu tomach: 1. Skąd nasz ród (do roku 1202), 2. Królestwo zwycięskiego orła (1202–1492), 3. Rzeczpospolita – wyzwania wolności (1492–1733), 4. Imperia i niepodległość (1733–1864), 5. Walka o II Rzeczpospolitą (1864–1945), 6. Zmęczenie i powstawanie (1945–2019).

Jak widać, planu tego nie udało się zrealizować, bo do opowiedzenia zostało jeszcze 400 lat historii Polski, a już doszliśmy do szóstego tomu. To jednak żadna katastrofa. Można wręcz powiedzieć – całe szczęście, że prof. Nowak odszedł od zapowiedzi i postanowił jeszcze bardziej poszerzyć opowieść o naszych dziejach. Tym lepiej dla czytelników!

Tym razem, przy okazji premiery szóstego tomu, autor znów przedstawia harmonogram publikacji kolejnych tomów, aż do naszych czasów. Czekać ma nas więc jeszcze sześć takich premier. Myślę, że nasi czytelnicy nie obrażą się, jeżeli również w ich imieniu wyrażę tu pewne życzenie: Panie profesorze, trzymamy kciuki, żeby i tym razem nie udało się Panu zrealizować planów! I żeby 12 tomów o dziejach Polski zamieniło się w co najmniej 18. ©℗

Piotr Włoczyk

ANDRZEJ NOWAK
„DZIEJE POLSKI", T. 6, „POTOP I OGIEŃ. 1632–1673"
BIAŁY KRUK

eprasa.pl ab51039975

Amerykański rewanż za Kościuszkę

Kilkunastu pilotów z Ameryki wzięło udział w wojnie Polski z bolszewicką Rosją. To właśnie im poświęcił książkę zmarły pięć lat temu prof. Janusz Cisek. Nie byli najemnikami, lecz kontraktowymi oficerami Wojska Polskiego. Autor wyjaśniał, że nie wysłał ich rząd USA, nie mieli związków rodzinnych z Polską, nie walczyli dla pieniędzy, gdyż nie mogli liczyć na pokaźny żołd..

Motywacją pilotów zza oceanu była chęć spłacenia długu Ameryki wobec Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego, który wzięli udział w amerykańskiej walce o wolność i niepodległość. Dobitnie to stwierdził Merian C. Cooper w liście do Józefa Piłsudskiego. Ale był jeszcze jeden powód. Cooper i Cedric Faunt-le-Roy zdali sobie sprawę, że bolszewicka Rosja może podbić Europę, a potem przyjdzie kolej na USA. Faunt-le-Roy wprost stwierdził, że Polska prowadzi walkę nie tylko dla siebie, lecz także w obronie świata.

Cisek opisuje szlak bojowy amerykańskich pilotów, służących w 7. Eskadrze Myśliwskiej, nazwanej Kościuszkowską. Odegrali ważną rolę w ofensywie na Kijów. Spełniali funkcje łącznikowe, przewozili rozkazy, dokonywali lotów wywiadowczych, atakowali stacje kolejowe i zgrupowania oddziałów Armii Czerwonej. Najcięższe zadanie spadło na Eskadrę Kościuszkowską, a także na III Dywizjon Lotniczy, dowodzony przez Faunt-le- Roya, podczas naporu Konarmii Budionnego na Lwów. Piloci amerykańscy i polscy startując kilka razy dziennie i będąc na skraju wyczerpania, powstrzymali 6. Dywizję Kawalerii. Służący w Konarmii pisarz Izaak Babel zanotował w wojennym dzienniku: „Polacy bronią się głównie za pomocą aeroplanów, stają się groźne, opisać nalot, oddalony i jakby spowolniały stukot karabinów maszynowych, panika w taborach, denerwują, bez przerwy opadają lotem ślizgowym, chowamy się przed nimi [...]. Śmiertelne niebezpieczeństwo".

Dziewięciu pilotów z Ameryki zostało udekorowanych Orderem Virtuti Militari. A godło 7. Eskadry Kościuszkowskiej, zaprojektowane przez Eliota Chessa, przyjął 20 lat później słynny Dywizjon 303. ©℗

Tomasz Stańczyk

JANUSZ CISEK
„PRZECIW BOLSZEWIKOM. AMERYKAŃSCY LOTNICY W OBRONIE POLSKI PRZED SOWIETAMI"
REPLIKA

Napoleońska epopeja

Klasyczne dzieło zmarłego w 2017 r. francuskiego powieściopisarza powraca w nowych szatach. Opowieść o Napoleonie to gratka dla tych, którzy szukają czegoś więcej niż tylko suchych faktów na temat cesarza Francuzów. Gallo po mistrzowsku ożywił Napoleona w zbeletryzowanej biografii, dając czytelnikom poczuć, jak wyglądały boje pod skutym lodem Smoleńskiem, życie prywatne cesarza w pałacowych komnatach czy wreszcie gorycz porażki po Waterloo. Dwa przepastne tomy to 1,4 tys. stron wartkiej akcji, która nie ma prawa się znudzić. ©℗ ***(p.w.)***

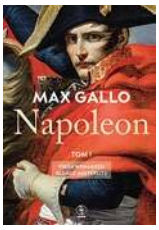

MAX GALLO
„NAPOLEON", T. I I II
REBIS

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL
„TYTANI WOJNY"
FRONDA

POLSCY TYTANI

Lekarze, sportowcy i dziennikarze, którzy w wojennych warunkach odkryli w sobie nieprawdopodobną siłę i hart ducha, by pomagać innym i szkodzić okupantom. W wyjątkowych okolicznościach chwytali za broń, częściej do walki o Polskę korzystając ze swoich licznych talentów. Nazwiska głównych bohaterów tej książki są już dziś niestety nieco zapomniane, a przecież byli to tytani polskiej niepodległości... ©℗ ***(p.w.)***

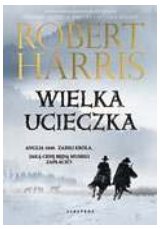

ROBERT HARRIS, TŁUM. JANUSZ OCHAB
„WIELKA UCIECZKA"
ALBATROS

UCIECZKA KRÓLOBÓJCÓW

W 1649 r. angielski parlament skazuje Karola I na śmierć. Jedenaście lat później powraca jego syn, Karol II, co kończy republikańskie rządy i rozpoczyna rozliczanie winnych śmierci króla. Podpisy pod wyrokiem skazującym stają się listą osób, których czekają brutalne egzekucje. Powieść opowiada historię ucieczki dwóch pułkowników, którzy ratunku szukają w Ameryce. ©℗ ***(r.w.)***

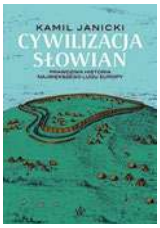

KAMIL JANICKI
„CYWILIZACJA SŁOWIAN"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

SŁOWIAŃSKA POTĘGA

Co się działo na ziemiach polskich przed Mieszkiem I? Skąd się wzięli Słowianie? Jak podbili serce Europy i jak posiedli umiejętność budowy potężnych grodów? Autor opisuje proces, który sprawił, że lud uważany, szczególnie przez swoich zachodnich sąsiadów, za barbarzyński i niezdolny do budowy cywilizacji stworzył największą europejską wspólnotę językową. ©℗ ***(p.w.)***

eprasa.pl ab51039975

Zegar astronomiczny na wrocławskim ratuszu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JACEK HALICKI/CC BY 3.0

Czas cywilizacji

Król Ostrogotów Teodoryk twierdził, że umieszczony przez niego w Weronie zegar jest po to, aby ludzie mogli rozstrzygać, „jak najlepiej wykorzystać każdą chwilę". Nie od razu jednak zapanowało powszechne zrozumienie dla sensu szczegółowego odmierzania każdej części dnia. „Niechaj bogowie przeklną męża, który pierwszy odkrył te godziny, tak, tego, który jako pierwszy zegar słoneczny tu ustawił, który mnie, nieszczęsnemu, dzień na kawałki pogruchotał!" – tymi słowami mieszkańcy Rzymu, 600 lat przed Teodorykiem, złorzeczyli tym, którzy rozmieścili na forach pierwsze zegary słoneczne. Zastanówmy się jednak, jak wyglądałby nasz świat, gdyby nie było w nim zegarów, gdybyśmy nie dzielili czasu na lata, miesiące, doby, godziny? Czy taki świat byłby możliwy?

Pierwszy zegar powstał w XV–XIII w. p.n.e. Wiadomo, że pierwszymi czasomierzami były zegary słoneczne oraz tzw. klepsydry. To właśnie one zrewolucjonizowały życie mieszkańców greckich, rzymskich czy chińskich miast. „Gdy wyciecze klepsydra nocna, bije się w bęben i ludzie wstają. Gdy wyciecze klepsydra dzienna, bije się w dzwon i ludzie udają się na spoczynek" – pisał chiński uczony w II w. Stawiając publiczne zegary, rządzący – zdaniem autora – wprowadzali poczucie ładu społecznego, porządkowali chaotycznie upływające chwile. Zegar był projekcją politycznej siły.

W XIII w., kiedy skonstruowano pierwszy zegar mechaniczny, odmierzanie czasu stało się w końcu bardziej dokładne. Jego stworzenie nie wynikało jednak z chęci lepszego rozplanowania dnia, lecz bardziej z potrzeby „dotknięcia Boga". „[…] zegary mechaniczne dawały obietnicę ruchu precyzyjnego, o stałej prędkości wszechświata i nieprzerwanego. Były wersjami produkcyjnymi doskonałego prototypu Bożego" – pisze Rooney.

Autor w ciekawy i nowatorski sposób ukazuje dzieje ludzkości poprzez historię zegarów i odmierzania czasu. Dzięki temu, że pochodzi z zegarmistrzowskiej rodziny i sam od lat pracuje ze starymi zegarami, ze znawstwem opowiada o najsłynniejszych czasomierzach świata i ich wpływie na lokalne społeczności. ©℗

Anna Szczepańska

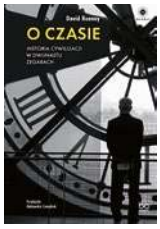

DAVID ROONEY
„O CZASIE. HISTORIA CYWILIZACJI W DWUNASTU ZEGARACH"
BO.WIEM

Stara historia

Wciąż mało mamy książek o polskich fabrykach i technice, dlatego też świetnie się stało, że uznany historyk motoryzacji Robert Przybylski wziął się do opisania historii starachowickiej fabryki ciężarówek, znanych pod nazwą Star. Przez pół wieku stary były wszechobecne na polskich drogach.

Autor nazwał starachowicki zakład kolebką polskiej powojennej motoryzacji, gdyż uruchomiono w nim produkcję pierwszego polskiego samochodu, a starachowicka fabryka była jedyną, która opracowała i produkowała dwie generacje samochodów całkowicie rodzimej produkcji.

Historia Stara trwała 60 lat, od 1948 do 2008 r., a książka napisana została z myślą o tym, by utrwalić pamięć o samochodach i ludziach, którzy ją tworzyli. Jest ona prawdziwym skarbem dla miłośników motoryzacji i techniki. Przybylski opisuje projekty, dane techniczne i wdrażanie do produkcji kolejnych modeli Stara korzystając nie tylko z dokumentów, ale i ze wspomnień pracowników fabryki. Wyraziście rysuje sytuację ekonomiczną, w której przyszło działać starachowickiej fabryce. W gospodarce socjalistycznej borykała się ona z niedoinwestowaniem, miała kłopoty z kooperantami i nie mogła sprostać wygórowanym ambicjom politycznych decydentów. ©℗ ***(t.s.)***

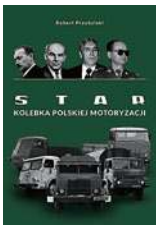

ROBERT PRZYBYLSKI
„STAR. KOLEBKA POLSKIEJ MOTORYZACJI"
AUTO PRESS, EKOMUZEUM

eprasa.pl ab51039975

Miecz sprawiedliwości nad rzeźnikiem Bośni

Radovan Karadžić bardzo wcześnie, bo już jako 15-latek, opuścił swój rodzinny dom (mieszkał w Nikšiciu) i przeniósł się do Sarajewa. Tam skończył medycynę i został cenionym psychiatrą. Upadek komunizmu w krajach wschodniej, środkowej i południowej części Europy stworzył możliwości zaangażowania się w działalność polityczną ludziom do tej pory od niej stroniącym. Karadžić został członkiem powstałej w Bośni Serbskiej Partii Demokratycznej i – o dziwo – już w lipcu 1990 r. został jej przywódcą. Przeprowadzone jesienią wybory w Bośni przyniosły zwycięstwo serbskim, chorwackim i bośniackim partiom nacjonalistycznym. SPD z Karadžiciem na czele stała się w republice głosem części serbskiego społeczności o orientacji nacjonalistycznej. Początkowo jej celem było utrzymanie Bośni w strukturze państwa jugosłowiańskiego. Jednak w reakcji na dążenia Bośniaków i Chorwatów zmierzające do utworzenia niepodległej Bośni zaczęła optować za powołaniem do życia w jej ramach niezależnej serbskiej struktury narodowej, a następnie bośniackiego państwa serbskiego.

Ponieważ te aspiracje były wspierane przez rząd prezydenta Slobodana Miloševicia w Belgradzie, wydawało mu się, że na skutek przewagi militarnej będzie można je bezproblemowo osiągnąć, a nawet poszerzyć granice. Rzeczywistość okazała się jednak nieco bardziej skomplikowana. Międzynarodowa presja na Belgrad zmusiła prezydenta Jugosławii do coraz częstszego wywierania nacisków, nieudanych zresztą, na Karadžicia, aby przyjął proponowane rozwiązania polityczne konfliktu, choćby w postaci planu Vance'a-Owena. Odrzucenie tych propozycji spowodowało, że ich stosunki stawały się z biegiem czasu coraz bardziej chłodne i zdystansowane. Lansowana i wdrażana w życie idea Republiki Serbskiej Bośni wiązała się w oczach Karadžicia z koniecznością etnicznego oczyszczenia jej z ludności nieserbskiej. Zamierzał on ten cel zrealizować dzięki negocjacjom i porozumieniom, ale kiedy okazało się to niemożliwe, nie zawahał się sięgnąć po drastyczne metody w postaci masowych zbrodni wojennych.

Ta brutalna polityka doprowadziła do zwiększenia zainteresowania opinii międzynarodowej sprawą wojny w Bośni, krytyki władz w Pale, wzrostu wsparcia władz bośniacko-chorwackich ze strony mocarstw zachodnich oraz interwencją wojskową sił NATO. Krwawym zwieńczeniem prezydentury Karadžicia był – strategicznie uzasadniony – rozkaz ataku na Srebrenicę. Jednak to, co po nim nastąpiło, a więc rzeź ok. 7 tys. bośniackich mężczyzn, na zawsze powiązało jego nazwisko z tym aktem ludobójstwa.

Dwa tygodnie później Karadžić został oskarżony przez Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii. Rezygnacja w 1996 r. ze wszystkich publicznych funkcji nie uchroniła go przed trafieniem przed oblicze wymiaru sprawiedliwości. Po długich latach ukrywania się 18 lipca 2008 r. Karadžić został aresztowany w Belgradzie, a następnie przewieziony do więzienia Scheveningen w Hadze. W 2016 r. Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii uznał go winnym ludobójstwa, zbrodni przeciwko ludzkości, zbrodni wojennych i skazał na 40 lat pozbawienia wolności. Trzy lata później Izba Odwoławcza trybunału odrzuciła jego wniosek o ułaskawienie i poszła o krok dalej: zamieniła pierwotny wyrok na karę dożywotniego więzienia. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

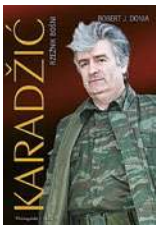

ROBERT J. DONIA
„KARADŽIĆ. RZEŹNIK BOŚNI"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Artyści i ukryte symbole

Wszystkie dzieła sztuki mają przekazywać widzom znacznie więcej niż widać to na pierwszy rzut oka. Od zarania dziejów artyści tworząc swoje prace, chcieli tchnąć w nie ważną dla siebie symbolikę. Choć wiemy, co oznaczają ukazywane na obrazach czaszki, kwiaty lilii lub psy, to nie zawsze symbolika jest tak oczywista. Bo cóż mogą oznaczać jelonek, krwawiący (dosłownie) stół, tajemniczy uśmiech dziewczynki lub zadumana twarz nadwornego błazna?

Niekiedy wystarczy znać wydarzenia historyczne, w których kontekście dane dzieło powstało, aby odpowiedzieć sobie na te pytania. Innym razem trzeba zapoznać się z biografią artysty, a czasem spróbować zrozumieć jego emocje i czas, w którym dzieło tworzył, aby symbolika stała się zrozumiała. Ta książka jest już czwartym tomem z serii autorstwa Joanny Łenyk-Barszcz i Przemysława Barszcza. Napisana przystępnym językiem może być świetną lekturą zarówno dla „zawodowych" miłośników sztuki, jak i dla każdego poszukiwacza nieoczywistych, historycznych faktów. Na uwagę zasługują pojawiające się w książce polskie wątki, w tym nieznana szerzej historia zaginionego obrazu Fridy Kahlo, którego ślad urywa się w Warszawie. ©℗

Anna Szczepańska

JOANNA ŁENYK-BARSZCZ I PRZEMYSŁAW BARSZCZ
„SEKRETY MISTRZÓW. WIELCY TWÓRCY I TAJEMNICE ICH DZIEŁ"
FRONDA

eprasa.pl ab51039975

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Gaza na Grzybowskim

W chwili, gdy piszę ten felieton, świat patrzy ze zgrozą, jak na Bliskim Wschodzie znowu nakręca się spirala nienawiści, zbrodni i terroru. Terroryści z Hamasu w okrutny sposób wymordowali z zaskoczenia ponad tysiąc przypadkowych ofiar tylko za to, że były Żydami. W odpowiedzi Żydzi z Izraela równie bezlitośnie i okrutnie wymordowali ok. 10 tys. Arabów tylko za to, że byli Palestyńczykami i – przeważnie, choć niekoniecznie – muzułmanami. Przypominają się nieodparcie jatki z „Ogniem i mieczem", gdzie za zbrodnie kozactwa wyrzynającego szlacheckie dwory „Jarema" równał z ziemią, wieszał i nabijał na pal całe chutory, aż „wszelka litość zaginęła na tej ziemi".

Rachunki zbrodni wydają się dawać przewagę górującemu technicznie i logistycznie Izraelowi, ale to pozór, bo populacja arabska i – szerzej – muzułmańska (bo także mahometanie z innych grup etnicznych identyfikują się w tej sprawie z Palestyną) jest znacznie liczniejsza i szybciej rośnie. A także zyskuje coraz większy wpływ w krajach zachodnich, na których wsparcie i przymykanie oka oczekuje Izrael. Liderzy Francji, Niemiec czy Anglii wciąż te oczekiwania spełniają, ale na ulicach swoich stolic widzą już zupełnie co innego: tłumy żądające zmiecenia Żydów do morza, a w skrajnych wypadkach skandujące, by posłać ich wszystkich do gazu. Demografia nie pozwala pytać, kto kogo ostatecznie eksterminuje – a jedynie kiedy to nastąpi.

> **Przypominają się nieodparcie jatki z „Ogniem i mieczem", gdzie za zbrodnie kozactwa wyrzynającego szlacheckie dwory „Jarema" równał z ziemią, wieszał i nabijał na pal całe chutory**

Dlatego, choć pomiędzy palestyńskimi dziećmi, kobietami i innymi przypadkowymi cywilami giną także wojownicy Hamasu, liderzy organizacji mają powody do zadowolenia. My, Polacy, wciąż czczący Piłsudskiego czy ukochane przez niego powstanie styczniowe, powinniśmy to dobrze rozumieć. Lider czerwonych, frakcji, która wspomniane powstanie wywołała, Stefan Bobrowski, formułował cel beznadziejnego zrywu zupełnie otwarcie: zmusić Moskali, by wylali z Polaków taką rzekę krwi, aby w niej raz na zawsze utonęły wszelkie pomysły na ugodę z Moskwą. Któryż z liderów Hamasu nie podpisałby się pod tymi słowami, zwłaszcza gdyby im wyjaśnić, że „topiony" w tej krwi margrabia Wielopolski myślał podobnie jak znienawidzeni przez islamskich radykałów ugodowcy z Fatah?

Do dziś sławi się Organizację Bojową PPS za „akcję" na warszawskim placu Grzybowskim, kiedy to bojowcy Piłsudskiego ze środka tłumu, wychodzącego z kościoła po patriotycznej mszy, zaczęli strzelać do Kozaków, po czym bohatersko wycofali się na z góry upatrzone pozycje, gdy Kozacy w odwecie masakrowali tłum, zabijając i raniąc kilkadziesiąt przypadkowych osób, a ponad setkę wysyłając na Sybir. A potem cieszyli się w „Robotniku", że „po raz pierwszy od czasów Powstania Warszawa widziała Moskali uciekających w przerażeniu" (no tak, w pierwszej chwili rzeczywiście uciekali – co umożliwiło bohaterom z OB PPS odwrót), a nie podpisany autor redakcyjnego wstępniaka, prawie na pewno sam Piłsudski, rozprawiał się z moralnymi wątpliwościami: w walce o niepodległość ofiary muszą być i jeśli giną przypadkowi ludzie, to trudno. Przyznajmy, że nie dodał przynajmniej, jak liderzy islamistów, że te ofiary trafiają przecież prosto do raju, więc właściwie powinny być wdzięczne bojownikom, którzy im to załatwili.

Nie lubimy myśleć w taki sposób o naszych „bohaterach walk o wyzwolenie narodowe i społeczne", wiem. Ale prawda jest prawdą, niestety. ©℗

eprasa.pl ab51039975

Piotr Semka

/ Felieton

Mało argentyński papież Argentyńczyk

Krótko po tym, jak w marcu 2013 r. nowym sternikiem Nawy Piotrowej został papież Franciszek, otrzymałem ciekawą ofertę. Jedno z wydawnictw zwróciło się do mnie z propozycją napisania książki, w której przedstawiłbym postać nowego papieża wraz z tłem historyczno-kulturowym Argentyny. Wydawca (pozwólcie, że przemilczę już jego imię) był przekonany, że aby zrozumieć nowego Ojca Świętego, trzeba choć pobieżnie poznać kulturę argentyńską i historię tego narodu. Uniesiony ambitnym wyzwaniem ruszyłem do warszawskich antykwariatów, wykupując wszystko, co znalazłem na temat dziejów Argentyny, historii Kościoła na terenie Ameryki Południowej i wreszcie znanych pisarzy argentyńskich. Pamiętałem, jak bardzo zasłużył się Jan Paweł II dla spopularyzowania w świecie dramatycznych polskich dziejów i naszej tysiącletniej kultury. Naczytałem się wszystkich tych zakupionych publikacji, by w końcu usłyszeć od wydawcy, że rezygnuje on z pomysłu. Okazało się, że na rynku ukazały się znacznie tańsze w druku gotowe już tłumaczenia paru wywiadów rzek z kard. Jorge Bergoglio. A ja zostałem ze stosem książek jak Himilsbach z angielskim.

W kolejnych latach odkrywałem, że Franciszek na temat Argentyny i jej kultury nie ma prawie nic do powiedzenia. Tak jakby jego ziemska ojczyzna zupełnie go nie interesowała. Papieskie pielgrzymki, a było ich już sporo, konsekwentnie omijają ojczyznę Jorge Bergoglio. Pierwsza jego wizyta zagraniczna w lipcu 2013 r. wiodła do Brazylii, ale nie zahaczała o pobliską Argentynę. W lipcu 2015 r. pontifex odwiedził Ekwador, Boliwię i Paragwaj, ale znów na Buenos Aires nie starczyło czasu. Wreszcie w styczniu 2018 r. na trasie papieskiej znalazły się Chile i Peru, ale już nie kraina znad La Platy.

Dlaczego ten kraj omijany jest przez papieża, nikt nie potrafi powiedzieć z całą pewnością. Jedna z teorii głosi, że papieża bardzo zabolało, iż pewna część lewicy argentyńskiej zarzucała mu (i niekiedy wciąż zarzuca) zbyt bliskie kontakty z juntą wojskową, która w krwawy sposób rządziła krajem w latach 1976–1983. W tamtych czasach doszło do porwania dwóch jezuitów, których przełożonym był Jorge Bergoglio. Byli oni brutalnie torturowani. Jeden z nich zasugerował, że ich porwanie mogło mieć jakiś związek z donosem późniejszego papieża, ale potem wycofał się z tych oskarżeń. Czy to jednak powód, aby omijać ojczyznę? Co ciekawe, papież w 2016 r. w Rzymie ogłosił świętym Józefa Gabriela Brochero – jednego z argentyńskich tercjarzy dominikańskich, który działał wśród trędowatych w Argentynie – ale nie rozwodził się specjalnie nad jego argentyńskim pochodzeniem. Niektórzy mieli nadzieję, że papież do odwiedzenia ojczyzny wykorzysta uroczystość beatyfikacji dwóch kolejnych argentyńskich jezuitów – męczenników ks. Pedro Ortiza de Zárate i o. Giovanniego Antoniego Solinasa. Nic podobnego się jednak nie stało.

Papież pozostawił beatyfikację duchowieństwu argentyńskiemu. Tak naprawdę spośród tematów związanych z Argentyną wypowiedział się ostatnio jedynie na temat odwiecznego argentyńskiego sporu o to, kto jest lepszym piłkarzem: Diego Maradona, Lionel Messi czy... Pelé. I tutaj papież rozczarował, grając na nosie rodakom. O Maradonie mówił: „Przyjechał, mnie odwiedził w Rzymie w pierwszym roku mojego pontyfikatu, a później nastąpił koniec. Jako piłkarz był wielki, ale jako człowiek poniósł porażkę. Biedak pośliznął się na umizgach tych, którzy go wychwalali, a gdy potrzebował pomocy, nie dostał jej". W kwestii Messiego papież wskazał: „Owszem, jest nienaganny, to dżentelmen. Ale dla mnie z całej tej trójki największy jest Pelé. Człowiek o wielkim sercu. Było w nim wielkie człowieczeństwo".

Wychwalanie Brazylijczyka przy jednoczesnym zepchnięciu dwóch argentyńskich piłkarskich idoli na dalszy plan? Zrozumieć ten afront może tylko ktoś, kto wie, jaką antypatią obdarzają się wzajemnie mieszkańcy Brazylii i Argentyny. Jak się okazuje, Ojciec Święty także na tym polu postanowił swoim rodakom utrzeć nosa. Skąd ten dystans? ©℗

eprasa.pl ab51039975

Internowani żołnierze w obozie w Wiłkomierzu i miejscowi Polacy

FOT. ZE ZBIORÓW RYSZARDA MACKIEWICZA

1939–1940 / Internowani polscy żołnierze i uchodźcy cywilni na Litwie

Wiele współczucia, trochę szyderstwa

Tomasz Stańczyk

Odruchy serca Litwinów wobec tragedii, która spotkała Polaków we wrześniu 1939 r., przeważały nad reakcjami wynikającymi z antypolskiej propagandy

eprasa.pl ab51039975

Wagon z internowanymi żołnierzami w drodze na Wschód, po aneksji Litwy przez ZSRS FOT. ZE ZBIORÓW RYSZARDA MACKIEWICZA

18 września 1939 r. pierwsi żołnierze polscy przekroczyli granicę Litwy, w końcu tego miesiąca było ich ok. 13 tys., w tym 2,5 tys. oficerów. „Nad samą granicą, na oczach żołnierzy litewskich, na skrawku Polski, nastąpiła ostatnia defilada zgrupowanych tutaj oddziałów polskich, a następnie rozegra się ostatni akt tragedii wrześniowej złożenia przez żołnierzy broni. Jedni ze skamieniałą twarzą, inni złorzecząc, inni znów, nie ukrywając płaczu przekraczali granicę, składali broń" (P. Łossowski, „Po tej i tamtej stronie Niemna. Stosunki polsko-litewskie 1893–1939").

Niektórzy żołnierze nie chcieli oddać broni, wycofywali się znad granicy, decydowali się zostać w kraju. Zdarzały się samobójstwa oficerów. „W tym przygnębiająco ochotniczym przekraczaniu granicy nie brak było i tragicznych epizodów – wspominał Stanisław Jankowski. – Wkrótce po nas przyjechał jakiś kawalerzysta. Zsiadł z konia, podciągnął strzemiona, popuścił popręgi. Pogłaskał konia po szyi. Po czym palnął mu w łeb. A potem sobie (S. Jankowski „Agaton", „Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie").

Mieszane uczucia Litwinów

Jeden z polskich żołnierzy tak opisywał zetknięcie się z Litwinami: „Gdyśmy przechodzili miasteczkiem, mieszkańcy częstowali nas jabłkami i papierosami […] – wspominał Wacław Zyndram-Kościałkowski. – Potem ten odpoczynek w Wiłkomierzu. Panie litewskie, nauczycielki zapewne, gdyż skierowano nas do budynku szkolnego, nieprzestające krajać grubych kawałków chleba, smarować ich masłem i wraz z kubkiem mleka czy herbaty podawać żołnierzom. Prosto, bez pozy, jakby to było ich codzienne zajęcie. Przyglądamy się im – skupione, poważne, nieskore do rozmowy i widać, że wszystko to robią nie dlatego, że nas,

A=3.

INTERNUOTOJO ŽINIŲ LAPAS №013394

1. Pavardė Adamek
2. Vardas Józef
3. Tėvo vardas Michał
4. Laipsnis major
5. Pareigos lekarz weterynaryjny
6. Gimimo data arba amžius 1889
7. Tautybė polska
8. Tikyba rzym.-kat.
9. Kariuomenės dalis ir dalinys O. K. C. III.
10. Nuolatinė gyvenamoji vieta Lietuvoje: miestas Kowalski gen. Lynwinskas 1/46
11. Artimiausio giminės Lietuvoje: pavardė Adamek vardas Anna
adresas Pavel vielka ad Żyrec Mat gelbka
12. Kokius turi dokumentus
13. Kiekis pažymėjimai
14. Ar turi teisę grįžti Lietuvos gimimo ar pilietybės, jei taip, tai kur? Nuo čia jis adresu siųsti iki laipo punkto

Adamek Józef

Karta internowanego mjr. Józefa Adamka FOT. IPN

Polaków, specjalnie lubią, o nie. One to robią, bo jesteśmy nieszczęśliwymi ludźmi, którym nagle zabrakło nie tylko Ojczyzny, ale i kawałka chleba. I dlatego to wszystko ma jeszcze większą wartość (W. Zyndram-Kościałkowski, „Litwo, Ojczyzno moja…", „Kultura" 1949, nr 3/20).

Bywało też inaczej, niewielki polski oddział, któremu wyznaczono trasę do obozu internowania w Połądze – nie dodając eskorty – podczas postoju w Poniewieżu, został wrogo przyjęty przez litewską ludność. „Byliśmy przedstawicielami obcej i w dodatku pobitej armii. Otaczali nas, gestykulując i wykrzykując – wspominał Stanisław Jankowski. – Wygrażali nam pięściami. Ktoś rzucił kamieniem w nasz samochód". Sytuację uratował dowódca oddziału szaulisów, ale jego przemowa do wrogo nastawionych rodaków nie podziałała, uspokoili się dopiero wtedy, gdy szaulisi wzięli do rąk karabiny: „Kamieniem nikt więcej nie rzucił, ale nienawistne okrzyki wtórowały nam, gdyśmy pod eskortą przejeżdżali przez wrogi szpaler".

Wieloletnia antypolska propaganda zrobiła swoje. Nie brakowało wszakże i innych reakcji – satysfakcji z klęski i poniżenia Polski, w której nauczono się widzieć wroga, zaborcę Wilna, pobrzmiewały też echa niedawnego ultimatum do Litwy. Dobitnie wyraził to gen. Vladas Nagevičius, gdy publiczne stwierdził: „Dumni, zarozumiali i beztroscy Polacy niedawno chcieli nam, Litwinom, zabrać Kowno, wołając na ulicach Warszawy do marszałka Śmigłego »Wodzu, prowadź nas na Kowno!«, a teraz ci sami Polacy płaczliwie żebrzą o kawałek chleba, buty i dach nad głową, tu na Litwie jako uchodźcy".

Jednak prasa rządowa wzywała do niedemonstrowania nieprzyjaznych uczuć wobec uchodźców, podkreślając, że nie z własnej winy znaleźli się w trudnej sytuacji (P. Łossowski, dz. cyt.).

Wyrwać się na Zachód

Internowani polscy żołnierze umieszczeni zostali w kilku obozach. Jeden z nich znajdował się w majątku Jana Przeździeckiego w Rakiszkach, największy zlokalizowany był w nadmorskiej Połądze, gdzie przebywało 4 tys. żołnierzy. Rakiszki sąsiadowały z Kowaliszkami Komorowskich, którzy dożywiali polskich żołnierzy. „Co jakiś czas z Kowaliszek szedł wóz z kartoflami, kapustą czy owocami" (A. z Komorowskich Dowgiałło, „Tropem pamięci").

Wacław Zyndram-Kościałkowski wydostał się z obozu w Połądze dzięki interwencji mieszkającego na Litwie Kazimierza Narutowicza, syna Stanisława Narutowicza i bratanka prezydenta Gabriela Narutowicza.

Internowani polscy żołnierze nie zamierzali tkwić nie wiadomo jak długo w litewskich obozach. Chcieli przedostać się na Zachód, do armii polskiej formowanej we Francji. Litwini, nawet gdyby chcieli im to ułatwić – pozbyliby się wtedy kłopotu z zakwaterowaniem

eprasa.pl ab51039975

i internowanych – nie mogli, ponieważ byli pod silną presją Niemiec i Związku Sowieckiego. Nie zamierzali narażać się potężnym sąsiadom. Pułkownik Leon Mitkiewicz, attaché wojskowy w Kownie, miał nadzieję, że „pojedynczo i małymi grupkami można spróbować. Koszt na jednego żołnierza wyniesie 50 dolarów. Licząc po dwie grupy w jednym tygodniu, może zdążę wyciągnąć stąd do 200 żołnierza". Mitkiewicz widział, że może liczyć na pomoc Polaków zamieszkałych na Litwie, a także harcerzy i ziemian. Jednak, jak zauważał, bez cichej zgody wojskowych władz litewskich, taka akcja byłaby niemożliwa.

Dworem, który organizował ucieczki z obozu w Rakiszkach i ukrywał żołnierzy do czasu ich wyekspediowania za granicę, były Kowaliszki. Zajmowali się tym Juliusz Komorowski z żoną Magdaleną oraz jego brat Hektor.

„Jechała więc grafini, sama powożąc – opowiadała córka Magdaleny Komorowskiej – z koszem smakołyków dla komendanta i produktami dla kuchni obozowej. Pora była ważna, bo wjeżdżała do obozu przed zmianą warty, w pojedynkę, a wyjeżdżała już przy innym wartowniku, ze »stangretem« lub »parobkiem« do pomocy" (A. z Komorowskich Dowgiałło, dz. cyt.).

Władze litewskie nie zezwalały na wyjazd z kraju uchodźcom mężczyznom. Udawało im się niekiedy opuścić Litwę, dzięki znajomościom. Litewski pułkownik Bulika, który towarzyszył przejściu kilku polskich żołnierzy przez granicę, skierował ich do szefa Oddziału II. „Dał nam swoje służbowe auto i tajniaka do towarzystwa, byśmy pojechali wprost na »Szańce« [tak nazywano komisję wydającą zaświadczenia – przyp. red.] po odpowiednie zaświadczenie dla całej ósemki – relacjonował Stanisław Jankowski. – Na »Szańcach« sprawdzili telefonicznie, czy to nie jakiś kawał, bo nigdy nie dostali ze sztabu takich poleceń. Prawdopodobnie ocenili nas jako litewskich agentów jadących z misją na zachód".

Wielu litewskich wojskowych sprzyjało Polakom, gdyż lepiej niż politycy orientowali się w ciężkim położeniu Litwy po przyjęciu sowieckiego dyktatu, którym była umowa z Sowietami, i przewidywali, że wrzesień 1939 r. to dopiero początek europejskiej wojny. W czerwcu

Aleksander Prystor, były marszałek Senatu, uchodźca na Litwie FOT. WIKIPEDIA

1940 r., gdy Armia Czerwona wkraczała na Litwę, oficerowie litewscy stwierdzili, że przebywający dotąd w więzieniu w kowieńskim forcie VI ppłk. Jerzy Dąmbrowski (Dąbrowski), słynny zagończyk z czasów wojny z bolszewicką Rosją, nie może wpaść w ręce NKWD. Ustalili oni z komendantem więzienia, że Dąmbrowski zostanie wypuszczony. Joanna Koreywo-Mackiewiczowa, polska działaczka na Litwie, została poinformowana o tym przez bardzo życzliwą Polakom panią Staniotiené, z którą pracowała w Komórce Polskiej LCK.

„Ppłk Jerzy Dąbrowski nie zmienił decyzji pozostania, o czym powiedział mi w niezbyt uprzejmy, a gwałtowny sposób – relacjonowała Joanna Mackiewiczowa. – Był zmęczony warunkami obozu, zdenerwowany zmianami na Litwie. Ze smutkiem i niepokojem zostawiłam go, w drodze powrotnej rozmyślając o litewskim pułkowniku, który podał rękę polskiemu koledze" (J. Mackiewiczowa, „Polacy na Litwie w latach II wojny światowej").

Niestety, odmową opuszczenia więzienia przypieczętował swój tragiczny los. Wywieziony z Kowna zmarł lub został zamordowany w sowieckim więzieniu w Mińsku.

Piłsudskie i Mackiewiczowie

„Tragedia Polski doszła i do nas, do Kowna – notował 19 września 1939 r. pułkownik Mitkiewicz. – Wystraszeni, złamani, bez żadnych środków do życia, bo z masą polskich pieniędzy tutaj nic niewartych, bez cieplejszej odzieży, tylko w letnich ubraniach".

Wśród uciekinierów była Aleksandra Piłsudska z córkami, która po jednym dniu pobytu w Kownie wyjechała na Łotwę, a stamtąd przez Szwecję do Wielkiej Brytanii. Uchodźcą był także były premier i marszałek Senatu Aleksander Prystor, jeden z najbliższych zaufanych ludzi Marszałka. Już wówczas, jesienią 1939 r., wielu ludzi przewidywało, że los Litwy jest przesądzony i będzie ona zajęta przez Związek Sowiecki. Prystorowi proponowano, by korzystał z okazji i wyjechał z Kowna na Zachód. Odmówił jednak. „Odpowiedział, że raczej wróci do kraju, niż by miał się udać jako pielgrzym na tułaczkę" (J. Godlewski, „Na przełomie epok"). Los Prystora był tragiczny, po zlikwidowaniu przez Sowiety niepodległości Litwy został aresztowany przez NKWD i zmarł w więzieniu w 1941 r.

Do Kowna przyjechali także bracia Stanisław i Józef Mackiewiczowie. „Gdyśmy rozbici, pobici opuszczali w tym koszmarnym wrześniu 1939 r. Wilno i przyjechali na Litwę – wspominał Stanisław Cat-Mackiewicz – Litwini przyjęli nas nie tylko gościnnie, przyjęli nas całym sercem, delikatnie, troskliwie, uprzejmie, rozumiejąc nasz wstyd i upokorzenie, taktownie […]. To tak, jak u sąsiada, z którym się jest w niezgodzie, dom się spali i małe dzieci pogorzelca we własny dom się przyjmie" (S. Mackiewicz, „Historja Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.").

A jego brat stwierdzał, że zarówno władze litewskie, jak i ludność odnosiły się do Polaków uchodzących przed Sowietami z „rycerską kurtuazją". „Cat" i Józef Mackiewicz mogli liczyć w Kownie na pomoc i opiekę prominentnego polityka, byłego ministra spraw zagranicznych Stasysa Lozoraitisa, który był z nimi blisko spowinowacony, jak również rodziny Matulaititsów, w której dwóch mężczyzn ożeniło się z Mackiewiczównami.

„Cat" wkrótce wyjechał na Zachód, ale Józef Mackiewicz pozostał na Litwie i opublikował w piśmie „Lietuvas Rytas" artykuł „My, Wilnianie...", który zbulwersował Polaków – zarówno bezkompromisową krytyką polskich rządów, jak i stwierdzeniem, że ludność Wilna będzie z radością witać wojsko litewskie, gdy będzie wkraczać do miasta przekazanego przez Związek Sowiecki. Niechybnie wilnianie odczuli ulgę po bolszewickich

eprasa.pl ab51039975

rządach, jednak dla polskich wilnian rozpoczynała się kolejna, tym razem litewska okupacja. Józefowi Mackiewiczowi chodziło jednak o coś głębszego, gdy pisał o owym powitaniu. Miał nadzieję, że Polaków i Litwinów połączy wspólny antykomunistyczny front, nie mógł jednak tego otwarcie napisać, gdyż – jak wspominał – „cenzura skreślała każdy nieżyczliwy dla bolszewików ustęp" (G. Eberhardt, „Pisarz dla dorosłych. Opowieść o Józefie Mackiewiczu").

Niektórzy Polacy decydowali się pozostać na Litwie, korzystając także z pomocy i gościny miejscowych rodaków, inni wybierali się natomiast w dalszą podróż na Zachód. Nie było to jednak łatwe. Trzeba było mieć sporo pieniędzy na wizę i opłacenie kosztów podróży, a przecież o wizy nie było łatwo. Trzeba było ich mieć kilka, by przez kraje tranzytowe – Łotwę, Szwecję i inne państwa – dotrzeć do Francji lub Wielkiej Brytanii. „Otrzymanie każdej wizy trwało tygodnie – wspominał Józef Godlewski. – Ileż to ja dni w mróz, śnieg wystałem w ogonkach przy konsulatach po wizy łotewską, szwedzką, duńską, holenderską belgijską".

Uchodźcy zostali otoczeni opieką przez rodaków mieszkających na Litwie, pomagały polskie organizacje, na czele z towarzystwem Pochodnia, a koordynatorem tej pomocy był jej prezes, Czesław Mackiewicz. Organizowano stołówki oraz noclegi w siedzibach polskich instytucji, ale najwięcej tułaczy znalazło miejsce w polskich domach. W akcję pomocową włączyły się dwory. Władysław Komar z Bejsagoły przywiózł dla uchodźców kilka garniturów, płaszczy, pieniądze i kosz żywności. Cywilne ubrania były szczególnie niezbędne dla uciekinierów z obozów internowania. Dwory przyjmowały uchodźców, a z inicjatywą zorganizowania w polskich majątkach internatów dla nich wystąpiła Zofia Grużewska z majątku Kielmy.

W czerwcu 1940 r. Armia Czerwona wkroczyła na Litwę, pozbawiając ją niepodległości. Polscy żołnierze i oficerowie, którzy do tego czasu byli internowani, trafili do sowieckich obozów. Na szczęście nie był im pisany los rozstrzelanych – ofiar zbrodni katyńskiej, dokonanej ledwie dwa miesiące wcześniej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Rusofob ekstremista

Tomasz Stańczyk

Niedawno prokuratura reżimu białoruskiego zainteresowała się niepokornym poetą, Wincentym Dunin-Marcinkiewiczem. Nie byłoby w tym nic dziwnego, wszak bierze ona na celownik niepokornych białoruskich twórców, gdyby nie fakt, że Dunin-Marcinkiewicz zmarł 139 lat temu. Osądzić go za ekstremizm, wsadzić do więzienia nie można. Ale przecież można zakazać rozpowszechniania jego ekstremistycznej twórczości. Chodzi tu o dwa wiersze: „Pływające wiatry" i „Rozmowa starego dziadka". W tym drugim – cytuję za belsat.eu – poeta pisał:

Ej, skażecie dobry ludzi
Szto heta na świecie budzie
Czy Boh nie zmiłujetsa nad nami
I dość pohinuć pad Moskalami.

Wiersz ten powstał w okresie powstania styczniowego i wyrażał, rzecz jasna, antyrosyjskie nastroje. I to właśnie jest ten „ekstremizm" dawno zmarłego poety, tak groźny dla reżimu Łukaszenki. Uznał on, że nie można dopuścić do rozpowszechniania antyrosyjskich treści.

Kim był, objęty dziś zakazem druku antyrosyjskich wierszy, Wincenty Dunin-Marcinkiewicz?

Urodził się w 1808 r. w rodzinie szlacheckiej mieszkającej w folwarku Paniuszkiewicze nad Berezyną, posiadał majątek Mała Lucyna na Mińszczyźnie. Był poetą i dramaturgiem polsko-białoruskim, jednym z pionierów i klasyków literatury białoruskiej, lecz pisał także w języku polskim. Był niewątpliwie człowiekiem dwóch kultur, polskiej i białoruskiej, ale jednak interesował się głównie ludem białoruskim. Dla Białorusinów podjął się przetłumaczenia „Pana Tadeusza", jednak władze rosyjskie nie dopuściły do opublikowania przekładu. Ukazał się on dopiero po śmierci poety. Dunin-Marcinkiewicz napisał libretta do czterech oper Stanisława Moniuszki, w tym do „Sielanki". Jej tekst jest częściowo polski, a częściowo białoruski. W 1855 r. wydał książkę pt. „Hapon: powieść białoruska z prawdziwego zdarzenia, w języku białoruskiego ludu napisana". Dwa lata później wydał „Dudarza Białoruskiego", dedykując go „zacnym Białorusinom".

FOT. WIKIPEDIA

Za antyrosyjskie wiersze pisane w czasach powstania styczniowego był na kilka miesięcy pozbawiony wolności. Nie tylko jednak za nie, lecz także za artykuły w piśmie „Muzyka Prawda", redagowanym przez Konstantego Kalinowskiego, bohatera Białorusi, powstańczego dowódcę, straconego przez Rosjan. Dunin-Marcinkiewicz zmarł w 1884 r. w swoim majątku, a półtora wieku później znalazł się na indeksie białoruskiego reżimu jako XIX-wieczny „rusofob".

Są tacy w Polsce, którzy węszą w naszym kraju "rusofobię". Być może więc, wzorem Łukaszenki, skierują do prokuratury wniosek o zakaz druku tak "rusofobicznych" dzieł jak „Dziady" Mickiewicza, „Kordian" Słowackiego (próba zamachu na cara!). Wszystko to w imię tak wyczekiwanego przez tych „realistów" resetu z Rosją. Rzecz jasna ci krytycy „rusofobii" nie powinni zapomnieć, aby i w Polsce nie drukowano wierszy Dunin-Marcinkiewicza z czasów powstania styczniowego. ©℗

eprasa.pl ab51039975

Generał Ion Antonescu w rozmowie z marszałkiem Erichem von Mansteinem, 1943 r. FOT. NAC

XX w. / Walki o Besarabię i Bukowinę

Pyrrusowe zwycięstwo Rumunów

eprasa.pl ab51039975

Arkadiusz Karbowiak

Chociaż Rumunia osiągnęła swoje cele, to gen. Antonescu nie zamierzał wycofywać się z wojny. Przyjął niemiecką propozycję kontroli terenów leżących pomiędzy Dniestrem a Bohem, co oznaczało dla jego armii ogromne trudności

Objęcie stanowiska premiera przez gen. Iona Antonescu spowodowało zmianę kursu rumuńskiej polityki zagranicznej. Upadek Francji (dotychczasowego sojusznika Królestwa Rumunii na kontynencie), straty terytorialne poniesione w wyniku drugiego arbitrażu wiedeńskiego oraz sowieckiej aneksji Besarabii i Północnej Bukowiny wpłynęły na wybór przez Bukareszt opcji proniemieckiej. Nie był to bynajmniej wybór ideowy, lecz zaakceptowanie nowych realiów geopolitycznych i – co za tym idzie – uznanie faktu hegemoni III Rzeszy w Europie.

Efektem nowej optyki było wstąpienie Rumunii do Paktu Trzech. W wymiarze polityki wewnętrznej, po kilkumiesięcznej koegzystencji Żelaznej Gwardii i armii, doszło do próby przejęcia władzy przez żelaznogwardzistów, co zakończyło się krwawym stłumieniem puczu. Po tym zdarzeniu i udzieleniu przez Berlin poparcia rządowi Antonescu relacje niemiecko-rumuńskie zaczęły się systematycznie zacieśniać. Dla Berlina szykującego się do wojny z ZSRS rumuński sojusznik, pomimo swej militarnej słabości, przedstawiał jednak wartość, którą kanclerz III Rzeszy chciał wykorzystać. Na jego prośbę 12 czerwca 1941 r. do Monachium przybył premier Antonescu, który podczas spotkania z Hitlerem omawiał kwestię udziału Rumunii w konflikcie z Sowietami.

Antonescu zadeklarował uczestnictwo swego kraju w tym przedsięwzięciu, mając nadzieję na odzyskanie utraconych w lipcu 1940 r. obszarów. Hitler, niejako w dowód uznania, zaproponował generałowi objęcie dowództwa nad mieszaną niemiecko-rumuńską Grupą Armii noszącą później nazwę GA „Antonescu". 22 czerwca 1941 r. rozpoczęła się operacja „Barbarossa".

Na wschód!

Zadaniem GA „Antonescu", w skład której wchodziły dwie armie rumuńskie i jedna niemiecka, była osłona natarcia południowego skrzydła Grupy Armii Południe i związanie walką oddziałów Armii Czerwonej podczas natarcia północnego skrzydła GA „Południe". Działania te miały mieć początkowo defensywny charakter. Dopiero w wyniku sukcesów sił niemieckich na głównym kierunku natarcia GA „Antonescu" miała przystąpić do ofensywy. Siły rumuńskie liczyły ponad 325 tys. żołnierzy. Wojska lądowe wspierało ponadto 205 samolotów bombowych, obserwacyjnych i myśliwskich. Eskadry ARR (Aeronautica Regală Română) od pierwszego dnia wojny prowadziły ataki na sowieckie lotnictwo.

Zasadniczym celem armii rumuńskiej było wyzwolenie anektowanych przez ZSRS w 1940 r. ziem północnej Bukowiny i Besarabii. Plan wojny z Sowietami przewidywał trwanie Rumunów na pozycjach wyjściowych w oczekiwaniu na rozkaz do ataku. Ta koncepcja nie oznaczała jednak, że na granicy rumuńsko-sowieckiej nic się nie działo. Po 22 czerwca 1941 r. żołnierze rumuńscy wyprawiali się na sowiecką stronę, prowadząc działania rozpoznawcze. Te „wizyty" kończyły się większymi i mniejszymi starciami. Przykładem jest zdobycie bunkrów na wzgórzu Bobeica, na północ od miasta Dorohoi. Akcję przeprowadził 3. szwadron kawalerii dowodzony przez por. Paula Popescu, który zresztą w tym ataku poległ. Inną walkę stoczył 6. Pułk Gwardii, który przekroczył Prut i uchwycił dwa przyczółki mostowe w Fălciu i Bogdănești. Sowieci nie zamierzali takiego stanu rzeczy tolerować. 5. Dywizja Kawalerii podjęła w odpowiedzi wiele zaciekłych kontrataków, chcąc zlikwidować przyczółek. Rumuni odpierali ich m.in. w starciach na bagnety, w czym wyróżniła się szczególnie 9. kompania. Owocem tych działań, prowadzonych do końca czerwca 1941 r., były niemałe straty w wysokości ok. 1,5 tys. zabitych, rannych i zaginionych żołnierzy.

Z chwilą wybuchu wojny celami nalotów sowieckich bombowców stały się rumuńskie miasta. Bombardowano m.in. Konstancę. 23 czerwca 1941 r. por. Hoira Agarici w pobliżu właśnie tej miejscowości zestrzelił pierwsze trzy sowieckie bombowce.

2 lipca 1941 r. rozpoczęła się operacja „München". Przeciwnikiem wojsk niemiecko-rumuńskich były oddziały 9. i 12. Armii wzmocnione później 18. Armią.

Generał Antonescu tuż przed rozpoczęciem ofensywy wydał odezwę do żołnierzy: „Sforsujcie Prut! Pokonajcie wroga na wschodzie i północnym wschodzie! Wyzwólcie spod czerwonego jarzma bolszewizmu naszych prześladowanych braci! Przywróćcie krajowi prastare ziemie Besarabii i lasy hospodarów Bukowiny, pola i połoniny nasze!".

2 lipca 1941 r. do walki weszła jedyna rumuńska dywizja pancerna mająca na swym wyposażeniu m.in. czeskie i francuskie czołgi R-2 i R-35. Tego samego dnia 1. pułk pancerny płk. Emiliana Ionescu musiał interweniować na zachód od Brătușeni, przychodząc z odsieczą znajdującym się pod ogniem sowieckich czołgów żołnierzom niemieckim. Rumuńscy czołgiści po raz pierwszy

Znaczek pocztowy „Święta wojna przeciwko bolszewizmowi" FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl ab51039975

mieli okazję zetknąć się z sowiecką bronią pancerną i nie było to raczej przyjemne spotkanie, ponieważ rumuńskie działa 37 mm nie były w stanie uczynić zbyt dużej szkody bolszewickim T-34.

Niemniej, pomimo zaciekłej sowieckiej obrony, Korpus Górski gen. Gheorghe Avramescu, po uprzednim przekroczeniu rzeki Seret, posuwał się w kierunku stolicy Bukowiny, Czerniowiec. 5 lipca 1941 r. w godzinach popołudniowych miasto zostało wyzwolone przez siły rumuńskie. 16 lipca Rumuni wkroczyli natomiast do Kiszyniowa (stolicy Besarabii). Po kilku godzinach walk ppor. Stefan Marinescu zawiesił nad cerkwią Świętej Trójcy rumuńską flagę narodową. Dziesięć dni później Sowieci wycofali się za Dniestr.

Trwająca 24 dni kampania wyzwoleńcza kosztowała Rumunów ponad 5 tys. zabitych, 15 tys. rannych i 4,5 tys. zaginionych. Pomimo strat odzyskanie anektowanych przez ZSRS terenów wywołało w Rumunii powszechną radość.

Po zakończeniu wyzwoleńczej kampanii pojawiło się jednak pytanie, czy Rumuni będą kontynuować walkę u boku Niemców. 27 lipca 1941 r. Hitler wystosował do Antonescu list, w którym pisał: „Winszuję panu z całego serca tego wielkiego sukcesu, który mnie osobiście sprawił wielką radość i satysfakcję. Odzyskanie Besarabii będzie najbardziej naturalną nagrodą za wysiłki – Pańskie i Pańskich dzielnych wojsk". Dalej wódz III Rzeszy pytał Conducătora (tytuł stosowany przez Antonescu) o kwestię dalszego uczestnictwa Rumunów w operacjach wojskowych, sugerując możliwość przejęcia nadzoru nad obszarem położonym na południowy zachód od Bohu. Cztery dni później, w odpowiedzi na list Führera, późniejszy marszałek Rumunii zadeklarował: „Służę nie tylko narodowi rumuńskiemu i rumuńskiej ludności nad Dniestrem, lecz także nakazowi niesienia cywilizacji oraz potrzebie świadomej walki o kreowanie nowego losu Europy. Postanowiłem dokończyć akcję, którą rozpocząłem na wschodzie przeciwko wielkiemu wrogowi cywilizacji, Europy i mojego kraju: rosyjskiemu bolszewizmowi".

Generał Antonescu nie zamierzał się więc wycofywać z wojny. Z jego aprobatą spotkała się ponadto niemiecka propozycja kontroli terenów leżących pomiędzy Dniestrem a Bohem – w ten sposób powstała rumuńska strefa okupacyjna nazwana Transnistrią. 30 lipca 1941 r. szef Niemieckiej Misji Wojskowej w Rumunii, gen. Artur Hauffe, i szef rumuńskiego sztabu generalnego, gen. Nicolae Tătăranu, podpisali porozumienie regulujące relacje pomiędzy Niemcami a Rumunami na wspomnianym obszarze. Zgodnie z jego zapisami takie dziedziny jak transport kolejowy i łączność zostały wyłączone z rumuńskiej jurysdykcji. Do dyspozycji Niemców miały być oddane także urządzenia portowe w Odessie. Rumuni natomiast odpowiadać mieli za bezpieczeństwo, gospodarkę i administrację.

Odeskie piekło

Udekorowany 6 sierpnia 1941 r. w Berdyczowie przez Hitlera Krzyżem Kawalerskim gen. Antonescu (od 21 sierpnia marszałek) uznał wkrótce za konieczne samodzielne zdobycie przez armię królewską dużego miasta portowego, którym była Odessa. 8 sierpnia 1941 r. sztab generalny wydał w tej sprawie stosowną dyrektywę, a do realizacji zadania wyznaczono 4. Armię. Jak się okazało, nie było to zadanie proste, ponieważ miasto było silnie ufortyfikowane. Pierwsza linia obrony o długości 80 km była oddalona od miasta o 25–30 km. Druga znajdowała się 6–8 km od miasta i miała 30 km długości, a trzecia usytuowana była wewnątrz Odessy. Sowieci zgromadzili do obrony cztery dywizje wspierane przez lotnictwo oraz marynarkę wojenną. Liczba obrońców walczących na pierwszej linii wynosiła 34 tys. żołnierzy i marynarzy. W sumie było ich 86 tys.

Rumuni mieli słabą wiedzę o możliwościach przeciwnika lub go zlekceważyli, wierząc, że miasto uda się zająć z marszu. Część wojsk (III KA) ruszyła frontalnie w kierunku Odessy, a część (V KA) wykonywała manewr okrążający od północy, jednak dopiero nadejście posiłków (korpusy IV, VI, XI) pozwoliło, za cenę dużych strat, zajmować powoli kolejne miejscowości i przełamać linie obronne wroga.

W dniach 11–12 sierpnia 2. Dywizja Piechoty i 7. Dywizja Piechoty wdały się w ciężkie walki o stację kolejową Karpowa. 13 sierpnia gen. Antonescu, kierujący bezpośrednio całą operacją, wstrzymał ofensywę, chcąc ustabilizować zachodnie skrzydło atakujących sił. Pięć dni później poddziały 11. Dywizji zaatakowały Karpową. Piechurów wsparły czołgi z 1. Dywizji Pancernej. Brak umiejętności współdziałania różnych rodzajów sił zbrojnych spowodował, że obrońcy wyeliminowali z walki aż 32 rumuńskie czołgi. Widząc trudne położenie Rumunów atakujących Odessę, w odpowiedzi na złożoną prośbę, Niemcy przekazali im wsparcie w postaci pułku piechoty, dwóch dywizjonów artylerii oraz pułku saperów pod dowództwem gen. René von Courbiera. Niemcy nie zgodzili się jednak na udzielenie wsparcia z powietrza.

Żołnierze rumuńscy w Konstancy, w drodze na front wschodni

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BUNDESARCHIV

eprasa.pl ab51039975

Wysokie straty w oddziałach szturmujących oraz ich wyczerpanie uzmysłowiły dowódcy 4. Armii konieczność przegrupowania sił. Generał Nicolae Ciupercă wystosował w tej sprawie raport, będący swoistym résumé, z dotychczas przeprowadzonych działań. Antonescu uznał jednak, że dokument ten, a szczególnie zawarte w nim wnioski, ma zbyt defetystyczny charakter i 9 września odwołał Ciupercă z funkcji dowódcy armii, nominując na jego miejsce gen. Josefa Iacobici.

Kilka dni później Rumuni ruszyli do szturmu po raz kolejny. Tym razem atak był wspierany przez artylerię. 23 września Sowieci wysadzili na tyłach rumuńskich wojsk desant 3. Pułku Piechoty Morskiej. Jednocześnie 157. Dywizja Strzelecka zaatakowała oddziały rumuńskie, które uległy panice i zaczęły w popłochu opuszczać pozycje. Sytuację opanowała interwencja Luftwaffe, która intensywnymi bombardowaniami zatrzymała kontratak Sowietów.

Tymczasem 1 października 1941 r. sowiecka Stawka Najwyższego Naczelnego Dowództwa, w związku z sukcesami niemieckiej 11. Armii, która wdarła się na Krym, podjęła decyzję o opuszczeniu Odessy. Siły Armii Czerwonej zostały ewakuowane, a 16 października rumuńscy czołgiści tzw. grupy Eftimiu dotarli do nadbrzeży opuszczonego przez Sowietów miasta. Poniesione w czasie walk straty były zatrważające. Prawie 18 tys. żołnierzy zostało zabitych, 11,5 tys. uznano za zaginionych, a 63 tys. było rannych. Straty te stanowiły prawie 27 proc. ogółu sił rumuńskich zaangażowanych na froncie. Jeszcze większe ubytki (50 proc.) dotknęły kadrę oficerską, szczególnie niższego szczebla. Utracono też poważną ilość sprzętu. W 1. Dywizji Pancernej ze stanu zdjęto ponad 80 czołgów. Pododdziały 4. Armii i niektóre pododdziały 3. Armii zostały wycofane do Rumunii. Podległe tej ostatniej Korpus Górski i Korpus Kawalerii wzięły udział w rozpoczętych jesienią 1941 r. walkach na Krymie.

To odeskie pyrrusowe zwycięstwo u wielu generałów i polityków wywołało refleksję nad sensem dalszego udziału Rumunii w wojnie z ZSRS. Egzemplifikacją tego stanowiska była wypowiedź króla Rumunii Michała I, który stwierdził: „Odessa była prawdopodobnie

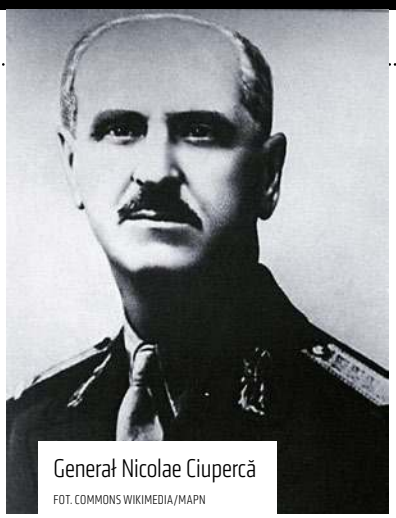

Generał Nicolae Ciupercă

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MAPN

ważnym punktem strategicznym na mapie wojennej, ale nie na naszej mapie, tylko na niemieckiej". Generał Gheorghe Mihail stawiał w swym pamiętniku pytanie: „Czego nasze oddziały szukają w Odessie?", a gen. Iosif Iacobici, jako szef sztabu generalnego, próbował przekonać premiera, choć bez skutku, do wycofania wojsk na linię dawnej granicy sowiecko-rumuńskiej. Krytycznie w sprawie angażowania się w konflikt (po odzyskaniu północnej Bukowiny i Besarabii) wypowiadali się także liderzy partii opozycyjnych. 23 sierpnia 1941 r. Iliu Maniu, lider partii narodowo-chłopskiej, napisał list do Antonescu, w którym wyrażał sprzeciw wobec udziału w dalszych działaniach wojennych przeciwko Moskwie.

Rumuńskie zbrodnie

Pod koniec października 1941 r. doszło do wydarzeń, które spowodowały, że Odessa stała się symbolem niezwykłego rumuńskiego okrucieństwa. Wpisywało się to w szerszy kontekst polityczny związany z zaangażowaniem Rumunii w proceder masowej eksterminacji Żydów na terytoriach okupowanych.

22 października 1941 r. w kwaterze rumuńskiej 10. Dywizji Piechoty sprawującej kontrolę nad Odessą wybuchła bomba, zabijając 61 żołnierzy rumuńskich i niemieckich oraz dziewięciu cywilów. Jedną z ofiar był wojskowy komendant miasta, gen. Ioan Glogojeanu. Okazało się, że budynek, który przed wojną był siedzibą NKWD, został zaminowany. Z rozkazu marsz. Antonescu rozpoczęto krwawy odwet. Za każdego zabitego w wyniku wybuchu bomby oficera miało zostać straconych 200 komunistów, a za każdego zabitego żołnierza – 100. Ponadto wszyscy komuniści mieszkający w Odessie mieli zostać wzięci jako zakładnicy. Podobnie mieli zostać potraktowani Żydzi – zabierano po jednej osobie z każdej rodziny żydowskiej.

23 października rozpoczęto egzekucje. W ciągu dwóch dni stracono 417 Żydów i komunistów. Owa liczba znalazła się w notatce zastępcy komendanta miasta, gen. Constantina Triestroreanu, który zameldował Conducătorowi o wykonaniu polecenia (w literaturze pojawia się też liczba 5 tys. ofiar represji). Nie był to koniec zemsty, ponieważ część żydowskiej społeczności została przez Rumunów wygnana za miasto. We wsi Dalnik umieszczono ich w czterech magazynach, które ostrzelano z broni maszynowej i podpalono. Z raportu niemieckiego oficera Abwehry, płk. Ericha Rodlera, wynika, że w masakrze zginęło 19 tys. Żydów.

Te egzekucje nie były przypadkowym zdarzeniem. Wpisywały się one w brutalną politykę rumuńską wobec Żydów. Terytorium Transnistrii przeznaczono do przesiedlenia ludności żydowskiej z obszarów Bukowiny i Besarabii (zabito tam ok. 45 tys. Żydów). W Transnistrii Żydzi rumuńscy i sowieccy umierali masowo w gettach, obozach lub byli mordowani przez odziały rumuńskiej armii oraz Niemców z różnych formacji, tj. Einsatzgruppen D i Wehrmacht. W wyniku tych działań śmierć poniosło łącznie ok. 260 tys. Żydów (liczba ta obejmuje także osoby z północnej Bukowiny i Besarabii). Dopiero w roku 1942 r. polityka ta uległa zmianie. Wówczas Antonescu wyraził zgodę, aby ocalałych z pogromów Żydów (ok. 13 tys.) repatriować do Rumunii. Dla Żydów mieszkających w tzw. starej Rumunii los okazał się łaskawszy, gdyż nie zaznali oni tak dramatycznych prześladowań jak ich rodacy z terenów „wyzwolonych" w 1941 r. Na obszarach tzw. starej Rumunii wojnę przeżyło ok. 290 tys. Żydów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA LITERATURA:

Axworthy M., ***„Third Axis, Fourth Ally: Romanian Armed Forces in the European War, 1941–1945"***; *Deletant S.*, ***„Rumunia zapomniany sojusznik Hitlera"***; *Harward G.T.*, ***„Holy War: The Romanian Army, Motivation, and the Holocaust, 1941–1944"***; *Solonari V.*, ***„A Satellite Empire. Romanian rule Southwestern Ukraine 1941–1944"***.

eprasa.pl ab51039975

Rodyjscy procarze

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Chociaż łuk należał do podstawowych broni miotających w okresie starożytnym, to bardzo dużą popularnością cieszyły się też proce. Niektóre ludy wyspecjalizowały się w jej użyciu

W okresie klasycznym i hellenistycznym na niemal wszystkich obszarach wokół Morza Śródziemnego kwitła grecka kultura militarna. Wszędzie adaptowano grecką broń oraz taktykę walki falangi. Mimo dominacji ciężkozbrojnych piechurów wielką renomą cieszyli się także lekkozbrojni procarze z Rodos, najmowani do rozmaitych armii. Proca była z pozoru bronią bardzo prymitywną, niemniej jednak wymagała od użytkownika dużego wyczucia i wprawy, możliwych do osiągnięcia tylko w wyniku wieloletniego treningu.

Procarze wywodzili się z ludów pasterskich, ich broń była przede wszystkim narzędziem pozwalającym chronić cenne stada przed drapieżnymi zwierzętami. Procę sporządzano z dwóch rzemieni (np. ze skręconego końskiego włosia), do których przymocowywano kawałek skóry albo sznurową siatkę uformowaną w płytką miseczkę/siodełko. Miotacz chwytał wolne końce w ten sposób, że jeden z nich mocno osadzał w garści, np. za pomocą pętli zakładanej na środkowy palec, drugi natomiast zaciskał między kciukiem i palcem wskazującym, tak aby móc szybko go uwolnić. W miseczkę wkładano pocisk, następnie całość wprowadzano kolistym ruchem ręki w szybkie obroty (najczęściej jeden, dwa) i puszczając w odpowiednim momencie jeden z końców sznurka, wyrzucano pocisk w pożądanym kierunku. Technika rzutu była skomplikowana, ponieważ kręcąc procą w płaszczyźnie poziomej, nad głową, trzeba było uważać, aby uniknąć odchyleń na boki. Z kolei obracając broń w pozycji pionowej (a więc z boku), należało precyzyjnie wymierzyć, by pocisk nie poleciał za nisko lub za wysoko. Do niebagatelnych zalet procy należały niewielka waga i ogólnodostępna amunicja, ponieważ miotać można było zwykłe kamienie, chociaż preferowano otoczaki, o najlepszych właściwościach aerodynamicznych.

Bez wątpienia jednak najdoskonalszą amunicję produkowano: były to wrzecionowate pociski ołowiane (na zdjęciu), które pozwalały na rzut precyzyjniejszy i o wiele dalszy. Ciekawostką jest to, że metalowe pociski zawierały niekiedy krótkie inskrypcje, takie jak np. „weź to!", co porównać można z malowaniem sloganów na pociskach artyleryjskich czy bombach lotniczych w XX w. Zasięg skuteczny pozostaje wciąż tematem debaty, jednak współczesna archeologia eksperymentalna dowodzi, że mógł on wynosić nawet kilkaset metrów. Atutem procy była jej użyteczność nawet w czasie deszczu, czego się nie da powiedzieć o łuku. Z czasem rodyjskich procarzy przyćmili sławą mieszkańcy Balearów, powszechnie wykorzystywani w armiach kartagińskiej i rzymskiej. Używali oni prawdopodobnie aż trzech proc różniących się długością sznurów/rzemieni, w zależności od wymaganego zasięgu rzutu. ©℗

PzKpfw I Ausf. F

Pod względem różnorodności sprzętu pancernego używanego w latach 1939–1945 armia niemiecka okazała się bezkonkurencyjna. Seryjnie produkowane pojazdy okazywały się na ogół przydatne, cechując się dobrymi parametrami taktyczno-technicznymi. Zdarzyło się jednak kilka kuriozów, a wśród nich Panzerkampfwagen I Ausf. F. Był on kolejną (ostatnią) wersją rozwojową lekkiego czołgu – właściwie tankietki – dominującego w niemieckich oddziałach pancernych w początkowej fazie blitzkriegu. Już kampania w Polsce wykazała jego niskie walory bojowe, a zwłaszcza zbyt słaby pancerz i symboliczne uzbrojenie w postaci dwóch karabinów maszynowych. Wersja F zachowała takie samo uzbrojenie ofensywne, ale pancerz uległ znacznemu wzmocnieniu. W najbardziej newralgicznych miejscach zastosowano 80-milimetrowe płyty zamiast 13-milimetrowych. Udoskonalono układ jezdny, pojazd otrzymał też znacznie mocniejszy silnik (benzynowy Maybach o mocy 150 KM). Załoga była dwuosobowa. Ten „mały Tygrys", jak go często nazywają, zaprojektowano do wsparcia piechoty, jednak iluzoryczne uzbrojenie w postaci dwóch kaemów sprawiło, że okazał się niemal zupełnie nieprzydatny. Z 30 wyprodukowanych w 1942 r. PzKpfw I Ausf. F część wzięła udział w działaniach przeciwpartyzanckich. Na zdjęciu: unikatowy egzemplarz zachowany w belgradzkim Muzeum Wojska. ©℗

eprasa.pl ab51039975

Zamek kapiszonowy

Zamek zwany niekiedy pistonowym lub uderzeniowym był ostatnim zastosowanym w odprzodowej broni palnej. Jego powstanie związane było z wynalezieniem kapiszonu, czyli miedzianego pojemniczka wypełnionego mieszaniną związku chemicznego – piorunianu rtęci – który wybucha pod wpływem bodźców mechanicznych. Pioruniany i ich właściwości znane były od dawna, ale dopiero na początku XIX w. zdołano wykorzystać je w pełni efektywnie. Szkot Aleksander Forsyth opracował skuteczną metodę inicjowania wystrzału za pomocą piorunianu (tzw. zamek flakonowy), a Anglik Joshua Shaw zamknął ów piorunian w miedzianej miseczce, czyli kapiszonie.

Szybko opracowano praktyczny sposób jego użycia. Otóż w miejscu, gdzie w zamkach skałkowych znajdowała się panewka, wstawiono tzw. piston z wkręcanym kominkiem, na który nakładano kapiszon. Po uderzeniu kurka następowała detonacja piorunianu, a ścieżka ognia poprzez kanał dostawała się do komory z prochem, inicjując wystrzał. Młotek kurka posiadał wgłębienie, w które w momencie uderzenia wchodził kapiszon; dzięki temu nie dochodziło do rozprysku iskier. Ładowanie broni było identyczne jak wcześniej: najpierw wsypywano w lufę proch, potem wkładano kulę, przybitkę i wszystko ubijano stemplem. Pewność strzału była prawie stuprocentowa; piorunian zapewniał dużą energię, a proch w komorze spalał się szybciej i równomierniej. ©℗

Rewolwer Rast & Gasser

Rewolwer M1898 systemu Rast & Gasser kal. 8 mm jest bronią podwójnego działania (tzn. z mechanizmem samonapinania). Bęben mieści osiem nabojów 8 x 27 R Gasser. Kurek jest przerzutowy, a iglicę osadzono w szkielecie. Szkielet jest jednoczęściowy zamknięty, a bęben niewychylny. Rewolwer wyposażono w sprężynowy wyrzutnik prętowy i pokrywę bębna typu Abadie. Lewą ściankę szkieletu umocowano zawiasowo, co umożliwia wygodny dostęp do wewnętrznych mechanizmów. Przyrządy celownicze są stałe, złożone z muszki i szczerbinki. Okładki chwytu wykonano z drewna nacinanego w romby. U spodu chwytu znajduje się stalowe koluszko do rzemienia. Długość broni wynosi 22,5 cm. Rewolwery M1898 były przepisową bronią armii austro-węgierskiej przed pierwszą wojną światową i w czasie niej. Szacuje się, że wyprodukowano w sumie 180 tys. sztuk, w tym ok. 140 tys. dla c.k. armii. Oceniano je jako bardzo udane, celne i niezawodne. Używano ich także w Legionach Polskich i Wojsku Polskim po 1918 r. ©℗

eprasa.pl ab51039975

Paliwo postępu / Żelazkiem i pyrlikiem

Milowy krok węglowy

FOT. ADOBESTOCK

Tymoteusz Pawłowski

To chyba najważniejszy dla życia pierwiastek. Węgiel w postaci diamentu jest najlepszym przyjacielem dziewczyny, a węgiel kamienny przez dwa stulecia decydował o rozwoju świata

Trzysta pięćdziesiąt milionów lat temu płazy wychodziły na ląd, na którym królowały olbrzymie stawonogi: niektóre wielkoraki dorastały do dwóch metrów wielkości, a skrzydła ważek mogły mieć pół metra rozpiętości. Flora zaś składała się przede wszystkim z widłaków, skrzypów i paproci, ale nie małych krzaczków tak jak dziś, tylko kilkudziesięciometrowych olbrzymów. Drzewa obumierały, a na nich rosły kolejne, które również kończyły istnienie. Lądy zapadały się w ocean, później podnosiły, a niegdysiejsze lasy przykrywane były różnego rodzaju osadami – miały na to dziesiątki lub setki milionów lat. Bez dostępu tlenu i pod olbrzymim ciśnieniem nie następował rozkład pozostałości po olbrzymich lasach, tylko ich sprasowanie i zmacerowanie. Ostatecznie całość zamieniała się w skałę, z reguły czarnego koloru.

Minęły setki milionów lat i na Ziemi pojawił się człowiek. Zauważył, że skała czarnego koloru pali się niczym drewno. Było to całkiem niedawno – jakieś dwa czy trzy tysiące lat temu – ale człowiek zwracał na to niewielką uwagę. O wiele lepszym opałem było drewno, a drzewa porastały przecież całą Ziemię.

W niektórych miejscach lasy wycinano tak intensywnie, że przestały one istnieć. Starożytni Grecy budowali z nich okręty – dziś Grecja jest niemal bezleśna. Starożytni Słowianie prowadzili gospodarkę żarową – dziś część tej krainy ma niewiele lasów i nazywa się Polską, czyli krainą pól i polan. Średniowieczni Anglicy wytapiali żelazo, a gdy zabrakło im drzew do opalania pieców, zaczęli stosować do tego czarną skałę, którą znajdowali tuż pod swoimi trawnikami. Na początku XVIII w. węgiel kamienny miał w Anglii większe znaczenie opałowe od drewna.

Paradoksalnie duża rola Anglii w rozwoju górnictwa wynikała z jej słabości jako państwa. Jeszcze w średniowieczu dużo sprawniej i wydajniej działały kopalnie europejskie, w których wydobywano rudy metali i sól. Czerpano z tego takie bogactwo, że wszelkie podziemne złoża – a co za tym idzie, także kopalnie – były własnością władców, niezależnie od tego, kto był właścicielem ziemi. W wiekach XVI i XVII struktury państwa angielskiego były słabe, więc możnowładcy wywalczyli przywileje eksploatacji zasobów znajdujących się na ich ziemiach. W kolejnym stuleciu angielska prywatna inicjatywa okazała się być bardziej innowacyjna niż zarządzane przez władze centralne kopalnie europejskie.

W dół!

W XVIII w. angielscy górnicy rozjechali się po świecie. Trafili m.in. w nasze okolice: na Górny Śląsk oraz Zagłębie Dąbrowskie, gdzie znajdują się olbrzymie złoża węgla, rozdzielone niegdyś granicami państwowymi. Na małą skalę wydobywano tam węgiel już od średniowiecza, teraz – pod koniec XVIII w. – miała rozpocząć się jego masowa produkcja. Co to znaczy masowa? W XVIII w. wydoby-

eprasa.pl ab51039975

cie na polskich ziemiach liczono w tysiącach ton rocznie, w XIX w. – w milionach, w XX w. – w dziesiątkach milionów. Rekord padł w roku 1979 – nie tylko na Śląsku i w Zagłębiu – 180 mln ton. W 2022 r. wydobycie w Polsce wyniosło niespełna 53 mln ton, kolejne 19 mln sprowadzono z zagranicy. Węgla wystarczy jednak na setki lat: jego polskie zasoby liczy się w dziesiątkach miliardów ton.

Symbolem przemysłowego wydobycia węgla było zatrudnienie do pracy „na dole" koni. Pierwszy z nich pojawił się w Polsce w 1803 r., a ostatni został zastąpiony przez maszyny w roku 1960. Wbrew pozorom maszyny parowe pojawiły się w kopalniach kilka lat wcześniej niż konie, tyle tylko, że używano ich do innych celów: maszyny parowe zapewniały ruch pionowy, a konie – ruch poziomy.

Węgiel kamienny zalega w ziemi mniej więcej tak jak mak w makowcu. Tak jak czasem przerwie się skórka makowca, tak pęka i ziemia, a wówczas widać warstwę maku... to znaczy węgla. Pokład węgla może mieć kilka metrów wysokości i ciągnąć się kilometrami: np. od Gliwic do Dąbrowy Górniczej albo pod całą Lubelszczyzną. Kopalnie węgla kamiennego zaczynały z reguły jako kopalnie odkrywkowe, ale gdy wyeksploatowano wierzchnią warstwę, wówczas budowano pionowe szyby w głąb, a z nich prowadzono poziome chodniki. W XIX w. polskie kopalnie bywały głębokie na kilkadziesiąt metrów, w XX w. – na kilkaset, a w XXI w. nawet na 1320 metrów.

Zmieniały się nie tylko głębokość kopalni, lecz także technika pracy. Początkowo wystarczały narzędzia ręczne: znane z godła górniczego żelazko i pyrlik. Żelazko to zaostrzone dłuto z trzonkiem, a pyrlik to młotek, którym uderza się w żelazko. Stopniowo były one zastępowane przez różnego rodzaju młoty pneumatyczne, wrębiarki, tarany i strugi. W połowie XX w. pojawiły się kombajny ścianowe, mające szerokość kilkudziesięciu metrów. Osłonięte pancerzem wgryzają się w ścianę, odsyłają urobek na bok, a następnie przesuwają się do przodu, pozwalając masom skalnym zsunąć się po pancerzu na opuszczone przed chwilą miejsce.

Flora z epoki karbonu. Poniżej: znaczek z czasów PRL FOT. COMMONS WIKIMEDIA I DOMENA PUBLICZNA

I w górę!

Jak się można domyślić, po przejściu przez pokład kombajnu ścianowego ziemia nad wyrobiskiem zapadnie się o kilka metrów. To jedne ze szkód górniczych, którym oczywiście starano się zapobiegać. Podstawową metodą było zasypywanie pustych komór i chodników tzw. podsadzką, czyli piachem, żwirem albo innym złomem skalnym. Niestety, w czasach słusznie minionych komunistyczne władze nakazywały zwiększenie wydobycia kosztem bezpieczeństwa, wydobywano zatem „na zawał", doprowadzając do olbrzymich szkód. Konsekwencje błędnych decyzji ujawniają się dopiero po kilkudziesięciu latach – chociażby w ostatnich miesiącach w Będzinie.

Pod ziemią groźne są wszystkie żywioły. Ziemia może się zapaść, demolując domy na górze i przysypując górników na dole. Podobne zagrożenie stanowi woda, która znajduje się w ziemi, pomiędzy skałami (całkiem mokre są również niektóre skały). Aby wkopać się głęboko w ziemię, trzeba było ją najpierw gruntownie osuszyć. To właśnie do tego – do napędu pomp – wykorzystywano przede wszystkim maszyny parowe i to właśnie maszyny parowe pozwoliły kopalniom zejść głęboko pod powierzchnię ziemi.

To nie koniec niebezpieczeństw. Na dół trzeba dostarczać świeże powietrze, co nie jest łatwym zadaniem, jeśli kopalnia ma kilkaset metrów głębokości i kilkadziesiąt kilometrów chodników. Oprócz dostarczania powietrza trzeba się go również pozbywać, szczególnie jeśli ze skał w głębi wydobywają się niebezpieczne gazy. Dziś wykrywają je nowoczesne detektory, niegdyś używano do tego kanarków, które swoim zachowaniem mogły ostrzec o niebezpieczeństwie. Gdy kanarek omdlał lub padł martwy, górnicy wiedzieli, że muszą opuścić zagrożony rejon. Często było już jednak „po ptokach": katastrofy nie dało się uniknąć.

Katastrofą zwiastowaną przez ptaki mógł być również wybuch gazów kopalnianych, w tym metanu, który w odpowiednim stężeniu – a raczej nieodpowiednim – łatwo ulega eksplozji. Ogień może zresztą pojawić się w kopalni na wiele sposób, a pożaru czasem nie ma jak zagasić. Można jedynie zamurować część kopalni i czekać, aż ogień sam zgaśnie. Trzeba czekać cierpliwie, podobno niektóre trwające do dziś pożary węgla zaczęły się w XIX w. Budowa kopalń jest skomplikowana, jeszcze bardziej skomplikowana – i niebezpieczna – jest ich eksploatacja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ab51039975

2009–2023 / Od „Płynnego Ołowiu" do „Żelaznych Mieczy"

Na (Bliskim) Wschodzie bez zmian

Skutki izraelskiego ataku na Gazę, 2009 r.
FOT. URIEL SINAI/GETTY IMAGES

Piotr Zychowicz

Historia tego regionu toczy się w obłędnym kole kolejnych eksplozji przemocy. Coraz bardziej krwawych, coraz bardziej bezwzględnych

Podczas jednej z dyskusji na Twitterze/X pewien internauta wkleił mój artykuł z 5 stycznia 2009 r. A więc sprzed 15 lat. Tytuł: „Oblężone miasto Gaza". Napisałem go jako korespondent „Rzeczpospolitej" z pogranicza Strefy Gazy i Izraela. A konkretnie z kibucu Mefalsim, jednej z miejscowości, która została zaatakowana przez Hamas podczas niedawnego ataku.

Kiedy czytałem ten artykuł po kilkunastu latach od jego powstania, towarzyszyły mi niewesołe myśli. Wystarczyłoby bowiem zmienić kilka słów i można by go opublikować obecnie. I nikt nie zorientowałby się, że nie dotyczy rozgrywających

eprasa.pl ab51039975

się na naszych oczach dramatycznych wydarzeń: bombardowań Strefy Gazy przez izraelskie lotnictwo oraz inwazji lądowej prowadzonej przez IDF.

Zresztą, drodzy czytelnicy, oceńcie sami:

Huk armatnich wystrzałów jest tak potężny, że w promieniu kilkuset metrów trzęsie się ziemia. Ze wzgórz słychać głuche detonacje i po chwili na niebie pojawiają się gęste kłęby szarego dymu. Terytorium, na które spadły pociski, to palestyńska Strefa Gazy opanowana przez ekstremistyczną organizację Hamas. Działa należą do izraelskiej armii, która w nocy z soboty na niedzielę przystąpiła do inwazji lądowej na Strefę Gazy.

Bateria, która składa się z 12 samobieżnych haubic o potężnym kalibrze 155 mm, została okopana w gaju pomarańczowym. Obok rozbito kilka namiotów z materiału w kolorze khaki. Znajdują się tam stanowisko dowódcy i skład amunicji. Działa stoją na płaskowyżu należącym do pobliskiego kibucu Mefalsim. Do Strefy jest stąd ok. kilometra. Dla izraelskich haubic to niewielki dystans, potrafią bowiem precyzyjnie trafić w cel z odległości 30 km.

Z pobliskiego wzgórza widać panoramę północnej Strefy Gazy. Na początku niska, biała zabudowa, potem blokowiska. Przypominają polskie osiedla mieszkaniowe z lat 80. W wielu miejscach ponad budynkami unosi się dym. Raz po raz dochodzi do kolejnych eksplozji. W powietrze wzbijają się wysokie fontanny ziemi i gruzu, które potem powoli opadają na miasto.

Po niebie krążą śmigłowce Apache. Każdy odpala ok. 15 rakiet i zawraca do bazy. W pewnym momencie nad najbliższymi budynkami znajdującymi się w miejscowości Beit Lahija eksplodują w równych odstępach trzy bomby kasetowe. Wybuch następuje kilkaset metrów nad ziemią, a następnie na budynki sypią się, zostawiając za sobą długie białe smugi, setki mniejszych pocisków.

To jedna z najniebezpieczniejszych broni używanych obecnie w konfliktach zbrojnych. Tym razem jednak, jak zapewniają Izraelczycy, bomby nie były uzbrojone. Wyposażono je w pociski dymowe i hukowe.

Wówczas – w styczniu 2009 r. – trwała izraelska operacja „Płynny Ołów", która była odpowiedzią na ostrzały Izraela przez Hamas. A także na wcześniejsze porwanie młodego żołnierza – Gilada Szalita. Zdaniem izraelskiego wywiadu hamasowcy planowali powtórzyć ten „wyczyn" i uprowadzić kolejnych Izraelczyków.

Członkowie radykalnej palestyńskiej organizacji zasypywali południowy Izrael rakietami typu Kassam. Była to prymitywna broń – metalowe rury wypełnione gwoździami i innym żelastwem. Kassamy spadały na te same kibuce i miasta, na które spadają obecnie – znacznie bardziej zaawansowane technicznie – rakiety dostarczane Hamasowi przez Iran czy Syrię. Na Aszkelon, Beer Szewę czy Sderot.

W tym ostatnim mieście znalazłem się nawet pod ogniem kassama. Gdy rozległo się wycie syreny, miałem kilka sekund, żeby się ukryć. Pocisk na szczęście trafił jednak w dach budynku. A drugi w budę psa, rozrywając nieszczęsne zwierzę na strzępy. Widok był paskudny, ale na szczęście – tym razem – nie zginął człowiek.

Kassamy spadały na te same kibuce i miasta, na które spadają obecnie – znacznie bardziej zaawansowane technicznie – rakiety dostarczane Hamasowi przez Iran czy Syrię. Na Aszkelon, Beer Szewę czy Sderot

Wróćmy jednak do artykułu „Oblężone miasto Gaza" z 2009 r. Nie tylko wydarzenia, które w nim opisałem, niczym się nie różniły od wydarzeń obecnych. Również osoby – z obu stron barykady – mówiły dokładnie to samo, co mówią obecnie Palestyńczycy i Izraelczycy. Padały te same frazy, te same argumenty, te same zapewnienia i oskarżenia.

– To, co się tu dzieje, to prawdziwe piekło. Bomby i pociski artyleryjskie spadają na oślep. Budynki walą się ludziom na głowę, wybuchają pożary. Właśnie pod moimi oknami przemknęły ambulanse. Mamy do czynienia ze zbrodnią wojenną – relacjonuje przebywająca w Gazie nauczycielka i dziennikarka Fida Kiszta. Według niej nie ma mowy o przypadku: Izraelczycy z premedytacją zabijają cywilów.

– Ich armia dysponuje supernowoczesnym, niezwykle precyzyjnym sprzętem. Jak to więc możliwe, że dochodzi do tylu pomyłek i giną dziesiątki niewinnych kobiet i dzieci? Oni chcą nas sterroryzować! – mówi.

Pociski artyleryjskie miały trafić m.in. w meczet, w którym akurat odbywały się modły, i w centrum handlowe w śródmieściu Gazy. Tylko w tych dwóch incydentach miało zginąć kilkanaście osób.

Mieszkańcy Strefy Gazy są przerażeni. – Nikt nie wychodzi na ulice. Wszyscy zabarykadowali się w domach. Niestety, niektóre rakiety uderzają właśnie w domy – relacjonuje Ewa Jasiewicz, pokojowa aktywistka, która działa obecnie w Gazie. – Widziałam ludzi z pourywanymi kończynami, ze zmasakrowanymi twarzami i z trzewiami na wierzchu. To jakiś horror – mówi. W słuchawce słychać huk wybuchów i wycie syren alarmowych.

Izraelczycy podkreślają jednak, że ich jedynym przeciwnikiem są bojownicy Hamasu. – Powtarzam: cywile nie są naszym wrogiem. W miejscach, które zamierzamy zbombardować, rozrzucamy ulotki, w których wzywamy ich do opuszczenia tego terenu. Niestety, Hamas używa Palestyńczyków jako żywych tarcz i to ta organizacja jest odpowiedzialna za straty wśród ludności – podkreśliła w rozmowie telefonicznej rzeczniczka izraelskiej armii.

W nocy, po przekroczeniu granicy, Izraelczycy napotkali wyjątkowo silny opór ze strony Hamasu. Żołnierze zostali przywitani ogniem broni maszynowej i ręcznych wyrzutni rakietowych. Posypały się na nich pociski moździerzowe.

– Gaza nie będzie dla was wysłana płatkami róż. Będzie wysłana płomieniami. To terytorium stanie się dla was cmentarzem – zapowiedział w telewizyjnym wystąpieniu rzecznik Hamasu Ismail Radwan.

Podobnie jak obecnie rażąca była dysproporcja ofiar. Operacja „Płynny Ołów" zakończyła się następującym bilansem: 13 zabitych Izraelczyków (w tym trzech cywilów) i 1,1–1,4 tys. zabitych Palestyńczyków. W przytłaczającej większości cywilów. Obecnie, gdy piszę te słowa, bilans wojny Hamas – Izrael jest następujący: 1,3 tys. zabitych Izraelczyków i 10 tys. zabitych Palestyńczyków. Ta ostatnia liczba – w momencie, gdy gazeta trafi w ręce czytelników – będzie zapewne znacznie wyższa.

Na tym właśnie polega tragedia Bliskiego Wschodu. Historia tego regionu toczy się w obłędnym kole kolejnych eksplozji przemocy. Coraz bardziej krwawych, coraz bardziej bezwzględnych. Po obu stronach – zarówno wśród Izraelczyków, jak i wśród Palestyńczyków – wzrastają nienawiść i żądza odwetu.

Kiedy 20 lat temu zacząłem zajmować się Bliskim Wschodem, byłem przekonany, że ten koszmar szybko się skończy i w regionie zapanuje pokój. Uważam swój ówczesny pogląd za młodzieńczą naiwność. Dziś bliższa mi jest opinia, że ta wojna nie skończy się nigdy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ab51039975

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

KRAKÓW, 6 LISTOPADA 1939 R.

REKTOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO PROF. TADEUSZ LEHR-SPŁAWIŃSKI ZWOŁAŁ ZEBRANIE OGÓŁU WYKŁADOWCÓW. ZROBIŁ TO NA WNIOSEK PRZEDSTAWICIELA NIEMIECKICH WŁADZ OKUPACYJNYCH SS-STURMBANNFÜHRERA BRUNO MÜLLERA. JEDNAK SZYBKO OKAZAŁO SIĘ, ŻE TO W RZECZYWISTOŚCI BYŁA ZASADZKA MAJĄCA NA CELU ARESZTOWANIE KADRY NAUKOWEJ.

W SUMIE W RAMACH AKTION GEGEN UNIVERSITÄTS-PROFESSOREN, ZNANEJ RÓWNIEŻ JAKO SONDERAKTION KRAKAU, ARESZTOWANO 183 OSOBY, W TYM TAKŻE WIELU EMERYTOWANYCH PRACOWNIKÓW NAUKOWYCH. WYKŁADOWCY ZOSTALI PRZEWIEZIENI DO WIĘZIENIA PRZY UL. MONTELUPICH. OSTATECZNIE TRAFILI DO OBOZU KONCENTRACYJNEGO SACHSENHAUSEN.

WARUNKI W OBOZIE BYŁY CIĘŻKIE, WIELU WIĘŹNIÓW CHOROWAŁO, NIE MOGĄC LICZYĆ NA MOŻLIWOŚĆ LECZENIA. DO RODZIN CORAZ CZĘŚCIEJ ZACZĘŁY DOCIERAĆ INFORMACJE O ŚMIERCI KOLEJNYCH SPOŚRÓD KRAKOWSKICH NAUKOWCÓW.

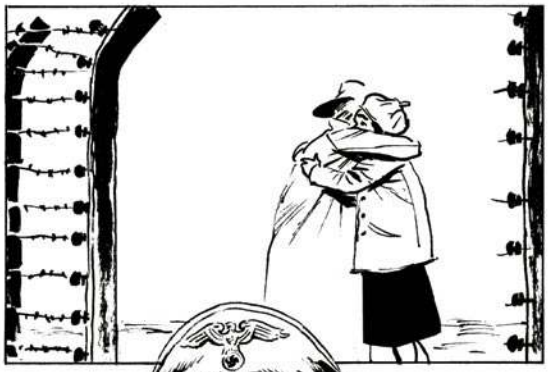

RODZINY ARESZTOWANYCH ORAZ RÓŻNE ŚRODOWISKA NAUKOWE W EUROPIE PRZESYŁAŁY APELE O UWOLNIENIE WYKŁADOWCÓW. PRESJA PRZYNIOSŁA SKUTEK I W LUTYM 1940 ROKU ZWOLNIONO 101 NAJSTARSZYCH ARESZTOWANYCH. POBYTU W OBOZIE NIE PRZEŻYŁO DWUNASTU, KOLEJNYCH PIĘCIU ZMARŁO KRÓTKO PO POWROCIE DO KRAKOWA. WYKŁADOWCÓW POCHODZENIA ŻYDOWSKIEGO ZAMORDOWANO, RESZTA NAUKOWCÓW POZOSTAŁA W OBOZACH, NIEKTÓRZY AŻ DO PAŹDZIERNIKA 1941 ROKU.

PO TYCH WYDARZENIACH GENERALNY GUBERNATOR OKUPOWANYCH OBSZARÓW POLSKICH HANS FRANK WYDAŁ INSTRUKCJĘ, JAK W PODOBNYCH PRZYPADKACH POSTĘPOWAĆ W PRZYSZŁOŚCI.

eprasa.pl ab51039975

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JACEK KOMUDA: „SZTUKA WOJENNA KOZAKÓW ZAPOROSKICH. 1591-1638"

Dzieło życia Jacka Komudy, znanego popularyzatora historii i autora kilkudziesięciu bestsellerów książkowych. Tym razem pisarz wziął na warsztat wojska I Rzeczypospolitej. Na temat powstań kozackich napisano bardzo wiele prac naukowych, rozwikłano wiele problemów politycznych, gospodarczych i społecznych, nie mamy jednak pełnego obrazu jak wyglądała wojskowość kozacka. Sztuka wojenna Kozaków Zaporoskich w latach 1591-1638, jest - o dziwo - pierwszą rozprawą omawiającą kozacką ars militaris.

- Piechota zaporoska, jej uzbrojenie i sposób walki
- Tabory wojsk kozackich
- Sztuka walki jazdy Kozaków Zaporoskich
- Fortyfikacje polowe - wykorzystanie terenu w procesie bezpośredniego prowadzenia operacji militarnych.

Jacek Komuda udowodnia, że wiedza historyczna może być podana w sposób inspirujący młode pokolenie. Autor zgromadził informacje niedostępne dotychczas polskim czytelnikom, skrywane do niedawna w ukraińskich i rosyjskich archiwach a wszystko podlał zawiesistym sosem sarmackiej gawędy. Dzięki temu - po stuleciach - możemy wreszcie zrozumieć przyczyny zwycięstw Rzeczpospolitej nad zbuntowaną kozaczyzną jak i upokarzających klęsk, które wojska zaporoskie zadały wojskom koronnym. To arcyważna pozycja pomagająca zrozumieć fenomen sztuki wojennej I Rzeczypospolitej.

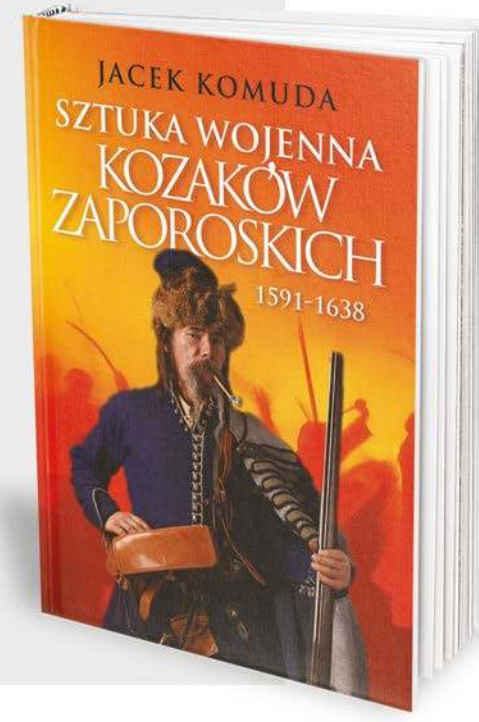

145 zł

oszczędność 68 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ab51039975

Odkryj potencjał kryptowalut razem z zondacrypto

Twój zaufany przewodnik po świecie Web3

zondacrypto.com

zondacrypto

eprasa.pl ab51039975